

Granda w sopockim **Grandzie** • Do czego **Lewy ma prawo** • **Końskie** po wyborach
Ludzie **Nawrockiego** • **Sociale** zmieniają politykę • Komu **Temu** • **Iran** w ogniu

POLITYKA.PL

POLITYKA

KULTURA+ Przewodnik na lato



CZY TO SIĘ JESZCZE DA POSKŁADAĆ?

Wydanie w sprzedaży do 24.06.2025

ISSN 0032-3500

25>



9 770032 350503

ILUSTRACJA MAREK KWIATKOWSKI

OJCZYZNA DON KICHOTA



KUP TERAZ



W sprzedaży



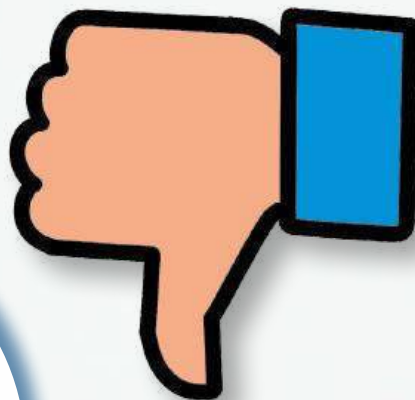
Wydanie papierowe – w punktach sprzedaży prasy i na sklep.polityka.pl

Wydanie cyfrowe – subskrypcja polityka.pl/cyfrowa

Wydanie audio – sklep.polityka.pl i polityka.pl/cyfrowa

Podkast POLITYKA o historii – polityka.pl/podkasty

Na sklep.polityka.pl znajdziesz ponad 60 tytułów z serii Pomocnik Historyczny



18

Nowa czwarta władza
– social media

ILUSTRACJA MAX SKORWIDER

Polityka

- 10 Rafał Kalukin
Kolejne rozdanie Tuska
- 14 Anna Dąbrowska
Komandosi Nawrockiego
- 18 ROZMOWA POLITYKI
Jak media społecznościowe przeorganizowały politykę i wybory, opowiada **Krzysztof Izdebski** z Fundacji Batorego

Spółeczeństwo

- 22 Marcin Kołodziejczyk
Zasłyszane w Końskich, czyli uśrednionej Polsce powiatowej
- 26 Czego uczyć młodych wyborców, mówi dr **Jędrzej Witkowski**, prezes Centrum Edukacji Obywatelskiej
- 29 Marcin Piątek
Brudne gry w polskiej piłce
- 32 Zbigniew Borek
Wypadek na autostradzie A1: czy po dwóch latach ruszy proces Sebastiana M.?
- 35 Ewa Wilk **Zawód psychoterapeuta – spory o projekt ustawy**
- 38 Juliusz Ćwieluch **Kosmiczna historia naszej stacji polarnej**

Rynek

- 42 Marek Świerczyński
Po co nam Apacze

- 45 Joanna Solska **Jaka płaca minimalna**
- 50 Cezary Kowanda **Temu, Shein i AliExpress: Chińczycy podbijają Europę**

Świat

- 58 Agnieszka Lichnerowicz UKRAINA
Wojna i miłość
- 61 Tomasz Zalewski USA
Czy Nawrocki obłąkawi Trumpa
- 64 Paweł Walewski USA
Robert F. Kennedy jr – kontrowersyjny sekretarz zdrowia

Nauka/projektpulsar.pl

- 66 Marek Ścibior
ArXiv, wielkie archiwum nauki
- 69 Agnieszka Krzemińska
Jak naprawdę wyglądały wyprawy wikingów

Historia

- 72 Ryszarda Socha
Granda w sopockim Grandzie
- 75 Tomasz Targański **Co łączy, a co dzieli Polskę i Hiszpanię**

NAGRODA
ARCHITEKTONICZNA
POLITYKI

- 84 Relacja z gali

KULTURA+

- 86 Kalendarium 88 Festiwale objazdowe
- 90 Morrissey: kłopot z ikoną 92 Baltic Opera Festival: spektakle o samotności
- 93 Zwiedzanie z gwiazdami 94 Skrzyżowanie Kultur: w rytmach czterech kontynentów
- 95 Lubelskie Inne Brzmienia: otwarty miejski festiwal 96 Gdyniński Teatr Muzyczny: brawurowi „Producenci”
- 97 Muzyczny powrót „Króla Iwa” 97 Sztuka animacji
- 98 Młoda kolekcja mBanku 99 Muminki po polsku 100 Margarete Schütte-Lihotzky – rewolucjonistka architektury
- 101 Tora – święte arcydzieło 102 Edukacja antykiem

- 104 MEA PULPA Kuby Wojewódzkiego

Ludzie i style

- 110–113 • Spacery dźwiękowe
- Okrzyki z TikToka
 - O dzwonie i przydzwanianiu
 - Piłkarki w Lucernie
 - Sezon na botwinę

Stałe rubryki

- 4 Przypisy • 6 Ludzie i wydarzenia
- 20, 21, 108, 114 Galeria POLITYKI
- 78 Afisz • 105 Passent • 106 Lis
- 107 Hartman • 108 Mizerski
- 109 Do i od redakcji
- 114 To jeszcze nie koniec



Przełom na raty

Mariusz Janicki

Pierwsza część nowego otwarcia władzy za nami, na następne trzeba poczekać kolejne tygodnie. Tak jak się spodziewano, premier Tusk bez problemów otrzymał wotum zaufania. W Sejmie podkreślał, że wciąż ma udzielony dwa lata temu mandat do rządzenia, ma większość sejmową i wszystkie uprawnienia władzy wykonawczej – to było skierowane wyraźnie do elekta Nawrockiego. Będzie powołany rzecznik rządu (podobno „waga ciężka w polityce”), a w lipcu i to chyba pod koniec (środek wakacji) rekonstrukcja gabinetu, w tym „nowe twarze” (więcej o exposé i sytuacji w obozie władzy na s. 10). Przemówienie przyjęte z mieszanymi odczuciami, oficjalnie w koalicji dość przychylnie, bo Tusk uwzględnił część postulatów partnerów, choć bez szczegółów. Jednak już w komentarzach nawet najtwardszych antypisowców słychać było narzekania, że nie pojawił się żaden przełomowy koncept, zabrakło nowej opowieści, że znowu są tylko luźne obietnice.

Ale też ujawnił się front obrony premiera, emocjonalne apele, aby nie ulegać przekazowi „Dymisja dla Tuska”, bo ludziom Kaczyńskiego chodzi o jak najszybszy powrót do władzy i wielką zemstę. Ponadto nie wiadomo jeszcze, jak się rozwinie i jaką będzie miała siłę rażenia nowa afera taśmowa z nagraniami Tuska, Giertycha, być może innych.

Tak czy inaczej, Donald Tusk stanął przed najtrudniejszym zadaniem w swojej politycznej karierze. Przykłady z historii III RP nie są pocieszające. Dotąd rządy koalicyjne, które składały się z więcej niż dwóch partii, zawsze upadały przed końcem sejmowej kadencji i odbywały się przedterminowe wybory. Tak było w 1993 r. z rządem Hanny Suchockiej i podobnie w przypadku gabinetu Jarosława Kaczyńskiego w 2007 r. Za pierwszym razem obóz rządzący był po prostu potwornie skłócony, za drugim – prezes PiS sam wykończył swoich koalicjantów. A teraz nie chodzi przecież tylko o przetrwanie do 2027 r., ale o utrzymanie władzy po kolejnych parlamentarnych wyborach. Do tego potrzeba zaś wstrząsu, żadne kosmetyczne zmiany nie pomogą.

Po wyborach w 2023 r. wydawało się, że Platforma i sam Tusk zrozumieli, na czym polega nowa polityka, ale szybko ujawniły się dawne przypadłości, „znikanie” premiera, marna aktywność ministrów, brak politycznych konsultacji, kompletne niezainteresowanie komunikacją społeczną i stanem wizerunku władzy. Partia Tuska często robi wrażenie ospałej, niezgułowanej, a przy tym aroganckiej. A czasy się zmieniły. Osiem lat rządów PiS, poza psuciem demokratycznego systemu, co się może kiedyś uda jeszcze naprawić, przyniosło inne zmiany, już

chyba nieodwracalne. Chodzi o sam sposób uprawiania polityki: rząd staje się permanentnym sztabem wyborczym, a rządzenie to nieustanna kampania, toczona całodobowo przy pomocy nowoczesnych instrumentów, przede wszystkim w sferze cyfrowej. Polityka informacyjna rządu i Platformy była dotąd zaprzeczeniem tych metod, a kampania Trzaskowskiego pokazem staroświeckiej amatorszczyzny. To właśnie konserwatywne, niby „zaściankowe” ugrupowania okazują się w tej dziedzinie znacznie sprawniejsze, a ich polityczni marketingowcy bardziej technologicznie zaawansowani. Wpływ internetowej propagandy PiS i Mentzena zwłaszcza na młodych mężczyzn okazał się decydujący o wyniku wyborów prezydenckich; w ich wypowiedziach, np. w bardzo interesującym programie „Czarno na białym” TVN24, było słychać dosłowne kalki z prawicowych przekazów.

Do tego prawicy sprzyjały radykalizacja i postępujące uproszczenie przekazów w mediach społecznościowych, kultura obrazkowa, emocjonalna, skrótowa brutalność, niechęć do niuansów i różnych punktów widzenia. Kolejna awantura Grzegorza Brauna, który zaatakował wystawę środowisk LGBT w Sejmie, miała w internecie milionowe zasięgi i mnóstwo pozytywnych komentarzy (a jego Korona wzrosła w ostatnim sondażu opinia24 do 6,9 proc.). Strona liberalna musi się zatem zmierzyć z ogólniejszym problemem – jak swoje wartości dostosować do takich trendów, tak aby nie utracić przy tym ich istoty (więcej o roli nowych mediów w polityce i kampaniach na s. 18).

Jeśli teraz obóz władzy jakoś się ogarnie, a ustawy, nawet niepodpisane przez Nawrockiego, zaczną funkcjonować w zbiorowej świadomości, wciąż pozostaje kwestia zasadnicza: jak ta koalicja ma wygrać najbliższe wybory. Kaczyński dostał butlę z tlenem w postaci rosnącej w sondażach Konfederacji. Nawet jeśli starą metodą „na skorpiona” będzie zwalczał prawicową konkurencję, ma z kim w przyszłości stworzyć większościową koalicję w Sejmie. Tusk takiego rezerwowego zbiornika nie ma, ponieważ „przystawki” spadły do poziomu kilku procent. W takiej sytuacji sama Platforma musiałaby mieć ze 45 proc. poparcia, żeby myśleć o samodzielnym zwycięstwie, a nic na to nie wskazuje.

Może zatem okazać się konieczna w 2027 r. wielka koalicja wyborcza zbierająca elektorat Trzaskowskiego z ostatnich wyborów, a argumentem byłoby odwrócone hasło prawicy z ostatnich wyborów, czyli tym razem: „nie pozwolić PiS na domknięcie systemu”. Dlatego Tusk nie ma chyba innego wyjścia niż pójście na frontalne starcie z Nawrockim, licząc na jego zużywanie się, kolejne kompromitacje, ukazanie nowego prezydenta jako wetującego wszystko awanturnika, a PiS jako jego promotora. Tym bardziej że sam Nawrocki mówił, że chce jak najszybciej doprowadzić do upadku obecnego rządu, a z Czarnkiem jako szefem kancelarii ten cel stałby się jeszcze bardziej oczywisty (więcej o ekipie nowego prezydenta s. 14).

Ale zasadnicze pytanie jest inne: czy sam Tusk wierzy jeszcze w swój plan awaryjny i możliwość zwycięstwa za dwa lata, czy też – jak w 2014 r., kiedy wyjechał do Brukseli – znowu uważa, że wiatry się zmieniły i nic już na to się nie poradzi. Tu sporo się wyjaśni w najbliższych miesiącach, po działaniach, nie słowach. Nie można też wykluczyć scenariusza, że w pewnym momencie przed wyborami Tusk odda premierostwo komuś innemu. W każdym razie ścieżka do sukcesu jest kręta i wąska, a do przepaści prowadzi autostrada. Gdyby Tusk wybrnął i z takiej opresji, już więcej nic by nie musiał.

Klasyczna podróż pociągami przez Szwajcarię

Poznaj kultowe miasta Szwajcarii: Montreux, Saint Moritz i Lugano – podróżując Ekspresem Lodowcowym (Glacier Express) i Bernina Express.

Zapraszamy na wyjątkową podróż pociągami po Szwajcarii – kraju z najlepszą siecią kolejową w Europie. Zwiedzimy trzy regiony: francuskojęzyczne Montreux, alpejskie okolice St. Moritz i włoskojęzyczne Lugano. Przejedziemy słynnym Ekspressem Lodowcowym oraz Bernina Express, podziwiając spektakularne górskie krajobrazy, jeziora i alpejskie wioski. Niezapomniane widoki i komfort podróży gwarantowane!

4,9/5

7 dni
Wylot z Warszawy
30/08 2025

13.498,-



4,9/5



Australia i Nowa Zelandia

Zachód słońca przy Uluru (Ayers Rock), kultowy budynek opery w Sydney, tańce Maorysów, koala, parki narodowe, fiordy, lodowce, gorące źródła i cudowna przyroda.

Podczas tej fantastycznej podróży odwiedzimy dwa największe miasta Australii: Sydney i Melbourne, zbliżymy się maksymalnie do dzikiej przyrody wypatrując koali i pingwinów na wyspie Philip, a w środku australijskiego interioru, podczas kolacji pod gołym niebem przy słynnej skale Uluru przeżyjemy absolutnie magiczny zachód słońca.

W Nowej Zelandii czeka nas przejazd jedną z najpiękniejszych tras kolejowych na świecie, wizyta w wiosce Maorysów z tradycyjną kolacją oraz wspaniałe widoki przy fiordzie Milford, na lodowcu Fox, w wąwozie Hokitika, na obszarach termalnych Te Puia oraz kolacja pożegnalna na 52 piętrze Sky Tower w Auckland.

21 dni | Wyloty z Warszawy 12/11 2025, 11/03 2026 | od 37.898,-



4,8/5

Muzyczny Sylwester w Lizbonie

Przywitaj Nowy Rok w urokliwej Lizbonie, spacerując wąskimi uliczkami i podziwiając wspaniałe zabytki wpisane na listę UNESCO przy dźwiękach muzyki fado.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Lizbony. Dz. 2 Zwiedzanie Lizbony autokarem. Dzielnice Belém, Alfama, Baixa. Po południu czas wolny. Dz. 3 Wycieczka do Sintry (dodatkowo płatna) lub czas wolny w Lizbonie. Wieczorem kolacja sylwestrowa. Dz. 4 Spacer po Lizbonie z polskim pilotem. Wieczorem opcjonalnie koncert noworoczny (dodatkowo płatny). Dz. 5 Przelot do Warszawy.

5 dni | Wylot z Warszawy 29/12 2025 | 4.998,-



Kto za to zapłaci

Polska Fundacja Narodowa to projekt o niezwykłej żywotności. PFN dalej działa, choć w jej sprawie toczy się kilka postępowań prokuratorskich. I na dodatek dalej domaga się pieniędzy od spółek Skarbu Państwa, które zostały „namówione” do jej finansowania jeszcze za czasów rządów premier Szydło. A gra toczy się o dziesiątki milionów złotych. Nowe zarządy spółek, które ufundowały

PFN, już w zeszłym roku zbuntowały się i nie chciały zapłacić należnych składek w wysokości 3,5 mln zł rocznie. Przyciśnięte kolaniem, w większości się jednak ugięły. Jak nieoficjalnie można usłyszeć: żeby nie iść na wojnę z rządem. Miały też nieformalną obietnicę, że więcej już płacić nie będą. Tak się jednak nie stało.

Fundacja nie dość, że dalej funkcjonuje, to swoich darczyńców straszy pozwami za brak przelewów. To akurat można zrozumieć, bo władze PFN realizują jej interesy. Jednak straszone pozwami spółki nie rozumieją biernej postawy Ministerstwa Kultury, które nadzoruje PFN. – Ministerstwo mogłoby w kilka tygodni zlikwidować Fundację i zażegnać kryzys. Obecnie rządzący, będąc jeszcze w opozycji, obiecywali, że tak właśnie się stanie – mówi jeden z prezesów spółki, która zmuszona jest łożyć na PFN. Prosi o anonimowość.

Ministerstwo tłumaczy się, że likwidacja PFN jest niemożliwa. – W PFN trwają kontrole KAS i CBA, obecny zarząd Fundacji skierował zawiadomienia o możliwości popełnienia przestępstwa przez poprzednie

władze Fundacji do Prokuratury Krajowej. Nowy zarząd jest w trakcie odzyskiwania, na drodze sądowej lub mediacyjnie, środków, które w ocenie zarządu zostały niewłaściwie wydatkowane za poprzedniej kadencji. Postawienie PFN w stan likwidacji byłoby równoznaczne z zatrzymaniem tych procesów – słyszymy od Piotra Jędrzejewskiego, rzecznika ministerstwa.

Spótek ten rodzaj tłumaczenia nie przekonuje. – Pierwsze zawiadomienia do prokuratur poszły dokładne rok temu. Jeśli to tak opieszale działa, to dlaczego my mamy płacić za to rachunki – dodaje członek zarządu innej spółki.

Na 17 spółek, które założyły PFN, większość zdecydowała się nie płacić składki za 2025 r. Wyłamał się KGHM. Władze innych spółek uważają, że płacenie pieniędzy podmiotowi, który sam na siebie donosi do prokuratury o zmanotrawieniu 30 mln zł, jest dostatecznym argumentem, żeby nie przekazywać więcej ani złotówki.

(JULL)

Deregulacja na opak

Ta historia przypomina fabułę serialu sensacyjno-politycznego. Tymczasem to tylko polityka. Organizacje społeczne wygrały z resortem sprawiedliwości, a pomogła im w tym ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego. Ale po kolei. Najpierw alarm podniosły NGO-sy: „Rząd chce zakneblować organizacje społeczne”. Chodziło o pakiet ustaw zwanych lex Brzoska (od nazwiska szefa InPostu, przewodniczącego zespołu ds. deregulacji), a konkretnie o nowelizację ustawy o postępowaniu przed sądami administracyjnymi, która w proponowanym przez resort sprawiedliwości brzmieniu odbierała organizacjom społecznym prawo do skargi kasacyjnej w postępowaniach administracyjnych. Czyli uniemożliwiała im zaskarżanie wyroków wojewódzkich sądów administracyjnych do Naczelnego Sądu Administracyjnego. A przecież konstytucja gwarantuje obywatelom dwie instancje sądu.

Bez konsultacji publicznych i uzgodnień międzyresortowych – co uzasadniono „pilnością prac legislacyjnych” – nowelę skierowano do Komitetu Stałego Rady Ministrów. – To antydemokratyczny projekt sprzeczny z polskim, międzynarodowym i unijnym prawem – podkreśla Radosław Ślusarczyk z Pracowni na rzecz Wszystkich Istot. – W dodatku wprowadzany przez

koalicję rządzącą, która do wyborów w 2023 r. szła z hasłami potrzeby przywrócenia zasad państwa prawa, naprawy procesu legislacyjnego, zapewnienia przejrzystości życia publicznego oraz wspierania organizacji trzeciego sektora.

Rezygnację z proponowanego zapisu zarekomendowała także Państwowa Rada Ochrony Przyrody. Oburzenie było tym większe, że Ministerstwo Sprawiedliwości w uzasadnieniu proponowanej zmiany zapisało: najważniejszy jest „interes strony”. – A w przypadku zwierząt to często interes opiekcy – zwraca uwagę mec. Karolina Kuszlewicz. Z kolei w przypadku inwestycji kontrowersyjnej dla obywateli będzie to interes inwestora.

Awantura się rozkręcała, próbowano zatem stworzyć pozory „konsultacji”. Ministra ds. społeczeństwa obywatelskiego **Adriana Porowskiego** zaprosiła wybrane organizacje na spotkanie. To tylko dołało oliwy do ognia. Niezaproszone NGO-sy oświadczyły: „I tak byśmy nie przyszli rozmawiać o tym, jak odebrać nam konstytucyjne prawa”. I przygotowały apel podpisany przez niemal setkę organizacji (m.in. Watch Dog Polska, Wolne Sądy, WWF, Greenpeace) z żądaniem wycofania kontrowersyjnego zapisu.

Poskutkowało. Ministra Porowska w ostatni piątek zakomunikowała w social mediach: „Ustawa deregulacyjna w obecnym kształcie nie będzie procedowana. I to jest odpowiedź na to, po co nam minister ds. społeczeństwa obywatelskiego”. (AS)



Jak prezydent z premierem

Tomasz Nałęcz

Historyk, profesor UW, polityk;
doradca prezydenta RP w latach 2010–15.



Ten ruch Karola Nawrockiego przesądzi o jego prezydenturze. Musi zdecydować o modelu czekającej go koabitacji z rządem. Termin pochodzi z języka francuskiego, w którym *cohabitation* znaczy współzamieszkiwanie i określa sytuację na szczytach władzy, kiedy prezydent i rząd są z przeciwnych obozów politycznych.

Polska koabitacja liczy już 36 lat. Szlak przecierali w latach 1989–90 komunistyczny prezydent Wojciech Jaruzelski i solidarnościowy premier Tadeusz Mazowiecki, notabene dosyć zgodnie ze sobą współpracując. Z czasem ukształtowały się dwa modele koabitacji: konfrontacyjny i kooperacyjny.

Coraz więcej wskazuje na to, że prezydent Nawrocki wybiera ten pierwszy scenariusz. Widać to w jego wypowiedziach, ostro atakujących rząd, a zwłaszcza jego szefa Donalda Tuska. Określenia takie jak „najgorszy premier Polski po 89. roku” brzmią wręcz prowokacyjnie, zwłaszcza że padają z ust człowieka, łagodnie mówiąc, o dość skromnym życiowym dorobku. O przygotowaniach do wojny świadczą też doniesienia o składzie prezydenckiej kancelarii, którą mają zdominować nie fachowcy służący państwu, lecz politycy PiS zaprawieni w partyjnych bojach.

Tymczasem dzieje naszych prezydentur nie zachęcają do koabitacji konfrontacyjnej. Najpełniejszą wersją tego modelu była wojna, którą w 2007 r., po wygranych przez PO wyborach parlamentarnych,

prezydent Lech Kaczyński wypowiedział rządowi Donalda Tuska. Rozwścieczony klęską brata bliźniaka i PiS-u prezydent starał się ugodzić przeciwnika jak najboleśniej, sięgając po swoją broń atomową, czyli wetowanie ustaw. Blokował też decyzje personalne. Kiedy i gdzie tylko można, sypał piach w tryby państwowej maszynierii.

Premier Tusk nauczył się neutralizować te ciosy i odpowiadać na nie równie boleśnie. O ile jednak Kaczyński atakował ostentacyjnie, o tyle on robił to w aksamitnych rękawiczkach, grając rolę ofiary prezydenckich ataków. Czynił to tak skutecznie, że po dwóch latach, w 2010 r., sondaże nie dawały prezydentowi szans na reelekcję. Co więcej, nawet w atmosferze żałoby po tragicznej śmierci prezydenta w katastrofie lotniczej pod Smoleńskiem występujący w roli jego spadkobiercy brat Jarosław przegrał wybory z Bronisławem Komorowskim.

Diametralnie inne były efekty koabitacji kooperacyjnej, która najpełniejsze kształty zyskała w latach 1997–2001, za prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i rządu Akcji Wyborczej „Solidarność”. Współpracę forsował prezydent, nie zważając na to, że druga strona stawia na zwarcie. Owszem, zdarzało się, że i Kwaśniewski podstawił rządowi nogę, czynił to jednak bardzo zręcznie, jak w przysłowiu: „Całą krew wypije, a dziurki nie zostawi”. Taka strategia dała prezydentowi w 2000 r. reelekcję, i to w pierwszej turze, co stanowi rekord niepobity do dzisiaj. Wojowniczy adwersarze z AWS ponieśli zaś w 2001 r. straszną klęskę, nie przekraczając progę wyborczego.

Karol Nawrocki zachowuje się tak, jakby dziejów urzędu, który przyjdzie mu pełnić, zupełnie nie znał. Czas pokaże, jak na tym wyjdzie.

Głowa w sądzie

Prezydent elekt **Karol Nawrocki** wystąpił przeciwko wydawcy portalu Onet: z pozwem cywilnym o ochronę dóbr osobistych oraz prywatnym aktem oskarżenia o zniesławienie. Onet informował, że Nawrocki dopuścił się czynów karalnych (nie opisując ze względu na dobre obyczaje). Kiedy prezydent wszczyna postępowanie – sytuacja arcyzadka – traktowany jest w sądzie tak jak każdy inny obywatel.

Inaczej byłoby w drugą stronę. Prezydent – gdyby mu zarzucano odpowiedzialność za zaginione katalogi wystawy, korzystanie z apartamentu muzeum oraz przejęcie kawalerki od Jerzego Ż. (a przecież prokuratury

badają te sprawy) – korzysta z szerokiego immunitetu: odpowiada tylko przed Trybunałem Stanu. Ale i ta odpowiedzialność jest czysto teoretyczna. Akt oskarżenia (ciekawe, czy znalazłby się jakiś szalony prokurator, który by go sporządził?) musiałoby zaaprobować Zgromadzenie Narodowe – czyli łącznie Sejm i Senat, większością dwóch trzecich głosów. Sprawa przeszłaby więc do świata polityki. A w nim takie większości polityczne po prostu nie występują. Nawet sam Trybunał Stanu jest instytucją martwą; do tej pory nie odegrał w praktyce żadnej roli. Na jego czele stoi dziś pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska, która zajmuje określone stanowisko *par excellence* polityczne: po prostu nie uznaje istotnych orzeczeń sądów unijnych.

Po zakończeniu kadencji immunitet wygasa. W razie oskarżenia byłby prezydent byłby traktowany jak każdy inny podsądny. Jak zachowałby się sąd, gdyby oskarżony sądu unikał? Nie mieliśmy nigdy takich przypadków w Polsce, ale wiadomo, jak PiS zdewastował cały system prawny i z jakimi

najbardziej karkołomnymi orzeczeniami mamy do czynienia. We Francji po zakończeniu urzędów skazani zostali zarówno Jacques Chirac, jak i Nicolas Sarkozy – mimo że partyni koledzy dowodzili, że oskarżenia to polityczne prześladowanie. Prawo zwyciężyło nad polityką.

Dzisiaj to jednak polityka bierze prymat nad prawem. Prezydent Trump zaraz po objęciu urzędu ułaskawił ponad tysiąc sprawców ataku z 6 stycznia 2021 r. na amerykańską świątynię – Kapitol. Długoletnie śledztwo przeciwko samemu prezydentowi w sprawie podżegania do tego zamachu rozplynęło się w powietrzu. A przecież w ataku zginęli nawet stróże prawa, którzy tradycyjnie korzystali dotąd ze szczególnej ochrony. Formalnie prezydent miał prawo do tych ułaskawień (inaczej niż Andrzej Duda w sprawie Kamińskiego i Wąsika). Ale decyzje bardzo podważyły zaufanie do praworządności. Jak również do tego, że silna władza będzie postępować sprawiedliwie. Nie tylko w USA.

MARK OSTROWSKI





Teheran zapłonie

Groźba irańskiej bomby jądrowej znów stała się pretekstem dla izraelskiego ataku na Iran. Czy premierowi Netanjahu chodzi o zmianę władzy w Teheranie? Czy obronę swojej?

„Teheran zapłonie, jeśli nie ustaną irańskie ataki na Izrael” – powiedział w sobotę izraelski minister obrony Jisra’el Kac. Po tych słowach można by odnieść wrażenie, że to Iran zaatakował Izrael. A było dokładnie odwrotnie. 13 czerwca przed świtem ponad 100 izraelskich samolotów bojowych wleciało w przestrzeń powietrzną Iranu i zaatakowało wyznaczone cele. Jednocześnie Izraelczycy rzucili do ataku drony i rakiety krótkiego zasięgu, które wystartowały z ukrytych lokalizacji na terenie Iranu (w stylu podobnym do tego, w jakim Ukraińcy ostatnio zaatakowali rosyjskie bazy). I jednocześnie do akcji ruszyli agenci Mosadu działający w ukryciu na terytorium Iranu.

Operacyjne cele izraelskich ataków były trzy. Po pierwsze, zginęli w nich najwyżsi rangą irańscy oficerowie, m.in. szef sztabu gen. Mohamad Bageri i Husajn Salami, dowódca Strażników Rewolucji. Wszyscy oni bezpośrednio przed atakiem pochowali się w bunkrach, a mimo to dosięgły ich bomby, co świadczy o skuteczności izraelskiego wywiadu. Zginęło też co najmniej sześciu irańskich fizyków zaangażowanych w program jądrowy – tych Izrael dopadł we własnych domach, śmierć poniosły więc również ich rodziny i często sąsiedzi. Trzecim celem był podziemny ośrodek wzbogacania uranu w Natanz.

Celem strategicznym Izraela jest – bo ataki trwają, gdy w niedzielę piszemy te słowa – zablokowanie Iranowi drogi do bomby atomowej.

Premier Benjamin Netanjahu przekonuje, że to działania uprzedzające. I że będą trwały „tyle, ile będzie trzeba”, aby „uchronić Izrael przed atomowym Holokaustem”. Iran odpowiedział dopiero po kilkunastu godzinach – w sposób może ratujący twarz, ale przynajmniej na razie mało szkodliwy dla Izraela, choć po stronie izraelskiej też już są ofiary. Stąd słowa Kaca o płonącym Teheranie.

At teraz spójrzmy na sprawę z odwrotnej strony. Izrael dokonał niczym niesprowokowanej agresji na Iran (nie pierwszy raz), opierając się na poszlakach – a nie dowodach – związanych z atomowymi ambicjami Teheranu. Tu są dwie kwestie. Izrael czuje się „sprowokowany” od ataku Hamasu z 7 października 2023 r. – w tym przypadku zakłada sztywny łańcuch decyzyjny sięgający samego Teheranu. Znów nie ma na to dowodów, choć Irańczycy przez lata wspierali Hamas. Ta organizacja miała jednak własne powody, żeby zaatakować (nikt ich tu nie usprawiedliwia).

I sprawa druga, czyli program jądrowy. Iranowi trudno zaufać, bo przez lata kłamał w tej sprawie. Ale zgodnie z umową zawartą z mocarstwami (w tym ze Stanami Zjednoczonymi) w 2015 r. dopuścił inspektorów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (IAEA) do ośrodków nuklearnych, a ci niczego złego tam nie stwierdzili. Iran nie przestrzega już tych postanowień, ale to dlatego, że „pierwszy” Donald Trump wycofał z niej USA. Niemniej jeszcze w marcu CIA twierdziła, że Iran nie zamierza budować bomby, a na kilka dni przed izraelskim atakiem IAEA poinformowała, że Iran przestał z nią współpracować, ale nie stwierdziła, że „jest o krok od budowy bomby”, co od przeszło 20 lat twierdzi Izrael.

Iran oczywiście nie jest tu bez winy. Oficjalnie twierdzi, że uran jest mu potrzebny do cywilnego programu jądrowego (produkcja energii elektrycznej). Ale jednocześnie wzbogaca go do niepotrzebnie wysokiego poziomu. Według ekspertów ta przemyślana dwuznaczność ma działać jak straszak na potencjalnych interwentów. Irańczycy są w traumie po dekadach kolonialnego

podporządkowania kolejnym państwom Zachodu, a dziś za jego eksporturę uważają Izrael. Swoją odrębną traumę ma sam teokratyczny reżim, przekonany – często słusznie – że Zachód spiskuje, aby go obalić.

Netanjahu się z tym nie kryje. Od kilku lat regularnie zwraca się bezpośrednio do Irańczyków, przekonując ich, że oba narody mają wiele wspólnego, dzieląc choćby przeszłość i niechęć do Arabów. Gra na zmianę władzy w Teheranie, twierdząc, że bez ajatollahów wszystko jakoś się ułoży. Ataki rozpoczęte w ostatni piątek doskonale wpisują się w tę narrację. Wśród zabitych irańskich dowódców byli głównie skorumpowani do cna zakładani mordercy, którzy nawet wśród niezaangażowanych w politykę Irańczyków budzili odrazę. Izrael wie, w kogo uderzyć, aby wzbudzić u wielu mieszkańców Iranu to niekomfortowe uczucie ulgi z powodu czyjejś śmierci.

Piątkowymi atakami Netanjahu „zabił” również rozmowy, które od kwietnia z Irańczykami toczyła amerykańska administracja. Tel Awiw i Waszyngton mają wspólny cel – nie pozwolić Iranowi na bombę. Inne są jednak ich drogi do jego osiągnięcia. Trump od lat obiecuje, że zakończy wszystkie „wieczne wojny Ameryki”. A ponieważ jest ponoć mistrzem zawierania dealów i potrzebuje zaangażować większe siły wokół Chin, od początku drugiej kadencji dążył do porozumienia z Teheranem. Wbrew Netanjahu, któremu „stan wojny” pozwala utrzymać władzę w Izraelu.

Trump publicznie prosił premiera Izraela o danie szansy negocjacjom. Ten jednak nie posłuchał, zaatakował, a Irańczycy odwołali kolejne rozmowy z Amerykanami. I prezydent USA jest teraz w kropce. Plany pokrzyżował mu najbliższy sojusznik, który w sprawach bezpieczeństwa jest uzależniony od amerykańskiej pomocy. Teraz, po fakcie, Trump udaje, że ma wszystko pod kontrolą – że taki był plan: Amerykanie rozmawiają, a jeśli brak postępów, to Izraelczycy bombardują. Ale to tylko ratowanie twarzy przez Trumpa – odruch bardzo charakterystyczny dla... Irańczyków.

ŁUKASZ WÓJCIK

Wyrok z podtekstem

Cristina Fernández de Kirchner, była prezydentka Argentyny (2007–15), została skazana na sześć lat więzienia za korupcję. W tym tygodniu ma rozpocząć odsiadkę... w swoim domu. Ma 72 lata i przysługuje jej taki przywilej. Sąd Najwyższy potwierdził wyroki niższej instancji i uznał Cristinę – jak ją poufale nazywają Argentyńczycy – za winną działania na szkodę państwa. Jej rząd przyznał kilkadziesiąt kontraktów w ramach robót publicznych zaprzyjaźnionemu biznesmenowi Lázaro Báezowi. Zdaniem sądu spłacał on „nienależnie uzyskane korzyści” poprzez fałszywe transakcje z firmami należącymi do Fernández. Wraz z nią skazano osiem innych osób, w tym rzeczzonego przedsiębiorcę. Według orzeczenia Cristina już nigdy nie będzie mogła ubiegać się o stanowiska publiczne.

Wyroki są zazwyczaj końcem jakiejś historii; tu – mogą być początkiem nowej. Na ulice Buenos Aires wyległy tysiące zwolenników byłej prezydentki – aktualnie liderki opozycji. Manifestacje stały się zarazem donośnym głosem przeciw ultraliberalnej polityce cięć wydatków socjalnych obecnego prezydenta Javiera Mileia. Wokół Cristiny zjednoczyli się wszyscy politycy z ruchu peronistów, także jej wewnątrzni rywale.

Peroniści twierdzą, że wyrok ma charakter polityczny, że padła ofiarą zmywy sędziów i potężnych interesów ekonomicznych, w które uderzała polityka jej oraz jej zmarłego w 2010 r. męża



Néstora Kirchnera. Przywołują oparty na fałszywych poszlakach i wydany z pogwałceniem procedur wyrok na prezydenta Brazylii. Skazany na 12 lat więzienia Luiz Inácio Lula da Silva – oskarżony w momencie, gdy był liderem sondaży w wyścigu prezydenckim – odsiedział półtora roku i uwolniony przez Sąd Najwyższy wygrał kolejne wybory w 2022 r. Na drodze prawnej Cristina ma jeszcze instancję międzynarodową – Sąd Praw Człowieka Obu Ameryk.

Kirchnerowie – najpierw on, potem ona – prowadzili egalitarną politykę, m.in. transferów gotówkowych dla ubogich, państwowych subsydiów cen energii i transportu, nacjonalizacji strategicznych przedsiębiorstw, rozliczeń zbrodni junty wojskowej. Ich rządy były częścią „różowej fali” w regionie, którą prócz nich i Luli reprezentowali, m.in. Hugo Chávez w Wenezueli, Evo Morales w Boliwii, Rafael Correa w Ekwadorze, Andrés Manuel López Obrador w Meksyku.

Nawet w domowym więzieniu Cristina pozostanie ważną figurą argentyńskiej polityki. Padają w tym kontekście porównania z Juanem Perónem, ojcem założycielem ruchu (1946–55), który – choć na wygnaniu przez 18 lat – miał przemożny wpływ na wydarzenia w kraju.

Na cztery wiatry

W Chinach opublikowano „regulamin walki z rozrzutnością” dla urzędników państwowych i kadr partyjnych z zaleceniem, że mają stanąć na czele powszechnej „operacji zaciskania pasa”. Zwykle takim kampaniom towarzyszy jakiś nagłośniony przykład negatywny – tym razem poszło o zebranie szkoleniowe w wiejskim kantonie Luoshan, któremu towarzyszył suty i zakrapiany posiłek, a jeden z uczestników zmarł. Incydent usiłowano ukryć, przekupiono rodzinę, ale się wydało i wszyscy odpowiedzialni zostali surowo ukarani.

Nowe zasady wprowadzają całkowitą zakaz picia alkoholu i palenia podczas takich posiłków, mają one być skromne, sporządzone z lokalnych produktów (a nie np. z pletwy rekina), co najwyżej „cztery dania i zupa”. Zabrania się ozdób kwiatowych i banerów powitalnych, uroczystych powitań na lotnisku, przesadnego tamowania ruchu przez kawalkady pojazdów, a samochody mają mieć skromne wyposażenie. Zebrania nie mogą się odbywać w kurortach i drogich hotelach, częściej powinny mieć formę zdalną. Partyjna Komisja



Centralna do spraw Dyscypliny ze szczególną ostrością zabrała się do alkoholu, to zresztą konik przewodniczącego Xi Jinpinga. Przestroga jest wyraźna: „Jeden drink to koniec kariery”. Ogłoszono też dane za 2024 r.: 889 tys. sankcji dyscyplinarnych, w tym wobec 73 osób „w randze ministra i wyżej”. Liczone są też wszystkie reprimendy, często z bardzo surowymi konsekwencjami, od początku epoki Xi w 2013 r. udzielono ich 6,2 mln. Wiele to efekt kolejnych czystek kadrowych.

Obecna kampania to w języku partyjnym „walka z czterema wiatrami:

formalizmem, biurokracją, hedonizmem i korupcją”. Zwykle takie inicjatywy są odpowiedzią na poważne problemy społeczne i mają tonować masowe niezadowolenie. Tak jest i teraz, gdy dają się zauważyć fatalne nastroje konsumpcyjne z równie złymi konsekwencjami dla gospodarki. Stąd paradoks: urzędnicy i działacze mają zacisnąć pasa, a całe społeczeństwo powinno jak najbardziej go popuszczać. Służą temu liczne rynkowe zachęty, ale idzie opornie.

Z kolei problem alkoholu w skali społecznej prawie rozwiązał się sam. Chiny trzeźwieją, a konsumpcja **baijiu**, tradycyjnego mocnego trunku, przeboju baniekietów, od 2016 r. spada o ponad połowę. Zanika też obyczaj przymusowego upijania się z szefami. Piwo, zabawowy napitek nr 2, największe wzięcie miało w 2013 r. i od tamtej pory konsumpcja ciągle spada. Wino, przebój nowobogackich Chińczyków, w ciągu pięciu lat straciło dwie trzecie rynku. Koniak zniszczyły sankcje. Istotna jest zmiana pokoleniowa. Młodzi wolą dopalacze na bazie kofeiny. Mieszkają z rodzicami, nie chcą mieć dzieci, mniej imprezują, bardziej się martwią o przyszłość. Jak wszyscy ich rówieśnicy.

Kwartet solistów

Po przyjęciu wotum zaufania rząd Donalda Tuska kupił sobie parę tygodni spokoju, ale sam premier nie wychodzi z tej operacji wzmocniony. Stracił sporo autorytetu w oczach swoich wyborców, koalicjantów, nawet macierzystej formacji. Czy zdoła jeszcze odwrócić złą passę?

RAFAŁ KALUKIN

N

ie znam słowa kapitulacja” – to główne przesłanie Donalda Tuska z godzinnego sejmowego wystąpienia przed głosowaniem wotum zaufania dla jego rządu. Powtórzone potem jeszcze w internetowym wpisie, żeby się utrwaliło w świadomości. Premierowi chodziło bowiem przede wszystkim o rozproszenie nastroju ogólnej klęski obozu demokratycznego, który zrodził się po przegranych wyborach prezydenckich. W przekazie Tuska to jednak dopiero przegrana bitwa, podczas gdy wojna o Polskę ciągle się toczy.

Ryzyko, że w elektoracie nastąpi swoista implozja nadziei, faktycznie było wysokie. Przed wyborami zwolennicy koalicji 15 października z wielkim trudem dopuszczali do siebie myśl, że Rafał Trzaskowski mógłby przegrać. Ich morale zostało więc pogruchothane, a dodatkowo pogłębiły to jeszcze powyborcze rozliczenia w obozie rządzącym. Odporność tych wyborców testowali z drugiej strony politycy PiS, którzy ruszyli do mediów z masowym komunikatem o najgorzej ocenianym rządzie III RP, który właśnie stracił demokratyczną legitymację.

Tusk musiał więc działać szybko, żeby zatrzymać rozlewającą się panikę. W takich sytuacjach sprawdzoną metodą jest wystąpienie do Sejmu o odnowienie wotum zaufania, z czego premier skorzystał. I zasadniczy cel zrealizował, gdyż koalicja zmobilizowała się w stu procentach, sprawnie uchwalając wotum i potwierdzając swoją żywotność. Tym sposobem osłabiony Tusk kupił sobie parę tygodni względnego spokoju. Choć bilans operacji wcale nie jest dla niego aż tak pozytywny, a być



może po drodze więcej nawet stracić. Z drugiej strony nie mógł sobie pozwolić w tych dniach na bierność, zaniechanie działania byłoby jeszcze kosztowniejsze.

Pod presją koalicjantów

Autorytet szefa rządu w oczach koalicjantów poważnie się skruszył. Można wręcz było mówić o buncie „przystawek”, których liderzy już całkiem otwarcie zakwestionowali dotychczasowe jedynowładztwo premiera. Grożąc, że jeśli Tusk nie zacznie się z nimi liczyć, gotowi są wypowiedzieć mu lojalność. Premier sam zresztą podpisał rebelię, nie konsultując z partnerami wniosku o wotum zaufania.

Zależało mu na szybkim głosowaniu, ale marszałek Sejmu Szymon Hołownia przesunął o tydzień proponowany termin. Przy ci chej aprobacie liderów PSL i Lewicy, bo chociaż mniejsi koalicjanci między sobą najczęściej się kłócą, akurat tym razem połączył ich wspólny cel. Natarli na Tuska, żądając zmiany w dotychczasowych relacjach i wprowadzenia modelu bardziej partnerskiego, w którym nie będą już zaskakiwani samowolnymi akcjami szefa.

Zdezorientowanej publiczności zafundowano deprymujący spektakl wzajemnego szarpania się w mediach. Ze szczególnie aktywnym Hołownią w roli głównej, który nie tracił żadnej okazji



do chybotań łódką, co chyba było jego celem samym w sobie. Obok postulatów niekiedy sensownych podrzucał też bowiem skrajnie nierealistyczne, których najwyraźniej sam nawet nie brał poważnie.

Jak choćby w ubiegły poniedziałek u Moniki Olejnik w TVN24, kiedy oświadczył, że na czele rządu powinien stanąć Trzaskowski. Akurat w tym czasie miało się zacząć spotkanie rady liderów koalicyjnych, więc pozostała trójka czekała na przybycie szefa Polski 2050, zastanawiając się, jak też Hołownia rozwinie dalej swoją koncepcję. Tymczasem spóźniony marszałek miał wejść jak gdyby nic i nawet nie nawiązał do tematu.

Było to już zresztą kolejne spotkanie w tym formacie po jego wielomiesięcznym zawieszeniu. Tym razem dyskutowano o planowanym na środę wystąpieniu szefa rządu w debacie nad wotum zaufania. Główna fala koalicyjnych pretensji do Tuska wylała się już wcześniej, co premier najwyraźniej wziął sobie do serca. Zgodził się bowiem ująć w swojej sejmowej oracji po dwa punkty podrzucone mu przez każdego z koalicjantów. Ci jednak do samego końca nie mieli pewności, czy Tusk umowy dotrzyma.

I jeżeli potraktować to jako test jego dobrej woli, został zaliczony. Nieprzypadkowo, realizując koalicyjne zamówienia, premier za każdym razem dyskretnie obracał się na trybunie sejmowej

w stronę odpowiedniego lidera, spoglądając mu prosto w oczy. W godzinnym wystąpieniu były to co prawda fragmenty marginalne, których szeroka publiczność mogła nawet nie wychwycić, niemniej dla koalicjantów kluczowe. W końcu doczekali się od szefa rządu imiennych pochwał: Polska 2050 choćby za wakacje składkowe w ZUS, Lewica – za program budowy tanich mieszkań na wynajem.

Jedynie PSL było trochę niepocieszone, gdyż zgłoszone przez Władysława Kosiniaka-Kamysza wydatki na bezpieczeństwo zostały już „skonsumowane” przez Tuska w zasadniczej części wystąpienia, a o rozwijaniu kultury narodowej premier już nie wspomniał, gdyż nie dostał od ludowców żadnego konkretnego. Kiedy jednak odpowiadał później na poselskie pytania, skorzystał z okazji i nadrobił zaniechanie.

Zarazem premier ustąpił też koalicjantom w sprawie powołania rzecznika rządu. Był to postulat oficjalnie forsowany głównie przez Hołownię, chociaż kciuki trzymały wszystkie mniejsze partie. Do tej pory to Tusk bowiem ogłaszał istotniejsze rządowe projekty, automatycznie stając się ich twarzą. I to niezależnie od tego, z którego resortu wychodziły i czyją wyborczą obietnicę realizowały. Toteż małuchy wolą, żeby takie sprawy komunikował rzecznik, którego pozycja polityczna będzie już dużo słabsza, ►

► a przynajmniej nie tak silna, żeby ignorować oczekiwania poszczególnych ministrów.

Tusk miesiącami ignorował apele o powołanie rzecznika, ale osłabiony porażką Trzaskowskiego uległ i przez cały tydzień trwało poszukiwanie kandydata. Każdy z liderów zgłosił swoje typy, chociaż od początku było jasne, że premier postawi na kogoś z własnej formacji. Zapowiadał zresztą, że ma to być „poważna figura polityczna”, więc na giełdzie krążyły głównie nazwiska poselskie: Macieja Wróbla, Adama Szłapki, Aleksandry Gajewskiej. Decyzja miała zapaść w miarę szybko i być może czytelnikom tego numeru POLITYKI jest już nawet oficjalnie znana.

A do tego jeszcze Tusk zgodził się na ustanowienie formalnego cotygodniowego rytmu spotkań rady koalicyjnych liderów, żeby można było na bieżąco omawiać problemy. I to też był z jego strony gest uległości, bo wcześniej się przed tym wzbraniał. Atmosfera na zapleczu trochę się zatem ociepliła, chociaż nikt nie miał pewności, czy koncyliacyjność Tuska nie jest tylko taktycznym cofnięciem się w momencie słabości. Od lepiej znających premiera można jednak usłyszeć, że zawsze był on politykiem elastycznym w kwestiach, które nie są dla niego zasadnicze. Można więc spodziewać się w najbliższych miesiącach jego zwiększonej wrażliwości na potrzeby koalicjantów, również przy okazji zapowiadanej rekonstrukcji rządu. Ale w miarę zbliżania się wyborów pewnie będzie zaostrzał relacje, kierując się już wyłącznie interesami własnej formacji.

Przełom, którego nie było

Ale już szeroka opinia publiczna przyjęła wystąpienie Tuska bardziej niż cierpko. Szczególnie medialni komentatorzy, którzy wcześniej podsycali oczekiwania wobec „drugiego exposé”, spodziewając się usłyszeć coś przełomowego. Choć nie było ku temu realistycznych powodów. Po dotkliwej porażce Tusk przede wszystkim równał rozproszone szeregi i nie miał głowy do planowania przyszłej ofensywy. Nie było zresztą czasu na pisanie rządowych strategii, wszystko działo się w biegu, pod presją rodzących się z dnia na dzień wyzwań. No i pamiętajmy o znanej od lat alergii Tuska na wielkie polityczne wizje.

Zawód w mediach był jednak spory, co pewnie wpłynęło na ogólną percepcję wystąpienia. Tusk skupił się na dotychczasowych dokonaniach swojego rządu, jego zdaniem niedocenianych, nie wybiegając specjalnie w przyszłość. Podkreślił aktualność mandatu swojego rządu, czyli 11 mln głosów oddanych na koalicyjne ugrupowania w 2023 r., jako uzupełniające źródło legitymizacji uznając przede wszystkim rosnące od tamtej pory wydatki na bezpieczeństwo i solidarność społeczną, wyższe tempo wzrostu gospodarczego przy spadającej inflacji, urealnienie wielkich projektów rozwojowych z CPK na czele, szczerniejszą granicę i spadającą liczbę nielegalnych imigrantów.

I chociaż nie pominął też osiągnięć w polityce europejskiej oraz kolejny raz potwierdzał swoją determinację rozliczenia poprzednich rządów, całość sprawiała wrażenie, jakby to właśnie rządy PiS nadal stanowiły dla Tuska jedyny kontekst, bez którego po niemal dwóch latach sprawowania władzy pewnie nie byłby w stanie uzasadnić się jako władca. Trzymał się bowiem uparcie hierarchii wartości ustanowionych jeszcze w epoce Kaczyńskiego, samemu pretendując do roli ich jedynego realnego gwaranta.

Z tej perspektywy koalicja 15 października nie stanowi istotnej jakości, w jakimś sensie to tylko lepszy, nieco skuteczniejszy PiS. Co już samo w sobie było dosyć karkołomne, odkąd Tuskowi coraz



trudniej pozbyć się łatki polityka, który ma szczególnie lekką rękę do obietnic. Pewnie nie miał dobrego wyjścia, bo w kolejną porcję zobowiązań pewnie mało kto by dzisiaj uwierzył. W jakimś sensie walczył jednak w Sejmie z wiatrakami, nie podejmując próby przemodelowania odziedziczonego po PiS zestawu pryncypiów. Na agendę w pełni alternatywną oczywiście też nie ma teraz miejsca ani popytu, niemniej po porażce poszukującego konwergencji z prawniczym schematem Trzaskowskiego być może przydałoby się teraz trochę bardziej podkreślić cywilizacyjną różnicę dzielącą Polskę Tuska od Polski Kaczyńskiego.

I tego chyba też właśnie oczekiwał od premiera komentariat, nawet jeśli na różne sposoby owe oczekiwania formułowano. Jedni domagali się bowiem klarownej rządowej strategii, a nawet znienawidzonej przez premiera wizji, inni zaś – określenia paru kluczowych priorytetów, dzięki czemu rząd mógłby się na czymś wreszcie skupić i zacząć „dowozić” ustawy, które wyborcy będą kojarzyli wyłącznie z nim. Bo co z tego, że łaskawie kontynuuje „pisowskie” 800 plus?

W jakimś sensie powróciło więc napięcie z okresu poprzednich rządów Tuska, kiedy po demokratycznej stronie toczył się wewnętrzny spór o „ciepłą wodę w kranie”. Jednym w zupełności ona wystarczała, przynajmniej dopóki pomagała skutecznie powstrzymywać PiS. Inni odrzucali takie alibi, krytykując Tuska za minimalizm i domagając się ambitniejszej polityki państwowej. Spór naturalnie wygasł, kiedy „ciepła woda” wyczerpała swoje polityczne możliwości, a dzisiejsze kunktatorstwo Tuska nie jest już elementem żadnej strategii, tylko jest efektem zaniechań, braku dobrego zarządzania, sprzecznych koalicyjnych interesów. I nad tym premier będzie musiał z pewnością teraz popracować, i to niezależnie od tego, jak to sprzeda komunikacyjnie.

Przemawiając do zapełnionej jedynie w połowie sali sejmowej, Tusk dostał zresztą dodatkowy argument, żeby śmieiej oderwać się od agendy przeciwnika. Decyzja PiS, żeby zbojkotować wystąpienie Tuska – w domyśle: politycznego nieboszczyka, którego



Premier Tusk wygłasza
exposé w Sejmie

już nie ma sensu słuchać – była swoją drogą bolesną metaforą naszej polityki, która toczy się w coraz szczelniejszych silosach, i nie istnieje już przestrzeń wspólna do choćby minimum uczciwej debaty. Nieobecni nie mają jednak racji i być może lepiej byłoby jednak Tuskowi całkiem odpuścić sobie tego dnia polemiki z formacją Kaczyńskiego.

Tym bardziej że premier już od jakiegoś czasu przeżywa obniżkę retorycznej formy i tego dnia również wypadł poniżej swoich standardów. Co było szczególnie wyraźne, kiedy po paru godzinach wrócił na sejmową mównicę, żeby odpowiadać na poselskie pytania. W wykonaniu posłów PiS – wcześniej ostentacyjnie przecież niezainteresowanych mową Tuska – był to spektakl demagogii oraz pospolitej często głupoty. I zamiast to po prostu zignorować, szef rządu wdał się w chaotyczne nierzadko polemiki, a nawet imiennie droczył się z pokrzykującym coś w jego stronę Dariuszem Mateckim. Tylko po co nobilitować człowieka, dla którego partnerem do rozmowy powinien być dzisiaj prokurator, a nie premier polskiego rządu?

Zmienić tak, żeby zostało po staremu?

Bez problemu przegłosowane wotum zaufania ostatecznie ważyło więc mniej niż publiczne rozczarowanie wystąpieniem szefa rządu. Dodatkowo potęgując kryzys autorytetu Tuska po ostatnich wyborach. Powoli zaczyna on już nawet pojawiać się w samej Koalicji Obywatelskiej, która dotąd stanowiła niezdyktowaną twierdzę Tuska. W rozmowach z jej politykami zwątpienie w jego przywództwo jeszcze nie jest jednoznacznie wyrażane, niemniej pojawiły się pierwsze oznaki sceptycyzmu, co może zapowiadać erozję zaufania.

Z jednej strony słychać znajome „Donald coś wymyśli”, a więc zrobi udaną rekonstrukcję, zagoni rząd do roboty, stoczy wygraną wojnę z prezydentem Nawrockim. Problem w tym, że nie jest to aż tak silne źródło otuchy jak jeszcze niedawno. Coraz trudniej wykrzesać wiarę, że wszystkie te cząstkowe osiągnięcia mogą się raz jeszcze skumulować w wyborczym zwycięstwie

za dwa lata. Czasu niby wciąż jest sporo, chociaż sukcesywnie ucieka, a kupowanie go po trochu doraźnymi manewrami dzisiaj niczego już nie gwarantuje. Zmianę należałoby wdrożyć od razu.

Tymczasem słychać głównie o dalszych personalnych manewrach. A to że Tusk wymieni wreszcie sekretarza generalnego w Platformie. A to że postawi kogoś nowego na czele klubu KO w Sejmie. Tylko jakie to ma znaczenie? Pewnie nie znajdzie nikogo lepiej znającego partię od obecnego sekretarza Marcina Kierwińskiego. Gdyby miał lepszego kandydata od dzisiejszego szefa klubu Zbigniewa Konwińskiego, to pewnie by go wysunął na początku kadencji. Chyba że zwolni się jakieś nazwisko po rządowej rekonstrukcji, ale to wciąż byłby jedynie niewiele znaczący personalny recykling. Nie ma zresztą w Platformie partyjnej elity z prawdziwego zdarzenia, po którą lider mógłby sięgnąć i dokonać jakościowej zmiany. Każda taka zmiana będzie działaniem pozorowanym.

Niewiele też można powiedzieć o samej rekonstrukcji, chociaż w mediach to najgorętszy dziś temat i karuzela kadrowa kręci się w najlepsze. Ale Tusk jeszcze z nikim tak naprawdę nie podzielił się swoimi planami, być może nawet jeszcze sam ich nie ma. W radzie koalicyjnych liderów temat został na razie zasygnalizowany jedynie w formie wstępnych szkiców scenariuszowych, a każda ze stron też ma zresztą swoje oczekiwania.

Gdy zajrzy trwoga

W medialnych doniesieniach pełno jest jak zwykle spekulacji anonimowych platformersów, którzy przeważnie wyciągają wnioski na podstawie skąpych uwag szefa, jego przypadkowych zachnień, chwilowych nastrojów. Trudno się zarazem zorientować, jaka może być logika zmian w rządzie. Czy zapowiadana kuracja odchudzająca to po prostu wizerunkowe upiększenie? A może Tuskowi naprawdę zależy na realnym usprawnieniu prac rządu? Nigdy do tej pory specjalnie się tym nie przejmował, ale tym razem – mając choćby na uwadze koalicyjny rozgardiasz – wydaje się to absolutną koniecznością. Trzeba się jednak uzbroić w cierpliwość, gdyż operacja planowana jest dopiero na początek sierpnia, czyli okolice zaprzysiężenia prezydenta Nawrockiego. A być może nawet – bo i takie głosy już się pojawiły – zostanie przełożona o kolejny miesiąc, bo w środku lata ludzie przebywają na wakacjach i nie ma sensu zwracać im głowy jakąś rekonstrukcją.

Główny dzisiaj problem polega jednak na tym, że żadne z zapowiadanych działań nie będzie w stanie doprowadzić do prawdziwego przełomu. Zresztą koalicja chyba nawet sama siebie nie podejrzewa o zdolność zrealizowania czegoś naprawdę politycznie doniosłego, jakiegoś przełamującego reguły gamechangera. Co więcej, zapewne nie potrafiłaby nawet określić, na czym ta „doniosłość” miałaby polegać, toteż trzyma się utartych szlaków wytyczonych przez poprzedników albo po prostu mniej lub bardziej udolnie administruje państwem. A kiedy już trwoga naprawdę zajrzy w oczy demokratycznym siłom, powołany zostanie wspólny komitet, tym razem absolutnie już wszystkich frakcji, na kolejną rozstrzygającą konfrontację z pravicowym populizmem. Pod nowym szyldem i zapewne odnowionym przywództwem, bo przecież Tusk wyjdzie z tej kadencji całkiem już zużyty. Niemniej takie tropy są znajome od lat. Problem w tym, że jeżeli 1 czerwca to się nie udało, to trudno powiedzieć, dlaczego miałoby się udać następnym razem?

RAFAŁ KALUKIN



Urząd do spraw rządu

W kancelarii nowego prezydenta ma powstać sprawna maszyna, która umożliwi PiS powrót do władzy w 2027 r. Kto zatem znajdzie się w otoczeniu Karola Nawrockiego i będzie mu robił politykę?

ANNA DĄBROWSKA

Prezes Jarosław Kaczyński, świętując przy Nowogrodzkiej ze swoim najbliższym otoczeniem wygraną Karola Nawrockiego, wyraził się jasno – kancelaria prezydencka ma być od teraz ośrodkiem starcia z rządem Donalda Tuska. I według relacji jednego z ważnych sztabowców dodał: „Potrzeba nam w Pałacu wprawionych komandosów, którzy nie popełniają błędów, a nie harcerzy”. Wygląda na to, że przy Krakowskim Przedmieściu ma się zainstalować jednostka specjalna PiS, która będzie prowadziła działania o charakterze uderzeniowym, i będąca w ciągłej gotowości do realizacji w trudnych warunkach jednego celu – odzyskania władzy przez PiS.

Przemysław Czarnek to jedno z dziesięciu nazwisk z listy, którą Karol Nawrocki położył na biurku prezesa. Poczuli chemię w kampanii, spotykali się w sztabie przy Nowogrodzkiej i Nawrockiemu zależało, by mieć go w Pałacu. Prezes wyznaczył go na jednego z głównych komandosów. Czarnek ostro harował

w kampanii prezydenckiej. Zorganizował Ruch Ochrony Wyborów, czyli zebrał tysiące działaczy i sympatyków PiS, których partia wysłała do pracy w komisjach obwodowych w całej Polsce. – Przemek zorganizował kilkadziesiąt spotkań promujących Nawrockiego w terenie, pełne sale, świetnie wypadł i nie ma co ukrywać, często przyćmiewał tymi wystąpieniami Nawrockiego – ocenia jeden ze sztabowców. Od zawsze świetnie czuł się w kampanii polaryzacyjno-mobilizacyjnej, która przyniosła Kaczyńskiemu sukces. Niektórzy twierdzą, że dla Czarńka to jednak „zesłanie” do Pałacu, które ma przytemperować jego ambicje. Inni uważają, że jest wręcz odwrotnie – to awans i szansa na więcej. Pod koniec czerwca ma zostać wiceprezesa PiS.

Formalnie do zadań szefa Kancelarii należy m.in. nadzór nad zapewnieniem prawidłowej obsługi prezydenta i Czarnek faktycznie będzie nadzorował, a nie sam organizował. Małgorzata Paprocka, obecna szefowa Kancelarii prezydenta Dudy, z Pałacem



Spotkanie prezydentów i sztabowców. Od lewej: Wojciech Kolarski, sekretarz stanu w Kancelarii prezydenta Dudy; Małgorzata Paprocka, obecna szefowa tej Kancelarii (prawdopodobnie w niej zostanie); Andrzej Duda, Karol Nawrocki, Paweł Szefernaker, który ma zostać szefem prezydenckiego gabinetu, oraz Jarosław Dębowski, przyszły wiceszef gabinetu.

związana jest od 2009 r. Latami odpowiadała za Biuro Prawa i Ustroju. Chwała, że jest tu od wszystkiego – przetargi, zamawianie lotów, organizowanie delegacji, podpisywanie umów – bo niektórzy ministrowie odpowiedzialni za te sprawy nie pojawiają się w pracy zbyt często.

– Myślę, że z Czarnkiem będzie inaczej, bo to nie jest typ urzędniczy i ma mocniejszą polityczną pozycję niż Paprocka. Będzie wymagał i rozliczał, a sam zajmie się twardą polityką – uważa osoba związana z Pałacem. Dodaje, że dobrze by było, gdyby Czarnek skorzystał z dużego kancelaryjnego doświadczenia i pracowitości Paprockiej. Ona ledwo skończyła 40 lat i zawodowo ma jeszcze sporo do zrobienia. Mówi się, że potrzebuje chwilę odpocząć i jest gotowa dalej pracować dla czwartego już prezydenta za jej obecności w Pałacu. Podobno nawet ceniła sobie dotychczasowe kontakty z Przemysławem Czarnkiem. – *Paprocka przyczyniła się do zawetowania lex Czarnek, ale uważa go za inteligentnego*

człowieka, z którym można dyskutować i spierać się na prawniczym poziomie – opowiada osoba z Pałacu.

Pewnie jakaś propozycja się dla niej znajdzie, ale nie wiceszefowej Kancelarii, bo słychać, że to stanowisko ma przypaść Karolowi Rabendzie. To znajomy z lat szkolnych Nawrockiego z Gdańska. Dziś radny miejski PiS, wcześniej związany z Porozumieniem Jarosława Gowina i Partią Republikańską Adama Bielan. Za ostatnich rządów PiS zarabiał rocznie ponad 260 tys. zł w państwowej spółce, a potem przeszedł na stanowisko wiceministra aktywów państwowych. – *Organizacyjnie tak słaby, że ze sztabu został oddelegowany do towarzyszenia żonie Karola w jej kampanijnych aktywnościach. Jeśli pomysł jest taki, że wiceszef Kancelarii ma wszystko ogarniać, to Rabenda nie dowiezie* – mówi bez cienia wątpliwości polityk PiS z Pomorza.

Tytan pracy u wodzireja

W Pałacu, to już pewne, zainstaluje się Paweł Szefernaker. Kaczyński dał zielone światło – Szefer (to partyjna ksywka) ma zostać szefem prezydenckiego gabinetu. „Poznaliśmy się pół roku temu i przez te pół roku poznaliśmy się bardzo dobrze. Paweł Szefernaker jest bardzo doświadczonym politykiem nowej generacji!” – zachwalał szefa sztabu prezydent elekt na wieczorne wyborczym.

Ale Szefer i Nawrocki to dwa różne światy, mentalnie bardzo od siebie odległe. – *Karol to polityczny wodzirej bez doświadczenia, Paweł to inna liga, spokojny, doświadczony, tytan pracy* – mówi jeden ze sztabowców PiS. Jako szef sztabu Nawrockiego kilka razy musiał zaciskać zęby, bo współpraca z niedoświadczonym, a przekonującym o swojej wielkości kandydacie bywała sporym wyzwaniem. – *Pawłowi nie mieściła się w głowie na przykład ta akcja ze snusami, a potem jeszcze ta ściema Karola, że to była guma. Zaraz po debacie z Trzaskowskim musiał to prostować* – wspomina polityk PiS.

W głównych kampaniach pracuje od dekady. Jako 28-latek został najmłodszym ministrem w kancelarii premier Beaty Szydło, a później wiceszefem spraw wewnętrznych w obu rządach Mateusza Morawieckiego. Słynie z lojalności wobec prezesa PiS, więc Kaczyński będzie miał w Pałacu swojego pewnego człowieka. Ktoś zwraca uwagę, że choć Szefernaker nie bardzo miał ochotę rzekać się mandatu poselskiego na rzecz pracy dla Nawrockiego (tych funkcji nie można łączyć), to ma jednak jakąś osobistą satysfakcję. Wprowadzi się do gabinetu, który zajmuje Marcin Mastalerk. Doradca Andrzeja Dudy i szef jego prezydenckiego gabinetu będzie się niebawem pakował. Obaj są wychowankami Joachima Brudzińskiego, których sprowadził ich, jeszcze kiedy studiowali, do centrali PiS ze Szczecina. Na początku wynajmowali nawet wspólne mieszkanie i zacytywali się w „Ojcu chrzestnym”. Szefernaker miał melodię z tego filmu ustawioną jako dzwonek w telefonie. – *Ale potem się o coś pokłócili. Masta uważał, że bez niego żadna kampania się nie uda, a Paweł pokazał, że jest w stanie poprowadzić sztab do zwycięstwa. To boli Mastalerka* – opowiada znajomy obu polityków.

Szefernaker z łatwością wejdzie do kancelaryjnej maszyny, bo pozostanie dyrektorką gabinetu Joanna Tomaszewska, która pracowała z Mastalerkiem. W poprzedniej kadencji samorządowej była warszawską radną PiS, którą Szefernaker mocno wspierał i do dziś jest jego człowiekiem. W Kancelarii mówią, że zmiana Mastalerka na Szefera to świetna wiadomość, bo nowy szef gabinetu o niebo lepiej rozumie administrację i jest przewidywalny, czego nie mogli powiedzieć o poprzedniku. – *Paweł lubi mieć ►*

► *nad sobą jakiegoś szefa i nie będzie się ustawiał jak Mastalerek w roli nadprezydenta* – zauważa jeden ze sztabowców PiS.

Takich osobistych ambicjonalnych triumfów nad Mastalerkiem jest więcej. Sprawy międzynarodowe nowego prezydenta poprowadzi Marcin Przydacz. On też odda dla tej funkcji mandat posełski. Był wiceministrem spraw zagranicznych w rządzie PiS i byłym szefem biura polityki międzynarodowej w kancelarii Dudy. Mastalerek walczył z nim publicznie. „Marcin Przydacz nie jest poważnym kandydatem na prezydenta. Bez żartów. Według mojej wiedzy nie ma go w gronie kandydatów PiS na prezydenta. Sam się zgłaszał, wyrywał się, ale go pogonili” – mówił jesienią Mastalerek na antenie RMF FM. Przydacz odpowiedział mu w tym samym radiu: „Mastalerek przyjął rolę śmieszno-ciekawego komentatora. Świat się nie poznał na geniuszu Marcina Mastalerka”.

Nawrocki poznał się na Przydacz, który w kampanii przygotowywał go w tematach polityki zagranicznej. To on opracowywał odpowiedzi na gratulacje po elekcji prezydenckiej. – *Marcin nie był wielkim fanem kandydata Nawrockiego, ale później mocno zabiegał, by wejść do jego kancelaryjnej drużyny. Był sfrustrowany, że w sejmowej opozycji nie ma żadnego wpływu na politykę zagraniczną, która jest jego konikiem* – opowiada poseł PiS i dodaje, że będzie musiał z wyczuciem dzielić się teraz wpływami z Jackiem Saryuszem-Wolskim, o którym Karol Nawrocki wprost mówi, że jest jego doradcą do spraw europejskich. Po czterech kadencjach spędzonych w Parlamencie Europejskim (najpierw pod szyldem PO, a potem PiS) przepadł w eurowyborach w 2024 r., a teraz odnajdzie się przy prezydencie.

Koledzy z IPN

Karol Nawrocki wie, że potrzebuje partyjnych fighterów, ale w zeszytygodniowym wywiadzie dla „Dziennika Gazety Prawnej” zaznaczył, co zostało zauważone w PiS: „Patrzę na kształt Kancelarii jako na wynik mojej drogi: od pracy społecznej w Muzeum II Wojny Światowej, IPN, pół roku kampanii wyborczej. Nie mam żadnych zobowiązań wobec kogokolwiek”. To był jasny sygnał, że nie zapomni o swoich ludziach spoza PiS, z którymi czuje o wiele silniejsze więzi niż te wypracowane przez pół roku, i będzie miał dla nich etaty w Pałacu. To profesjonaliści, do których ma duże zaufanie, bo sprawdzili się w IPN i dawali mu wielki komfort organizacyjny. „To przecież w ogóle nie są politycy: Jarosław Dębowski, przyszły wiceszef gabinetu, współpracuje ze mną od czasów Muzeum II Wojny Światowej. Rafał Leśkiewicz, który będzie moim rzecznikiem, od wielu lat pracuje w IPN”. To oni uzgadniali z urzędnikami Kancelarii przy Wiejskiej, gdzie tymczasowo zainstalował się prezydent elekt, organizację wywiadów, których udzielił zaprzyjaźnionym z PiS telewizjom – wPolsce24 i TV Republika. Dębowski, nazywany w PiS, „Jarkiem z broda”, to dotychczasowy dyrektor biura prezesa IPN, który na czas kampanii wziął urlop bezpłatny i nie odstępował Nawrockiego na krok.

Leśkiewicz jest od niemal 25 lat związany z IPN. Od 2007 r. pracował w kluczowym Biurze Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Warszawie, także jako dyrektor, a Nawrocki mianował go na rzecznika Instytutu. Leśkiewicz uważa się za urzędnika państwowego, ale teraz przechodzi do twardej polityki, bo taka jest rola prezydenckiego rzecznika. – *Obaj są niesamowicie pracowici i zorganizowani. Przy Czarnku i Szefernakerze, którzy będą ustami Nawrockiego, oni będą ludźmi cienia od codziennej żmudnej roboty* – mówi sztabowiec PiS.

Nawrocki w wywiadzie dla „DGP” potwierdził, że na pewno w Pałacu ważną rolę dostaną jego doradcy Jan Józef Kasprzyk (mocno zaangażowany w organizację miesięcznic smoleńskich) i Grzegorz Berendt: „Każdego z nich traktuję bardzo poważnie i będę chciał wykorzystać ich potencjał w Pałacu Prezydenckim. W jakiej formie? Tego jeszcze nie wiem”. Formalnie wszyscy z 17 etatowych doradców Andrzeja Dudy i ci społeczni (16) 6 sierpnia tracą stanowiska, a ministrom prezydenckim kończą się umowy o pracę. Dr Berendt z Uniwersytetu Gdańskiego, od lat związany z IPN, to mistrz Nawrockiego, promotor pracy doktorskiej Nawrockiego, który „na studiach dał mu wielką szansę”. Zaproponował udział w badaniu historycznym i otworzył drogę do Instytutu. Gdy 34-letni Nawrocki awansował na dyrektora Muzeum II Wojny Światowej, powołał Berendta na swojego zastępcę i doradcę w IPN.

Ktoś z PiS mówi, że Nawrocki walczy o stanowisko w BBN dla Sławomira Cenckiewicza. Choć Kaczyński darzy tego gdańskiego historyka szacunkiem głównie za to, że upowszechniał wiedzę o agenturalnej przeszłości Lecha Wałęsy, a w innej książce wychwalał prezydenturę brata prezesa – Lecha, to raczej nie pozwoli mu zostać szefem BBN. – *On jest za bardzo niezależny na takie stanowisko, nie daje Kaczyńskiemu gwarancji sterowności i ma za mało wojskowego doświadczenia. Mariusz Błaszczak walczy o BBN dla swoich zaufanych ludzi i na tym ostatecznie stanie* – zapowiada zorientowany poseł. Chodzi o Sebastiana Chwałkę, działacza partyjnego, byłego wiceszefa MON i za rządów PiS także prezesa Polskiej Grupy Zbrojeniowej. W grze jest też nazywany pretorianinem Błaszczaka gen. Krzysztof Radomski, którego ten awansował na szefa Inspektoratu Kontroli Wojskowej.

Przyjaciele z podwórka

W Radiu Zet jeszcze kandydat na prezydenta Nawrocki zapowiedział, że jak wygra wybory, zabierze ich ze sobą do Pałacu – trzech przyjaciół ze sportowego podwórka – bo „są gotowi, by służyć państwu polskiemu”. Pisaliśmy już o nich zaraz po wyborach. Przypomnijmy, że chodzi o Marcina Marczaka, byłego boksera zawodowego, ps. Polish Express, właściciela klubu Ring3City, do którego Nawrocki wpadał na trening. Nawrocki awansował Marczaka na zastępcę dyrektora oddziału IPN we Wrocławiu. Drugi to Łukasz Witek, trener piłkarski, znajomy prezydenta elekta z klubu EX Siedlce, a dziś dyrektor Biura Przyśtanków Historia. I trzeci, Mateusz Kotecki, obecnie jest szefem biura kadr w IPN, kolega Nawrockiego z klasy w liceum, pięściarz i zapalony kibic. Nie ukrywa swoich związków z PiS, był asystentem Andrzeja Jaworskiego, ulubionego posła o. Rydzyka. Fizyczna siła tych trzech wspierała kampanię Nawrockiego. Wyciskali z nim pompki i dźwigali dary dla powodzian, bywali ochroniarzami na spotkaniach wyborczych. „Dzięki tym ludziom IPN jest instytutem przyszłości narodowej” – mówił Nawrocki.

Na zmiany w IPN przez najbliższe lata się nie zanosi i wielu ludzi związanych z partią, których Nawrocki pozatrudnił tu po przegranych przez PiS wyborach parlamentarnych, pracując na zaufanie Kaczyńskiego, zostanie w Instytucie. Wielkiego desantu do Pałacu nie będzie. To m.in. Agnieszka Kamińska, była prezes Polskiego Radia, Marcin Zarzecki, prezes Polskiej Fundacji Narodowej za rządów PiS, wojewoda pomorski Dariusz Drelich czy nazywany Misiewiczem Piotra Glińskiego warszawski radny Piotr Mazurek.

Kiedy Nawrocki zostanie 6 sierpnia zaprzysiężony, nastąpi „opróżnienie stanowiska” prezesa IPN i konieczność wyboru



Głównym kandydatem na szefa Kancelarii jest Przemysław Czarnek

Zadania Kancelarii Prezydenta:



wykonywanie zadań związanych z kompetencjami prezydenta określonymi w Konstytucji RP i w ustawach

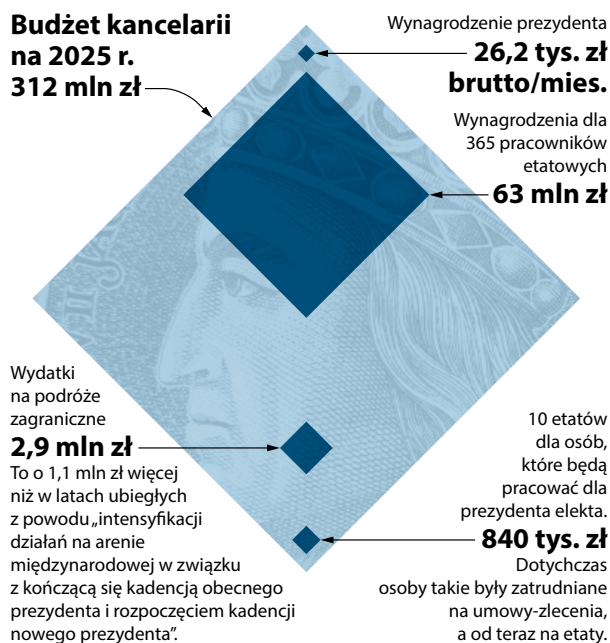


działanie zgodnie z decyzjami i poleceniami prezydenta



zapewnienie obsługi merytorycznej, organizacyjnej, prawnej i technicznej prezydenta, szefa Kancelarii Prezydenta RP oraz sekretarzy i podsekretarzy stanu

Budżet kancelarii na 2025 r. 312 mln zł



Andrzej Duda zatrudnia też 17 etatowych doradców z pensjami **ponad 10 tys. zł/mies. na osobę.** 6 sierpnia wraz z zakończeniem jego kadencji wszyscy zostaną odwołani. Karol Nawrocki będzie mógł zatrudnić niektórych z nich, a także swoich nowych doradców.

nowego szefa. Konkurs rozpisze kolegium IPN, a potem wskaże zwycięzcę. Dziewięcioosobowe kolegium jest „zabetonowane” przez PiS do 2030 r. Sprzymierzeńcy Jarosława Kaczyńskiego mają tam większość. Wybór kolegium zatwierdza Sejm zwykłą większością głosów, a jeśli obecny Sejm, co jest bardzo prawdopodobne, odrzuci kandydaturę kolegium, to ono rozpisze nowy konkurs. Jeśli kolegium nie porozumie się z sejmową większością, procedura może być powtarzana bez końca. Najpewniej do 2027 r., do kolejnych wyborów parlamentarnych, które może wygrać PiS, i znów prezes PiS wybierze prezesa IPN. – *Nastroje są dobre, bo w tej sytuacji nie będzie zwolnień, gdyż obowiązki prezesa będzie pełnił wiceprezes Karol Polejowski, który jest bliskim i wdzięcznym współpracownikiem Karola* – mówi osoba związana z IPN.

Sytuacja uspokaja się też w PiS, bo kto nie chciał przechodzić do Pałacu i rzucać mandatu poselskiego, już odmówił, zapewniając jednocześnie o dobrej współpracy. Choć uwierzyli zapewnieniom Kaczyńskiego, że za dwa lata dostaną najlepsze miejsca na listach PiS do Sejmu, to jednak czują, że chcą rozgrywać swoje w parlamencie. Podobno argumentem było też to, że jako ministrowie w Kancelarii zarobią mniej, bo odpadnie im dieta poselska (ponad 4 tys. zł miesięcznie).

Plan ataku

Mówiło się, że Nawrocki na liście przedstawionej Kaczyńskiemu na wysokiej pozycji miał Andrzeja Śliwkę, prawnika, wiceministra aktywów za rządów Sasina w resorcie, posła PiS, który sprawdził się w sztabie. Nawrocki pytany, kto będzie prezydenckim prawnikiem, odpowiadał enigmatycznie: „Mam nadzieję, że uda się rozpocząć współpracę z politykiem prawnikiem” i chodziło mu właśnie o Śliwkę. – *Andrzej to polityczny frontman, bardzo sprawny także medialnie, ale chce walczyć na odcinku parlamentarnym* – mówi poseł z jego towarzyskiego kręgu. Współpracy odmówił też inny sztabowiec, pomorski poseł PiS Marcin Horała.

Pewniakiem jest za to poseł Adam Andruszkiewicz (dawnie związany z Młodzieżą Wszepolską, były prezes Ruchu Narodowego), który w kampanii odpowiadał za działania internetowe, oraz Dawid Dziama, wieloletni pracownik centrali PiS i Kancelarii Premiera. Do prezydenckiego piarowego *dream teamu* dołączy też Anna Plakwicz (od spółki Solvere i kampanii „sprawiedliwe sądy”), którą sztabowcy nazywają dyrektorem kreatywnym kampanii Nawrockiego. – *Z nimi na pokładzie Karol będzie miał najskuteczniejszą promocję swojej prezydentury* – cieszy się poseł PiS.

Podczas spotkania ze sztabowcami i najważniejszymi politykami PiS Kaczyński mówił, że teraz kluczowe są wybory parlamentarne i właśnie rozpoczęła się kampania o powrót do władzy. Jeden z ważnych polityków opowiada, że celem jest odwrócenie opinii o tym, że to Nawrocki blokuje Tuska. – *Nasz przekaz będzie jasny, prezydent będzie wysyłał ustawy do Sejmu, a to większość Tuska będzie je blokować i Polacy mają zrozumieć, że dla ich dobra trzeba zmienić rząd, bo z tym nic się nie da dla nich załatwić* – zdradza rozmówca POLITYKI.

Nawrocki ironicznie zapowiedział w „DGP”: „Tak, zrobię Donaldowi Tuskowi te konkrety”. A najwięcej tych, które dotyczą kieszeni Polaków, bo Kaczyński wie, że tak najłatwiej wrócić do władzy. Będzie więc hojnie i z rozmachem: zwiększona kwota wolna od podatku, obniżenie stawki VAT, zwolnienie z podatku rodziców dwójki i więcej dzieci, obniżenie cen prądu. Tylko że to rząd będzie musiał znaleźć na to wszystko pieniądze, których nie ma. A skąd? Nawrocki ma receptę: „Mamy to wszystko wyliczone”, chodzi o pieniądze z luki VAT-owskiej, czyli ze złodziejstwa, na które przyzwala koalicja 13 grudnia.

– *Stworzymy coś, czego jeszcze nie było, szeroki front prezydencki w parlamencie. Czarnek będzie wchodził na mównicę z ustawami, a my będziemy o nich grzmieć w Sejmie i punktować rządzących, że je blokują* – zapowiada ważny polityk PiS. I dodaje, że to będzie wielkie „sprawdzam” dla PSL oraz Konfederacji i otwarcie drogi do budowania koalicji z PiS za dwa lata. Na Nowogrodzkiej są przekonani, że Nawrocki będzie o wiele bardziej pomocny niż Duda. Z zaskakującą pewnością mówi sztabowiec z Nowogrodzkiej: – *W otoczeniu Andrzeja hulał wiatr, a u Karola to będzie doskonale naoliwiona maszyna, która zdmuchnie Tuska i jego ekipę...*

ANNA DĄBROWSKA



Krzysztof Izdebski – członek zarządu Fundacji Batorego, specjalista ds. rzecznictwa, rozwoju i nowych technologii. Członek Rady Programowej Archiwum Osiatyńskiego.

Racje i narracje

Rozmowa z **Krzysztofem Izdebskim** z Fundacji Batorego o tym, jak media społecznościowe przeorganizowały politykę i wybory, o nowym konflikcie góra – dół i tym, jak można się uchronić przed naporem prawicy.

MALWINA DZIEDZIC, ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA: – **Pojawiają się głosy, że wybory prezydenckie w Polsce były ewenementem na skalę Europy, a może i świata: pierwsze tak „internetowe”, z udziałem kilkunastu kandydatów, z kilkoma debatami. Wszystko to śledziły w sieci tysiące ludzi.**

KRZYSZTOF IZDEBSKI: – Trudno to oczywiście porównywać np. ze Stanami Zjednoczonymi, gdzie ruch w sieci jest olbrzymi, zresztą w naszym regionie również jest niemały. Bardzo różne są też platformy mediów społecznościowych, które są popularne w danym kraju. U nas zwiększa się rola TikToka, cały czas dość

ważne są Facebook i X (dawny Twitter – przyp. red.). W Rumunii, gdzie też ostatnio odbyły się wybory, X ma bardzo małe oddziaływanie, tam dominują TikTok i Facebook. Natomiast bez żadnych wątpliwości można stwierdzić, że kampania w mediach społecznościowych czy szerzej: w internecie, bo to też warto rozróżniać, zyskuje na popularności. Z wielu przyczyn. Przede wszystkim w tym internecie jest elektorat. I o ile kiedyś była to domena młodszych segmentów wyborców, o tyle teraz – jak wynika m.in. z badań CBOS – wszystkie grupy wiekowe mają dostęp do internetu i z niego korzystają. Tu łatwiej dotrzeć do ludzi niż z billboardów. Kiedyś z wypiekami na twarzy oglądaliśmy bloki programów wyborczych w telewizji publicznej. Dziś to już nie jest efektywne. Również dlatego, że media społecznościowe dają bardzo wiele możliwości dostosowywania przekazu do różnych grup odbiorców (czyli targetowania), i to mniejszym kosztem niż tradycyjnymi metodami.

Jeden z polityków PO twierdzi nawet, że to w sieci rozgrywa się zasadnicza część kampanii, a cała reszta to trochę „program obowiązkowy”, „turystryka kampanijna”, która dostarcza obrazki, ale przyciąga głównie przekonanych.

Pytanie, co się zdarzyło od 2023 r., od tego wielkiego prodemokratycznego zrywu, że tym razem w social mediach triumfowały jednak PiS i skrajna prawica.

Media społecznościowe są niczym bez życia rzeczywistego, one przecież muszą napełnić się treścią. Sławomir Mentzen doskonale to zrozumiał, i to nie w styczniu tego roku, tylko dużo, dużo wcześniej. Zbudował w sieci olbrzymie zasięgi organiczne. Na TikToku cały czas wyprzedza Rafała Trzaskowskiego czy Karola Nawrockiego. To efekt bardzo konsekwentnej polityki komunikacyjnej, wiążącej się chociażby z tym, że odwiedził każdy powiat. Bo, powtórzę, nie da się zrobić kampanii wyłącznie w mediach społecznościowych, to musi być połączone z nawiązywaniem relacji, z pokazywaniem siebie ludziom. Mentzen robił to ze świadomością, że gesty i symbole są ważne. Proszę zwrócić uwagę, że Rafał Trzaskowski przemawiał do ludzi z wysokiej sceny, w ostatniej fazie kampanii zapraszał na nią niektóre osoby, zachęcał do zadawania pytań – to nie wyglądało spontanicznie ani autentycznie, powstawało raczej wrażenie selekcji. Karol Nawrocki wchodził w tłum i był na dużo niższym poziomie, od razu sprawiał wrażenie swojaka. Taki sam jest efekt „piwa z Mentzenem” – bo kto nie lubi piwa? Z tego są potem świetne obrazki. Oni po prostu lepiej się do tego przygotowali. Rafał Trzaskowski był też średnio obecny na TikToku, nie miał dobrze dobranych przekazów, nawet jednego filmu, który porywa, chwytą za serce, z łopoczącą flagą i obietnicą, że będzie dobrze.

To błąd sztabu, brak wyobraźni czy jakiejś konkretnej opowieści, którą liberalna strona mogłaby snuć i porwać ludzi? W 2023 r. ta opowieść była klarowna: „Mamy dość PiS, chcemy zmian”.

Wszystko po trochu. W 2023 r. rzeczywistość była inna, silniejsza była pozycja Donalda Tuska i Szymona Hołowni. Koalicja, lewica, Trzecia Droga płynęły na fali zmęczenia rządami PiS i afer. To był inny klimat, „stan wyjątkowy”. Siłom demokratycznym udało się wyzwolić energię i przejąć narrację, prostą, więc też odpowiednią do internetu: mamy dość, chcemy czegoś innego, dajemy wam nadzieję. Było na czym budować. Ta energia uleciała, zrobiło się sennie. Trzaskowskiemu rząd bardzo ciążył, należało symbolicznie się od niego odciąć, może zrezygnować z funkcji wiceprzewodniczącego PO, którą w internecie

i debatach kontrkandydaci ciągle przywoływali i obśmiewali, żeby jeszcze silniej zlepici go z Tuskiem.

Na TikToku ujawnił się sojusz zwolenników Sławomira Mentzena i Karola Nawrockiego, który prowadził kampanię negatywną w stosunku do Trzaskowskiego. Hasło „był nie Trzaskowski” było ogromnie popularne, sztab kandydata KO nie był na to przygotowany. On sam w mediach społecznościowych takiej kampanii negatywnej nie prowadził lub prowadził ją w małym stopniu, skupiał się na ogólnych przekazach, akcje nie były tak dobrze dobrane i skoordynowane jak po prawej stronie.

Sztab Trzaskowskiego szedł w poprzek tego, co dziś wiemy o mediach społecznościowych: algorytmy wolą to, co jątrzy, polaryzuje, budzi silne emocje. A kandydat KO podkreślał, że trzeba łagodzić napięcia, tonować emocje i znosić podziały. Prawica ma chyba prościej?

Ma prostsze przekazy, a o zasięgi walczy konsekwentnie od lat, zresztą nie tylko w Polsce i również pośrednio z pomocą rosyjskiej dezinformacji, bazując na treściach „szczepionkosceptycznych”, straszeniu migracjami itd. Na tym się buduje pewne postawy, dlatego pojawiająca się w kampanii sprawa bezpieczeństwa od razu była łączona z obrazkami migrantów na granicy czy wyrwanymi z kontekstu obrazami z miast zachodniej Europy.

W analizie kolektywu Res Futura można przeczytać, że „to, co kiedyś stanowiło siłę liberalizmu – otwartość, zaufanie, uniwersalizm – stało się jego barierą w tej zredukowanej przestrzeni informacyjnej”. Media społecznościowe zamykają nas w bańkach. Pytanie, czy strona liberalna ma szansę przebić się ze swoim przekazem, a zarazem zachować własną tożsamość.

Myślę, że więcej powinno być myślenia, planowania, mniej narzekania, że „prości ludzie nie rozumieją”. Przekazy trzeba profesjonalizować. Pytanie jest zresztą szersze: czy demokraci w ogóle „potrafią w narrację”. Barackowi Obamie to się udało. Był pierwszym, który zaczął używać mediów społecznościowych do tego, żeby aktywizować, mobilizować różne części elektoratu. Wykorzystywał mikrotargeting, miał dobre hasła, ludzie czuli się wyróżnieni. W sztabie Trzaskowskiego zabrakło analizy wrażliwości wyborców Nawrockiego i PiS. Oni czuli się po prostu gorzej traktowani.

Kampania Trzaskowskiego – co do tego jest chyba zgoda – była generalnie nieco nijaka. Choć oczywiście miał trudniej. Natomiast należało zadbać o zasięgi wcześniej, a rząd mógł mocniej chwalić się sukcesami, np. odblokowaniem KPO. Ministrowie nic takiego nie robili, nie czuło się żadnej walki z narracjami prawicy.

Tymczasem PiS i Konfederacja to były bardzo zgrane drużyny. Trzymały się strategii. Tu zdjęcie z przekazaniem worka ziemniaków podopiecznemu DPS by po prostu nie przeszło, bo nikt nie działał sam. Adrian Zandberg łowił z kolei wśród młodych ludzi, co też przeczy wielu tezom, że radykalni młodzi to wyłącznie elektorat Mentzena. Kilka tygodni przed pierwszą turą opublikowaliśmy w Fundacji Batorego raport, w którym przekonujemy, że radykalizm młodych to częściej głos protestu niż poparcia dla konkretnego kandydata.

Tyle że ulubieńcy social mediów nie zdobyli wielkiego poparcia. Czerwone korale dały Joannie Senyszyn ok. 250 tys. głosów. Nawet „potężny Duńczyk” okazał się gigantem na mikroskalę, zdobywając niecałe 5 proc. głosów.

Co potwierdza tezę, że sam internet nie daje zwycięstwa. A swoją drogą fenomen tych koralików pojawił się bardzo późno. Z kolei Adrian Zandberg prowadził kampanię tam, gdzie są ►

► młodzi ludzie – przykładowo długo grał w gry online również z tymi młodymi, którzy niespecjalnie interesują się polityką. Tu liczył się przede wszystkim YouTube, który angażuje młodych. To był dobry ruch. Wybory to jest wiele lat pracy. Mówi się nie bez przyczyny, że zaczynają się następnego dnia po ogłoszeniu wyników, a nawet już w trakcie przemówień w wieczór wyborczy. Choć znów się potwierdza, że nie tylko internetem polityka żyje.

Cofnijmy się o 10 lat, bo to wtedy social media zaczęły odciskać zauważalne piętno na polskich kampaniach wyborczych. Sztabowi Andrzeja Dudy udało się wykreować obraz polityka nowoczesnego i europejskiego, naprzeciw którego był pan z wąsem: stary, anachroniczny prezydent. Bronisław Komorowski stał się symbolem obciachu. Tak wówczas, jak i teraz liczyła się przede wszystkim siła kolportowania narracji, nie fakty.

Znów wygrały obrazki: Duda jeździł, ścisnął ręce, robił selfie. Druga strona to zignorowała. Z różnych badań wynika, że mamy trzy do dziewięciu sekund na złapanie uwagi odbiorcy w sieci. To po prostu muszą być memy. Niekoniecznie nawet negatywne czy przedrzeźniające, chodzi o pewien format. W ten sposób rodzi się też poczucie masowego poparcia. Trudniej wyprowadzić 100 tys. ludzi na ulice, niż zebrać 100 tys. wyświetleń.

Wtedy podział był prosty: młodość kontra starość, nowoczesność kontra wsteczność. Teraz zaś zaserwowano nam zgoła inną opowieść i nowy podział: góra – dół. Poważne wątpliwości dotyczące przeszłości Karola Nawrockiego udało się przykryć łzawą opowieścią o chłopaku z nizin, który musi walczyć z „kandydatem elit” – wiedza, znajomość języków i doświadczenie grały na niekorzyść Trzaskowskiego. Ten umowny „dół” jest przedstawiany jako domyślnie lepszy. Takie podziały zwykle nic dobrego nie przynosiły.

Ale one były zawsze. Pisał o tym prof. Andrzej Leder w „Przeźnionej rewolucji”: nie da się tego zrationalizować, kluczowe jest poczucie krzywdy. „Lud” nie wierzy prezydentowi Warszawy, kiedy mówi o wykluczeniu komunikacyjnym. Łatwiej uwierzy Karolowi Nawrockiemu, który może i zajął komuś mieszkanie, ale twierdzi, że rozumie ludzi.

Ale podobnie jak w USA, gdzie miliarder Trump „walczy” z establishmentem, tak i u nas za przedstawicieli „dołu” chcą uchodzić przedstawiciele elit.

Sprawa z elitami jest dość płynna, te podziały nie są wcale takie oczywiste. Cofnijmy się jeszcze mocniej, do lat 90., czasów sprzed internetu. Stan Tymiński przyjechał z Peru z teczką jak biznesmen i udało mu się wykreować Lecha Wałęsę na człowieka elit zblatowanego z postkomunistami – elektryka, działacza związkowego z wykształceniem podstawowym! Tam też wydawało się przez pewien czas, że będzie „na żyłki”. Natomiast w 2015 r. mieliśmy do czynienia ze znużeniem rządami PO, w tym wypadku Ewy Kopacz. To był rok „rewolucji godnościowej” i 500 plus. PiS mówił, że dowiezie, a potem pokazał, że jest sprawczy. A PO mówiła, że się nie da. To zawsze jest kosztowne dla wiarygodności.

Mam zresztą wrażenie, że ta walka została przegrana i niedoceniona 30 lat temu. Było wtedy poczucie „końca historii”, że wszystko zmierza w dobrym kierunku, kapitalizm wygrał. Ale tak nie jest, społeczeństwa się zmieniają i pojawiają się nowe wyzwania, a prawica znajduje dla nich łatwiejsze odpowiedzi. Mężczyźni sądzą np., że tracą przywileje, że kobiety nie są nimi zainteresowane, w ogóle jest ich za mało w mniejszych miejscowościach itd. Oni czują, że tracą grunt pod nogami. Albo migracje

– ludzie się rozglądają, widzą obrazki z innych krajów i się niepokoją. A demokraci przychodzą i mówią im na to: będzie dobrze, będzie różnorodnie! Tymczasem ludzi nie interesuje, że będzie różnorodnie. Boją się o swoją pracę, dłuższe kolejki do lekarza itd. Tu nie chodzi o to, kto ma rację, tylko o poczucie krzywdy.

Jak liberalizm ma na to odpowiedzieć?

Zainteresować się ludźmi, a nie traktować ich z góry. Oni nie oczekują rozwiązań, tylko wysłuchania i zrozumienia. To jest właśnie ta godność, na którą w 2015 r. postawił PiS. Taki obrazek: jakiś czas temu widziałem Krzysztofa Bosaka, który po audycji w telewizji zatrzymał się przy grupce młodych techników pracujących przy produkcji. Rozmawiali, ktoś narzekał, że ma stare auto i nie może dotrzeć do centrum Warszawy. Bosak wręczył im wizytówki i naprawdę ich słuchał. To dla ludzi ma znaczenie. Rafał Trzaskowski sprawiał tymczasem wrażenie niedostępnego.

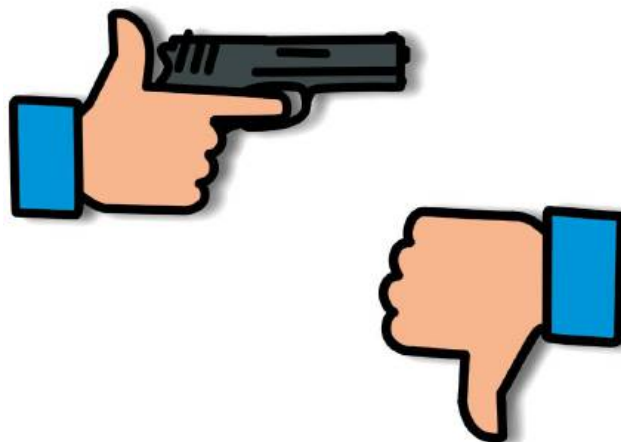
A Andrzej Duda był wiarygodny? Syn profesorów, wykładowców akademickich z Krakowa, zarazem przedstawiciel ludu?

Znów: nie możemy racjonalizować polskiej polityki. W PiS po prostu dobrze identyfikują, co ludzi wkurza. Nieważne, czy jestem z elit, czy nie. Może i jestem, ale rozumiem, co wy do mnie mówicie. Zwracam się do was. Komentatorzy się śmiali z Andrzeja Dudy, który podpisywał przy stoliku na peronie jakieś ustawy. Ale na ludziach to robiło wrażenie: on rozumie, że mam problem z dojechaniem do pracy. To też był po prostu dobry obrazek.

Jeszcze parę miesięcy temu mówiło się, że Karol Nawrocki źle wypada w wystąpieniach. Nie zaszkodziły mu afery, oskarżenia o sutenerstwo, snus. Dziś to zaspany Trzaskowski jest bohaterem memów i stand-upów. Wraca dowcip, że kiedy Komorowski wystartował w wyborach, PO dopiero kupowała modem, a prawica już hasała w internecie.

Duda, a potem Nawrocki po prostu się tego wszystkiego nauczyli. Znów anegdota: znana dziennikarka z wiecu wyborczego Nawrockiego wycięła setkę do telewizji od razu. Z dwóch godzin konwencji Trzaskowskiego nie wiedziała, co wyciąć. Bo mówił dużo, ale nie było tego, co dziś kluczowe: *hot take*’ów, szybkich replik do „zaorania przeciwnika”. Taka metoda wkradła się do polityki, ale i w ogóle debaty publicznej, do akademii itd. Nie ma

GALERIA POLITYKI



MAX SKORWIDER



dzielenia włosa na czworo, są proste przekazy, ale skierowane do różnorodnych grup i zarazem spójne. Jeśli kandydat mówi raz o aborcji, a potem o stopowaniu migracji, to odbiorca się zastanawia, o co mu tak naprawdę chodzi. Kim on w końcu jest? Ludzie szukają wyrazistego, jednoznacznego przedstawiciela.

Prawica ma więcej takich *hot take'ów*, samograjów. Np. piątka Mentzena – kontrowersyjna, ale konkret do zapamiętania.

Druga strona niczym podobnym nie grała.

A powinna mieć swoją wizję. PiS ten piar robił zawsze, nawet gdy jakiś burmistrz związany z tą partią oddawał jeden lokal komunalny do użytku, to już się tam stawiał premier Morawiecki. Tu właśnie wychodzą błędy komunikacyjne rządu Tuska, który dopiero teraz ma mieć rzecznika. Tymczasem rząd musi nie tylko dowodzić, ale i umieć pokazywać, że dowodzi.

Komunikować sukcesy, nawet skromne i mało istotne?

Brzmi jak manipulacja.

Taka jest polityka, przykro mi. Wypowiedziane przez jednego z posłów KO: „Cóż szkodzi obiecać?” nie pomogło Trzaskowskiemu. Ale już podpisanie deklaracji Mentzena zagrało na korzyść Nawrockiego. I nieważne, czy on coś z tymi postulatami w ogóle zamierza zrobić. Ważne, że podpisał. Proste.

Transmitowane na żywo spotkania u Sławomira Mentzena i Krzysztofa Stanowskiego to też nowość ostatniej kampanii.

Kolejna: obaj występują w potrójnej roli: polityków, biznesmenów, dziennikarzy. Nikogo to nie oburza. Co więcej, część przedstawicieli mediów sama zaczyna się wypisywać ze swojej tradycyjnej roli: gatekeeperów, umownej czwartej władzy, której zadaniem jest filtrowanie i weryfikowanie treści. Obserwujemy powrót do takiego dosłownego rozumienia mediów jako jedynie przekaznika treści.

Media społecznościowe bez wątpienia przeorały rynek tradycyjnych mediów. Najlepszym tego symbolem jest to, co Elon Musk, kiedy jeszcze przyjaźnił się z prezydentem Trumpem, oznajmił na platformie X. „Wy jesteście dziennikarzami” – zwracał się wielokrotnie do użytkowników. Nie „fake news media”, tylko wy. Zaufanie do mediów w ostatnich latach zostało bardzo mocno podważone. Mamy generalnie obniżone standardy, cenniejsze jest „zaoranie” przeciwnika niż niuansowanie i wyjaśnianie problemów. Z drugiej strony z badań wynika, że dla młodych ludzi pierwszym źródłem informacji jest szeroko rozumiany internet, inni użytkownicy, profile oficjalnych portali

itd. Ale opinie budują na tym, co słyszą w najbliższym otoczeniu – w domu, pracy, wśród znajomych. Co szczęśliwie dowodzi, że jednym memem jeszcze nikogo się do niczego nie przekona.

Jaki z tego wniosek dla dziennikarzy? Bo i tu widzimy próbę wprowadzania podziału góra – dół. Z jednej strony mamy więc „medialnych baronów”, z drugiej za wzór stawia się gospodarza dwóch prezydenckich debat, który tylko odmierzał czas, przekazywał głos, ale nie reagował na manipulacje czy antysemityzm Grzegorza Brauna. PiS tresował dziennikarzy, mówiąc im, jakie pytania mogą zadawać, jakich nie; z kolei Donald Tusk po wyborach w 2023 r. zaczął ignorować tradycyjne media, bo zorientował się, że nie musi się z nimi konfrontować, ma X. Dziennikarz ma być dziś tylko stojakiem na mikrofon?

Zaufanie do mediów trudno będzie odbudować, bo w odbiorcach jest przekonanie, że dziennikarze też się zapisali do różnych obozów politycznych. A od debaty oczekują bezpośredniej konfrontacji, igrzysk. Politykom media też nie są potrzebne, nie muszą udzielać wywiadów, skoro mogą sami generować komunikaty w internecie. Dziennikarze i tak to potem przecież powtórzą, a oni mają stuprocentową kontrolę nad przekazem. Odbiorcy również uznali, że nie potrzebują pośrednika ani filtra. Nieważne, czy materiał trwa trzy sekundy, czy wiele godzin, jak debaty czy rozmowy Stanowskiego. Co swoją drogą dowodzi, że zapotrzebowanie na informację nadal jest silne.

Media społecznościowe są bardzo plastycznym narzędziem: każdy może robić zasięgi, nie trzeba mieć do tego wielkiego studia telewizyjnego, wystarczy pomysł. Zwróćmy uwagę, że Telewizja Republika też jest robiona w sposób bardzo internetowy, zaprasza ludzi znanych w sieci, ma lekki, łatwostrawny przekaz. I tak buduje popularność.

Czy zatem Trzaskowski był dobrym politykiem, ale złym kandydatem?

Mógł być dobrym kandydatem, gdyby nie był sklepany z rządem i był bardziej elastyczny. Na pewno należało zbudować chociaż bazę użytkowników, którzy będą wzmacniać jego przekaz. Poziom zaangażowania w social mediach był u niego taki sobie. PiS miał tysiące adresów ludzi, z którymi pozostawał w kontakcie, mocno promował swoje hasztagi. Zadbał o pospolite ruszenie. Przekazy Trzaskowskiego były w pewnym sensie wyizolowane. To znów jest problem demokratów, którzy „nie potrafią w narrację”.

Czy żeby się przebić, demokraci powinni zaostrić przekaz, zwulgaryzować go, upodobnić się do drugiej strony?

Wymyślić się na nowo w tym całym obszarze hałasu. Odwołam się tu do tzw. demokratycznej hipokryzji. W 2023 r. koalicja Tuska obiecywała rozliczenia, odpolitycznienie spółek Skarbu Państwa, telewizji publicznej. W ludziach jest poczucie, że to nie wyszło albo że nic się nie zmieniło. Należało np. jasno powiedzieć z góry, że trzeba się będzie posunąć do różnych skrajnych rozwiązań, żeby to wszystko było możliwe. Poza tym jeśli demokraci krzyczą „konstytucja!”, a potem siłą wprowadzają media publiczne w stan likwidacji, to efekt jest wizerunkowo fatalny. Kiedy Jarosław Kaczyński mówi, że konstytucja jest w zasadzie komunistyczna i do zmiany, to ma przyzwolenie, żeby ją naginać. Kiedy Radosław Fogiel powiada, że w państwowych spółkach zatrudnia się polityków, bo eksperci się nie sprawdzili, to wychodzi niezręcznie, nawet oburzająco, ale spójnie. PiS nigdy się nie bał mocnych, brutalnych oskarżeń, nie obiecywał „zgody narodowej”. I słowa dotrzymał.

ROZMAWIAŁY MALWINA DZIEDZIC I ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Życie w Medianie

Rozmowa w sklepie odzieżowym w Końskich. Klient (żartobliwie): no i znowu Końskie wybrały Polsce prezydenta. Właściciel (bardzo poważnie): a idź pan z tym cyrkiem.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK

Poniedziałek, tydzień po drugiej turze wyborów prezydenckich. Z miasteczka zniknęli już plakatowi Nawroccy i Mentzenowie, tylko Trzaskowscy zostali na paru balkonach i słupach. Miejscami wygląda to jak dumna deklaracja: nie poddajemy się. Gdzie indziej klęska – Rafał Trzaskowski rozdarty i bez twarzy.

Od rana na rynku emeryci szukają słońca, narzekają na zimno. Po szkole przychodzą młodzi z kebabami. W sobotę Neptun Końskie pokonał Moravię Morawica na własnym stadionie, czwarta liga świętokrzyska. Biją dzwony kościoła, ekspedientki gadają przed sklepami z przechodniami, kiosk „U Gójki” zawiadamia o kumulacji lotto, ciemnoskóry właściciel kebabowni wnosi stoliki na chodnik. Ludzie wracają z bazaru, na który w Końskich mówi się targowica. Analizują rzeczywistość: słychać, że truskawki potaniały, a śmietana do nich droga, bo musi być ta gęsta.

Z kolei dobre kluski i biały ser trzeba wiedzieć, gdzie kupić. Ani słowa o polityce – było, minęło.

– *Mediana* – mówi Andrzej Mijas, dyrektor hali sportowej, sławnej z transmitowanych na cały kraj debat prezydenckich. – *Struktura społeczna miasta i gminy Końskie to jest Polska powiatowa uśredniona.*

Cyrk

Młodzi na rynku miasta nie znają słowa mediana, ale szybko sprawdzają w komórkach. Bez sprawdzania kojarzy im się z imieniem dla dziewczynki lub najazdem mediów na Końskie. Młodzi żyją: końcem roku szkolnego, wakacjami, szukaniem pracy na lato, byłą i przyszłą imprezą. O wyborach mówią niechętnie – zamknięty temat. Wiadomo: szybko połapali się, że kandydaci nagle młodych zauważyli i mizdrzą się o głosy. A po wyborach internety pęczniały od analiz, dlaczego młodzi głosowali tak, a nie inaczej.

– *Kto by to czytał?* – śmieje się Adam, licealista. – *To jak jakieś badania przyrodnicze nad nieznanym ludem. Raczej żenada.*

Rynek w Końskich, „debaty”
Karola Nawrockiego. Drugi z kandydatów
w drugiej turze, prezydent Warszawy
Rafał Trzaskowski, nie przyjął zaproszenia.



– Sławek rozwalił system – dodaje jego kolega-mentzenista. – „Warszawka” nie wie dlaczego? Naprawdę? Wystarczy się rozejrzeć.

Końskie są ładnym, zadbanym miastem. Na rynku fontanna, konny pomnik Kościuszki odnowiony, kamienną kolegiatę z XVI w. otaczają drzewa. A szerzej: stacja kolejowa, pałac Małachowskich, pomnik Hubala, przemysł metalurgiczny i ceramiczny, jeziora, szlaki turystyczne. „Gmina Końskie Gminą turystyczną 2023 r.!” – chwala plakaty na przystankach autobusowych. W pałacu, w którego części mieści się teraz urząd miasta, marszałek Jan Małachowski pracował nad tekstem Konstytucji. Stąd wyjechał na obrady Sejmu do Warszawy 3 maja 1791 r.

– Wszystko pięknie, tylko, żeby się rozwijać, trzeba stąd uciec – stwierdza Adam.

Chce zostać informatykiem, wymyślać aplikacje do telefonów. Jego kolega raczej też wyjedzie, zastanawia się nad politechniką. Ma siostrę, która studiuje w Kielcach. I tatę, który wyjechał do Anglii, żeby na rodzinę zarobić więcej, niż płaca za pracę w Polsce. Zjechał do domu przed Wielkanocą, akurat kandydaci przemawiali i wyzywali się na wiecowe pojedynki na rynku w Końskich. Był Mentzen, był Nawrocki. Końskie jako centrum Polski – tłumy, kamery, wywiady z mieszkańcami. Cyrk – mówiło na to miasto. Potem był Rafał Trzaskowski, ale w hali sportowej

– nie na rynku. I było to „spotkanie dla sympatyków”, jak mówi się w Końskich. Na tydzień przed świętami druga debata w hali sportowej – kilkoro kandydatów. Ludzie też przyszlizli, ale nie zostali wpuszczeni. Inna formuła – powiedziano im – tylko kamery telewizyjne.

Ojciec się zdenerwował i mówi do rodziny: nie wybierajcie kogoś, kto boi się wyjść do zwykłych ludzi. Nie słuchajcie statystyki o tym, jak żyje przeciętny człowiek, bo sami możecie przeciętnego o to spytać. Tydzień po wyborach młodzi na rynku mówią o Mentzeniu Sławek, o Nawrockim Karol. O Trzaskowskim mówią per Trzaskowski.

Powiat

Do odzieżowego wpada sąsiadka właściciela. Trochę plotkują o znajomych; sąsiadka pomstuje, że po dziesiątej rano niektóre sklepy w rynku wciąż zamknięte i do czego to podobne? Odzieżowiec mówi: to widocznie woda sodowa uderza od sławy. I oboje się śmieją z tej okresowej wyborczej furory Końskich. W dalszej rozmowie okazuje się, że ktoś zwichnął nogę, komuś się urodził wnuk. Ktoś, niestety, jest dziś chowany, a kwaciarnia zamknięta i nie ma gdzie kupić wieńców.

Mediana jest w rejwach porannych dostaw towaru i wypraw starszych pań z torbami zakupowymi na kółkach. Pociągi łódzkie i kieleckie jeszcze jeżdżą, a od południa stacja zamrze do szesnastej. Kolej w Końskich nakierowana jest na ludzi pracy i wiąże się z tym historyczna opowieść założycielska oraz eksponat muzealny. W marcu 2020 r., w ramach kampanii, Andrzej Duda usiadł samotnie w szkolnej ławce na nieczynnym od 12 lat peronie w Końskich i mocą swego podpisu przywrócił Medianie kolej. Zdjęcia z tej uroczystości stały się złośliwymi memami, jednak artefakt (oryginalną ławkę) można było podziwiać w izbie pamięci starostwa powiatowego. Dziś wielki budynek dworca w Końskich ma okna zabite blachą i jest na sprzedaż. Ale pociągi jeżdżą.

Mediana pamięta także, że w 2020 r. Andrzej Duda przyjechał do Końskich na debatę w hali sportowej, a Rafał Trzaskowski, jego kontrkandydat do prezydentury, nie. TVP, wówczas popierająca Dudę, transmitowała jego monolog. W 2025 r. doszło niemal do skopiowania zdarzenia – Karol Nawrocki miał wiec na peronie kolejowym. Przed drugą turą pojawił się debatować na rynku w Końskich, a Trzaskowski nie. TV Republika przekazywała wyłącznie punkt widzenia popieranego przez siebie kandydata.

– Polska powiatowa nie wybacz – mówi spotkany na słynnym rynku Stefan, emeryt, który przyznaje, że głosował na Rafała Trzaskowskiego. – Jest coś w tym, że ludzie w Końskich niby mówią, że wyborcza sława miasta im przeszkadza, ale z drugiej strony czują się obrażeni, kiedy ktoś nie pokaże im się na rynku z Kościuszką w tle.

W 2020, jak i w 2025 r. Rafał Trzaskowski przegrywał w Końskich zarówno w pierwszej, jak i drugiej turze wyborów prezydenckich.

Zaranie

Polska mantra polityczna ostatniej dekady brzmi: „Wybory wygrywa się w Końskich, a nie w Wilanowie”. Jako pierwszy wypowiedział ją w 2016 r. Grzegorz Schetyna, wtedy szef Platformy Obywatelskiej. Wyjaśniał potem, że chodziło mu o decydujące moce wyborcze Polski powiatowej. W 2015 r. kandydował do Sejmu jako jedynka PO z województwa świętokrzyskiego i objazd kampanijny zawiódł go właśnie do Końskich. Wizytę ►

► Schetyny, wtedy ministra spraw zagranicznych, pamięta Krzysztof Obratański, burmistrz Końskich. Powspominali przy kawie czasy NZS. Na prośbę ministra poszli złożyć wieniec pod pomnikiem majora Hubala. Pokazały to kamery – kandydat, nie zważając na deszcz, oddaje hołd tutejszej legendzie partyzantki. Schetyna wygrał i w Końskich, i w województwie.

Jednak Obratański, urodzony w Końskich, burmistrz od 2002 r. (z przerwą 2010–14) mówi, że pozycję archetypu Polski prowincjonalnej, pokazującego średnią wyborczą, miasto zdobyło kilka lat przed mantrą Schetyny za sprawą „Gazety Wyborczej”.

– Na początku lat dwutysięcznych, na fali wielkiej debaty o członkostwie Polski w UE, przez media przetoczyła się dyskusja o Polsce idącej do Europy – mówi. – Z jakichś względów redakcja uznała, że Końskie mogą być miastem wyznaczającym trend opinii publicznej w zbliżającym się referendum. Ukazał się osobny cykl reportaży z Końskich pod hasłem „Końskie idą do Europy”.

Końskie były wtedy miastem przestraszonym. Ustalony od dekad szablon społeczny się kończył, nowy jeszcze nie wyłonił. Głównie dotyczyło to rynku pracy. Tradycyjny tu przemysł metalurgiczny – wielkie fabryki z przerostem zatrudnienia i brakiem zamówień – zwalniały tysiące ludzi. Do koneckich domów zaglądała bieda, ludzie wyjeżdżali z miasta, jeździli za granicę – żeby się ratować. Taka była wtedy ogólnopolska mediana gmin i powiatów. Do takich Końskich przyjechała „Wyborcza”, która wraz z Komitetem Integracji Europejskiej przyglądała się powiatowym nastrojom początków XXI w. KIE robił kampanię akcesyjną – zaproszenia do udziału w dyskusjach w domu kultury słano według klucza socjologicznego. Reprezentacja przedsiębiorców, nauczycieli, uczniów, samorządowców. Pytania i opinie mieszkańców mile widziane – tak Mediana uczyła się demokracji w działaniu.

Dziś

Miasto Końskie – 17,5 tys. mieszkańców. Burmistrz Obratański chwali: wielkie zakłady metalurgiczne, ceramiczne. Produkcja skomputeryzowana, zrobotyzowana. W miejscach, gdzie PRL pozostawił kilkanaście tysięcy pracowników, dzisiaj wystarcza kilkadziesiąt osób obsługi. Koneckie marki weszły do Europy i świata. Włazy do studzienek i latarnie z napisem „Końskie” widać także w Warszawie. Nie wspominając o setkach kilometrów armatury podziemnej w Polsce i Europie. Kafelki i armatura łazienkowa, kuchenna. No i turystyka, także ta ciekawostkowa – to gdy przyjeżdżają ludzie po prostu porównać widzianną w telewizji halę sportową albo rynek Mediany z rzeczywistością. Czyli miasto i gmina Końskie jako – mówiąc językiem wydziału promocji – „samoistny i pośredni cel podróży”. Jest już decyzja: Końskie wykorzystują debaty do autopromocji.

– Nie ma wątpliwości, że już pierwsza konecka debata prezydencka w 2020 r. dała miastu ogromną rozpoznawalność – mówi Krzysztof Obratański. – Telewizja publiczna spędziła wtedy w Końskich tydzień, mieli tu studio i nadawali na żywo z rynku. Pogodę nadawali znad jeziora Sielpia. Dziś to największe i najpopularniejsze kąpielisko w województwie.

Burmistrz z dumą opowiada, że usłyszał w tłumie wiecowym na rynku od sztabowca jednego z kandydatów: jesteście jak miasto dialogu. Tymczasem na rynku, tydzień po wyborach wygranych przez Karola Nawrockiego, kolega-mentzenista, na razie bez prawa wyborczego, wykazuje tę klasyczną dla



Konecka targowica

współczesnych Polaków dychotomię – narzeka na uchodźców, jedząc kebab, który mu przygotował ciemnoskóry pracownik restauracji Jedzonko u Firasa. Lekko się dziwi, gdy mu wykaże niekonsekwencję.

– No ale ja tam codziennie jem. Znam tego człowieka parę lat. On tu mieszka. Starsi tylko się uśmiechają. Wiadomo – młodziak, ma swoje dziwne przeloty logiczne.

– Mieć taką pracę, żeby można pracować online – snuje plany Karolina, tegoroczna maturzystka. – Zarabiać jak w wielkim mieście, płacić rachunki w małym miasteczku. Zostać blisko rodziny. To jest dla nas ważne, a nie to, że przyjedzie telewizja.

– Telewizje tu namieszały – dopowiada Adam. – W pewnym momencie przestałem się orientować, co która i kiedy u nas w Końskich organizuje. Kandydaci latali po mieście jak wariaci, policja na sygnale, ochroniarze. Normalnie plan komediowy.

Najmłodszy kolega jest dociekliwy, możliwe, że chce zażreć zgrzyt światopoglądowy: – A właściwie co szkodziło temu Trzaskowskiemu pokazać się na rynku?

Hala

Legendarna, znana z telewizji, hala sportowa w Końskich stoi w dzielnicy Bawaria. Nazwa wzięła się od niemieckich osadników z początku XX w. Bawaria w Końskich rozpościera się wzdłuż osi ul. Piłsudskiego. Hala jest do wynajęcia, z ramienia miasta rządzi nią dyrektor Andrzej Mijas i to z nim kontaktują się organizatorzy wydarzeń. W tym debat prezydenckich, które od pięciu lat – jak



się potem okazuje – konkretnie wpływają na wyniki wyborów w mieście i kraju.

W 2025 r. dzwoniło pewne profesjonalne studio produkcji telewizyjnej. Dyrektor Mijas ma gotowe na takie okazje wzorce umów wynajmu. Są w nich punkty o zabezpieczeniu – zawsze ochrona opłacana przez organizatora – oraz o odszkodowaniach za straty, jeśli wynikną.

– Sława Końskich to trochę takie coś z niczego, ale czemu tego nie wykorzystać? – mówi Mijas. – Różne miejsca zdobywają sławę z różnych powodów, a akurat Końskie nie mają Giewontu ani plaży morskiej. Wolałbym tylko, żeby Końskie łączyły ludzi, a nie dzieliły. Hala mogłaby być na przykład miejscem, gdzie odbywają się mediacje.

W tym roku straty hali sportowej to zniszczone boczne drzwi wejściowe, w których na oczach całej Polski ochrona szarpała się z działaczem TV Republika, i podrapany parkiet. W sumie około 100 tys. zł.

Targowica

Edward, właściciel sklepu odzieżowego, zamyka sklep, bo idzie na targowicę. Żona kazała zrobić zakupy. Po drodze oddaje się narzekaniom: – A idź pan z tym cyrkiem! Jaka sława? Jaja sobie z ludzi robią przez tę sławę. Widzę, jak się ci politykierzy zachowują.

Tak głosowano w Końskich

(dane w proc.)

Miasto:

Karol Nawrocki → 58,07

Rafał Trzaskowski → 41,93

Powiat:

Karol Nawrocki → 66,36

Rafał Trzaskowski → 33,64

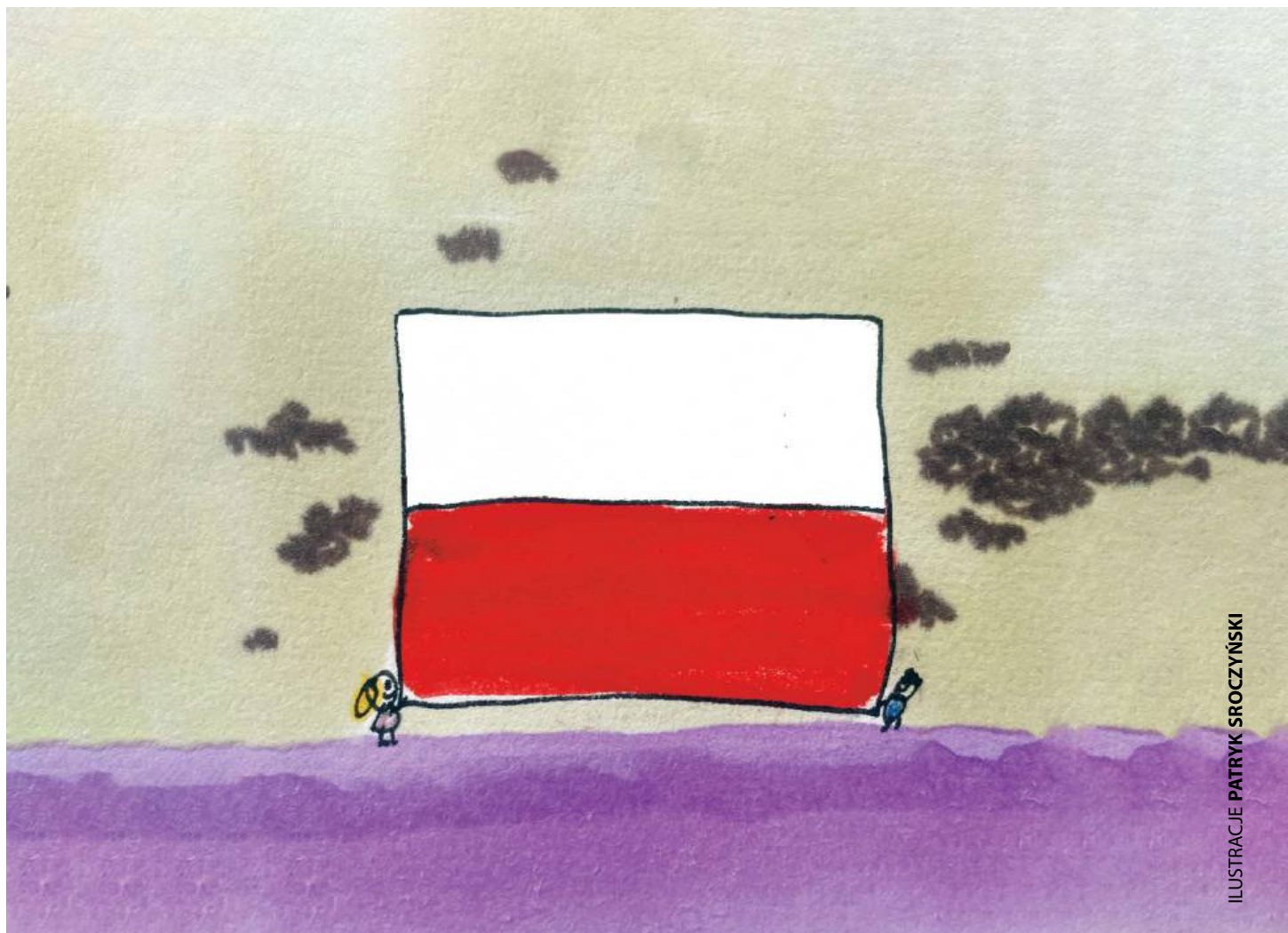
Przed wszystkim to są nietutejsi – przyjeżdżają do nas na rynek się wyłócić. Tylko udają miejscowych.

Potem na uchodźców – że trzeba ich powstrzymać. Bo jak Edward jeździł za granicę, to za pracą, nie za socjałem. Bazar leży za rynkiem, mijają się słupy ogłoszeniowe z dramatycznymi odczwami społecznymi, które nie zdały egzaminu: „Nie daj się zrobić w Karola”, „Na dzień dziecka daj klapsa Karolkowi”, „Jaruś, Jędrus, Karolek, Balon, Dziadek, Olaf, Śledziu, Wielki Bu...” (przyjaciele prezydenta elekta – przyp. aut.). Ale już wraca normalność na słupy: ogłaszają się mecze, wycieczki do kopalni w Bełchatowie i do Auschwitz.

A potem już Edward wnika w medianę targowicy. Tutaj pomiędzy „świeżym mięsem”, „zdrowymi rybami” a „ekologicznymi warzywami”; między „imprezowymi sukienkami”, „ekstra ubiorami”, „stylizacją fryzur Magdalena” i „tordecorem”, na wschód od lumpeksu – tu leży kraina weredyków. Tu się można dowiedzieć, który z kandydatów to „alfons”, „paniczyk”, „fermenciarz” i zwykły „oszust”.

Targowica w Medianie Końskie nie ma litości dla żadnego polityka.

MARCIN KOŁODZIEJCZYK



ILUSTRACJE PATRYK SROCZYŃSKI

Edob za HiT i WOS

Rozmowa z dr. Jędrzejem Witkowskim, współtwórcą nowego przedmiotu „edukacja obywatelska”, o tym dlaczego rodzice, nauczyciele i politycy nie powinni się tych lekcji obawiać.

JOANNA CIEŚLA: – Czy młodzi przyniosą nam nowy duopol?

DR JĘDRZEJ WITKOWSKI: – Jaki?

Klarowny, klasyczny, prawicowo-lewicowy.

Skąd to przypuszczenie?

Bo najchętniej głosują zgodnie z tym podziałem. Gdyby to zależało od Polaków i Polek w wieku 18–29 lat, w drugiej turze wyborów prezydenckich wybieralibyśmy między Sławomirem Mentzenem i Adrianem Zandbergiem. Pozostali kandydaci ściśle kojarzeni z obozem prawicowym

albo lewicowym też dostali od młodych większe poparcie niż od starszych.

Nie wiem, czy kategoria lewica i prawica jest rzeczywiście dobrą ramą identyfikacyjną dla młodych. Oni od lat głosują na partie protestu i na kandydatów, którzy w najbardziej wyrazisty i wiarygodny sposób odcinają się od politycznego mainstreamu. A ostatnio też na tych, którzy mają najszerze zasięgi na TikToku i najsprawniej tworzą przekaz.

Szukam innych wyjaśnień, bo takie nie stawiają młodych w najlepszym świetle.

Nie zgodzę się, że stawiają ich w złym świetle. Media społecznościowe to ich media. Młodzi głosują na tych, których tam widzą, tak jak starsi wyborcy głosują, kierując się tym, co czytają w Onecie, Wirtualnej Polsce lub POLITYCE, albo tym, co widzą w TV Republika. Ale zgadzam się, że może dziwić, gdy w wyborach wśród młodych wygrywa Sławomir Mentzen, a jednocześnie w badaniach większość tej grupy mówi, że państwo powinno być odpowiedzialne za gwarantowanie wszystkim miejsc pracy.

Może to jednak nie są te same osoby? Może kategorie wiekowe w badaniach exit poll są zbyt duże? Bo o ile ludzie między 18. a 29. rokiem życia faktycznie częściej wybierają prawicę, o tyle już ci z grupy uczniów i studentów są bardziej liberalno-lewicowi. Na przykład w drugiej turze dali Rafałowi Trzaskowskiemu 56 proc. głosów. Wśród politologów pojawił się pogląd, że na Karola Nawrockiego postawili najstarsi spośród młodych. Ci, którzy skończyli naukę, wchodzi w dorosłość i stracili zaufanie do koalicji rządzącej, bo nie dostali tego, co im potrzebne – np. mieszkań czy sprawnej służby zdrowia.

Wątpię, by grupa najmłodszych wyborców była bardziej liberalna niż osoby starsze o kilka lat. W prawyborach „Młodzi Głosują”, organizowanych przez nas w szkołach od wielu lat, bardzo dobre wyniki zdobywa Konfederacja. Mogę tylko spekulować, że być może różnice w ostatnich wyborach wiążą się z różnicami w wykształceniu. Wiemy, że osoby z wyższym wykształceniem, w tym studenci, częściej głosują na partie liberalne i lewicowe. Ale wspólnym mianownikiem całej grupy młodych wyborców jest głęboka frustracja i niechęć do polityki. Dlatego podoba im się Adrian Zandberg, który nikomu nie przekazuje poparcia w drugiej turze, i Sławomir Mentzen, który „grilluje polityków” i zapowiada, że pod jego kierunkiem państwo nie będzie się ludziom wtrącać w życie.

W Międzynarodowym Badaniu Kompetencji Obywatelskich ICCS, prowadzonym w 2022 r., działanie systemu politycznego pozytywnie oceniało 34 proc. uczniów polskich szkół średnich w porównaniu na przykład z 90 proc. ich rówieśników w Norwegii. Co ciekawe, Polacy byli w czołówce pod względem wiedzy i rozumienia sfery obywatelskiej, tylko za Szwecją i Tajwanem, na 20 krajów. Ale jeśli chodzi o zaufanie do instytucji, byli na najniższych poziomach. Tylko 28 proc. mówiło, że ufa polskiemu rządowi, 25 proc. parlamentowi, a partiom politycznym tylko 18 proc.

Co to dokładnie znaczy?

Odpowiadali na całą baterię pytań o działanie demokracji, o fake newsy. I okazało się, że jasno widzą zagrożenia demokracji, na przykład w postaci nepotyzmu. Potrafią powiedzieć, czy jakaś sytuacja jest korupcyjogenna, czy nie. Widać też było, że są przekonani do demokracji.

73 proc. oceniało, że z tym ustrojem są problemy, ale pozostaje najlepszą formą rządów. Jednocześnie tylko co czwarty uważał, że posłowie i senatorowie reprezentują interesy młodych ludzi. Przy czym młodzi Polacy pytani, czy parlamentarzyści dobrze reprezentują interesy obywateli w ogóle, twierdząco odpowiadali dwa razy częściej.

Czyli mieli poczucie, że są gorzej traktowani niż starsi?

Tak, mają poczucie, że są przez polityków marginalizowani. I to sprawia, że nikt utożsamiany z systemem politycznym, czyli duże mainstreamowe partie, Czy to z prawej czy z lewej, nie budzi ich zaufania. Dla mnie najbardziej niepokojące są pomiary ogólne poziomu ufności, sprawdzanego pytaniem „czy ludziom można ufać?”. W 2009 r. 58 proc. nastolatków odpowiadało, że tak. A dwa lata temu – 36 proc. Spadek o 22 pkt procentowe to gigantyczna różnica.

To zapewne ma związek z rządami Prawa i Sprawiedliwości.

Nie przypisywałbym tego zjawiska rządowi tej czy innej partii. Istotne znaczenie zapewne miała pandemia, zaufanie do szkół mogła obniżyć likwidacja

To paradoks, prawda? Że oceniają ten system coraz gorzej, a włączają się coraz aktywniej. Bo przecież frekwencja rośnie.

Włączają się właśnie po to, żeby powiedzieć „nie”. Widzimy, że zmienia się norma społeczna dotycząca głosowania. Kiedyś niegłosowanie było neutralne, teraz niegłosowanie jest obciachem.

Jeszcze w wyborach parlamentarnych w 2019 r. głosowało tylko 46 proc. młodych. W parlamentarnych w 2023 r. już 70 proc.

Wyniki głosowania w 2023 r. można interpretować już jednoznacznie jako głos sprzeciwu wobec ówczesnie rządzących. Zwłaszcza że PiS był jedyną władzą, którą znali. Nie pamiętali poprzednich rządów Platformy. A już kilka miesięcy później – w 2024 r. – znów głosowali przeciw, tym razem najczęściej wybierali Konfederację.

Jaką rzeczywistość polityczną będą tworzyć w kolejnych latach, gdy staną się dominującą grupą wyborczą?

Nie wiemy, ponieważ za 10 lat będą zupełnie innymi osobami. Starsi wyborcy czasem co trzy–cztery lata po prostu zmieniają zdanie, elektoraty są dynamiczne. Młodemu wyborcom dodatkowo zmienia

Edukacja obywatelska jest przedmiotem, który od września pojawi się w szkołach ponadpodstawowych w miejsce wprowadzonej przez PiS historii i teraźniejszości. Z założenia nowy przedmiot ma być praktyczny. Uczniowie będą się uczyć załatwiać sprawy w urzędach, wypełniać formularze, debatować, organizować kampanie społeczne i akcje pomocowe.

gimnazjów, ale to element szerszych zjawisk – atomizacji społecznej, alienacji politycznej i osłabienia roli religii jako źródła norm etycznych.

A jak wypadaliśmy w porównaniu z innymi krajami bloku postsowieckiego?

W porównaniu np. z Bułgarami – gorzej, bo ich wyniki były podobne do norweskich. Słabiej niż u nas było np. w Estonii, ale generalnie łądowaliśmy w drugiej połowie stawki. Mieliśmy też jeden z najsłabszych wyników zaufania do tradycyjnych mediów – 45 proc.; za to drugi najwyższy ze wszystkich, jeśli chodzi o zaufanie mediom społecznościowym. Taki układ na tle innych krajów to też nasz wyróżnik. Bardzo krytyczną ocenę działania systemu politycznego przez młodych widzimy również w powtarzanych co kilka lat badaniach CBOS.

się sytuacja życiowa – wchodzi na rynek pracy, zakładają rodziny, ich priorytety zmieniają się diametralnie.

Skoro ogólnie młodzi trzeźwo oceniają rzeczywistość, czy jest sens wprowadzać do szkół edukację obywatelską?

Rozumienie sfery publicznej to nie wszystko. Największym wyzwaniem jest brak zaufania – do siebie nawzajem, do systemu politycznego, do instytucji.

Jak to zmienić?

Najważniejsze z krótkoterminowych zadań to edukacja medialna. Krytyczna analiza przekazów, nauka zadawania pytań, wyłapywania manipulacji, weryfikacji informacji, wyrabiania sobie własnego zdania.

Pytanie, czy ci, którzy mają młodych tego uczyć, potrafią to robić?

Duża część nauczycieli WOS potrafi. Ale nie da się ukryć, że dla tych, którzy uczą ►



► tego przedmiotu niejako przy okazji, może to być trudne. Wyzwaniem jest też edukacja o polityce. Wiedza o społeczeństwie do tej pory to był kurs o instytucjach, o procesach i grupach społecznych. Nie było przestrzeni na rozmowę o polityce rozumianej jako zarządzanie dobrem wspólnym, jako sztuka mierzenia się z kontrowersjami, szukania kompromisu. Skąd młodzi ludzie mają wiedzieć, czy oni chcą wyższych, czy niższych podatków, jeśli nie mieli okazji o tym podyskutować?

Zaraz pan powie, że o aborcji też powinno się dyskutować w szkołach.

I połowa Polski dostanie apopleksji.

Oczywiście, że w idealnym świecie powinna być na to przestrzeń. Bo jeśli cały kraj, tak jak to było np. w 2020 r., dyskutuje o aborcji, to szkoła zdradza swoją misję przygotowywania młodych do rozumienia otaczającego ich świata, gdy ignoruje ten temat. Rozumiem natomiast, że to jest bardzo trudne, szczególnie w społeczeństwie tak spolaryzowanym. Ale są łatwiejsze tematy do dyskusji – o tym, czy edukacja powinna być obowiązkowa, czy powinna być odpłatna, czy nie. Czy należy inwestować w 800+, czy budować żłobki i przedszkola. Młodzi ludzie powinni pogłębiać swoje rozumienie tych zjawisk i wyrabiać sobie opinie na te tematy. Edukacja obywatelska musi pozostać neutralna, ale powinna dawać uczniom szansę zdobycia rzetelnych informacji, zapoznania się z argumentami różnych stron, określenia własnego zdania i dyskusowania. Tymczasem my wyrugowaliśmy ze szkoły wszystkie kontrowersyjne tematy.

Nauczyciele nie mają siły i nie chcą wychowywać nie swoich dzieci ani wdawać się z nimi w politykowanie.

Niestety nauczyciel nie ma absolutnie żadnego, poza misyjnym przekonaniem, powodu, żeby podjąć z uczniami rozmowę na tematy kontrowersyjne. Jest ryzyko kłótni w klasie, nieprzychylnych reakcji

rodziców, pretensji dyrekcji. Ale gdzie, jeśli nie w szkole, uczniowie mają mieć szansę zrozumieć politykę? Potrzebujemy otwartych dyskusji, także po to, by ćwiczyć słuchanie, spieranie się i traktowanie siebie z szacunkiem.

Jak szkoła może budować zaufanie, gdy na maturze do toalety idzie się w towarzystwie nauczycielki, bo jest założenie, że inaczej maturzysta będzie ściągac?

Zaufanie buduje się na doświadczeniu. Gdy często pracujemy w parach lub małych grupach i widzimy, że kolega nas nie oszukał, że razem realizujemy cel, to budujemy uogólnione zaufanie, że być może ludzie nie będą mnie oszukiwać. Zaufanie to oczekiwanie korzystnego dla mnie zachowania drugiej strony i ono się bierze z praktyki.

Podobnie jest w odniesieniu do instytucji. Chcemy, żeby w ramach zajęć edukacji obywatelskiej uczniowie poszli do radnego, do domu kultury, do domu seniora, do sądu. By wchodzili w interakcje z instytucjami, poznawali ludzi, którzy je reprezentują. Bo gdy spotkają urzędnika, sędziego, polityka lub prokuratora, i ten człowiek odpowie na pytanie, a być może nawet się uśmiechnie, to buduje zaufanie do instytucji, które te osoby reprezentują.

Pod warunkiem że ten ktoś faktycznie się uśmiechnie i nie zlekceważy pytania.

Dr **Jędrzej Witkowski**, socjolog i politolog, prezes zarządu Centrum Edukacji Obywatelskiej, od ponad 30 lat prowadzącego



© LESZEK ZYCH

w szkołach w całym kraju programy doskonalenia zawodowego nauczycieli oraz programy edukacji społecznej i politycznej, koordynator zespołu tworzącego podstawę programową przedmiotu edukacja obywatelska.

Nie mamy gwarancji, ale wiemy, że jeśli takie spotkanie w ogóle się nie odbędzie, to dystans młodych do tych instytucji będzie rósł. Bo gdy młody człowiek kojarzy tylko emblematy instytucji, a w domu się tym instytucjom nie ufa, to jak ma rozwinąć zaufanie do systemu politycznego?

Równie ważna rzecz to kwestia partycypacji szkolnej. Dla młodych ludzi szkoła jest emanacją państwa, a nauczyciele i dyrekcja są jego przedstawicielami. Jeśli uczniowie nie czują się w szkole traktowani sprawiedliwie, to znaczy, że nie czują się traktowani sprawiedliwie przez państwo. Jeśli nie czują, że nauczycielom zależy na ich sukcesie, to tak jakby państwo miało ich w nosie. Jeśli samorząd uczniowski jest tylko fasadą, to jak mają zaufać samorządowi gminy?

To są wspaniałe założenia.

Ale niezwykle trudne do realizacji i ryzykowne. Nie dziwię się nauczycielom, że z dystansem podchodzą do nowego przedmiotu.

Wiem, jakie to jest trudne. Wiem, że część nauczycieli dotychczas tak nie pracowała i że przed nami pole minowe. Instytucje pracujące ze szkołami powinny zapewnić nauczycielom konieczne wsparcie, a my jako społeczeństwo dać szkole taryfę ulgową, zgodę na to, że przez pierwsze dwa lata nie będzie to szło idealnie. Ale każde działanie budujące zaufanie jest warte podjęcia próby.

A potem przyjdzie rząd PiS i przedmiot skasuje.

Nie mamy na to wpływu. Zrobiliśmy, co w naszej mocy, by to nie był przedmiot tej czy innej partii. By odnaleźli się w nim ludzie o różnych wrażliwościach ideowych, by przekonywał do wartości, które nas łączą, i nie narzucał rozwiązań w sprawach, które nas dzielą. Na posiedzeniu sejmowej komisji edukacji politycy żadnej partii nie uznali podstawy za stronnictwą. Traktuje to jako dobry prognostyk na przyszłość.

ROZMAWIAŁA JOANNA CIEŚLA



PZPN się kiwa

Fatalna gra reprezentacji, obrażony i nieobecny kapitan, przegrany selekcjoner, Polski Związek Piłki Nożnej trwający od afery do afery. A odpowiedzialny za ten stan rzeczy prezes Cezary Kulesza nie ma rywala w nadchodzących wyborach.

Od lewej: Cezary Kulesza i Michał Probiez

MARCIN PIĄTEK

Polscy piłkarze okazali się za słabi nawet na Finlandię, drużynę z siódmej dziesiątki rankingu FIFA, kraju o 5,5-milionowej populacji, gdzie do futbolu idą ci, którzy nie nadają się do hokeja. W przegranym 1:2 spotkaniu – ważnym dla barażu o przyszłoroczny mundial – nie zagrał Robert Lewandowski, który obraził się na reprezentację po tym, jak został pozbawiony kapitańskiej opaski. Zabrał mu ją selekcjoner Michał Probiez, aby skarcić gwiazdora za odmowę przyjazdu (z powodu zmęczenia sezonem w Barcelonie) na zgrupowanie. Piłkarz oznajmił, że nie wróci, dopóki kadrę prowadzi Probiez. Ten z kolei stwierdził na konferencji prasowej po meczu, że o dymisji nie myśli, ale dwa dni po meczu poinformował,

że ustępuje. Oczywiście „dla dobra drużyny narodowej”.

Taki jest obraz kadry futbolowej przed wakacyjnym sezonem ogórkowym, a już jesienią nadchodzi apogeum meczów eliminacyjnych. Prezes Kulesza poinformował, że zadzwoni do Roberta i namówi go do powrotu. Łatwo nie będzie. Robert Lewandowski nie znosi prezesa mniej więcej od czasu, kiedy Kulesza, będąc w łóżu na meczu Barcelony i sprawiając wrażenie niedysponowanego, w niewybrednych słowach ocenił grę napastnika i nie był to komentarz rzucony w powietrze, ale skierowany do małżonki piłkarza Anny. Potem kapitan otwarcie już mówił, że podczas wyjazdów reprezentacji alkohol wśród działaczy leje się strumieniami. Musiał też tolerować to, że jednym z ochroniarzy

podczas zgrupowań został niejaki Grucha, gangus z Białegostoku, który swego czasu obstawiał jedną z dyskotek w discopolowym imperium Kuleszy na Podlasiu.

Trener chaos

Sygnały, że nie zamierza stawiać się na każde wezwanie, Lewandowski wysłał już wcześniej – odmawiał udziału w spotach reklamowych dla sponsorów PZPN i nie przyjechał wiosną 2022 r. na eliminacyjny mecz z Węgrami. Selekcjonerem był wtedy Paulo Sousa, który wkrótce jednak porzucił posadę również dlatego, że – jak opisał to w głośnym artykule „Prezes wiecznie pod wpływem” Rafał Stec z „Gazety Wyborczej” – miał dość wysokoprocentowych oparów unoszących się nad Kuleszą i jego kolegami. ►

► Lewandowski na Kuleszę jest więc wyjątkowo cięty, poza tym uważał, że reprezentacja zmierza donikąd, bo Probiez to trener chaos, który za punkt honoru postawił sobie znaleźć autorski wynalazek personalny, więc przeczesywał nawet trzecią ligę włoską, odkrywał piłkarzy, by potem ich porzucić, na boisku wynajdywał dla nich role, do których nie byli przyzwyczajeni w klubach, i z uporem maniaka forsował grę trzema obrońcami, co było proszeniem się o nieszczęście.

Probiez, sam sprawiający wrażenie nadmiernie pobudzonego, starał się wpoić piłkarzom, że muszą być na boisku agresywni i naciskać rywali już na ich połowie. W języku futbolowym zwie się to *pressingiem*, ale realizowany nieudolnie kończy się tym, że źle zorganizowani i zbyt mało liczni gracze w formacji obronnej zostają pod swoją bramką jak Himilskbach z angielskim.

W ten sposób zaskoczyła „orłów Probieza” Finlandia, a parę miesięcy wcześniej mało brakowało, by zrobiła to Litwa. Wynik (1:0) uratował Lewandowski, ale w kibicowskiej pamięci zapisywał się coraz częściej jako ten, który w meczach kadry kręcił głową, wymachiwał rękami i pokrzykiwał na kolegów. Dostawał w pole karne dwa sensowne podania na krzyż i za rzadko zamieniał je na gole, a po meczu, jako kapitan, musiał się tłumaczyć, dlaczego nie jest tak skuteczny jak w Barcelonie, świecić oczami za kolegów i znosić przytyki, że w klubie za miliony euro się przykłada, a w reprezentacji, gdzie gra się dla „honoru i ojczyzny”, przechodzi obok meczów. Zupełnie tak, jakby te wszystkie gole dla biało-czerwonych (zdobył ich 85), same się strzeliły.

Kadra w ciemności

Trudno się dziwić, że miał tego dość. Jest w reprezentacji ostatnim z pokolenia zawodników, którzy zrobili zawrotne jak na polskie warunki kariery – Błaszczykowski, Piszczka, Glika, Krychowiaka, Szczęsnego – jednak nie odmienili na trwałe gry narodowej drużyny, nie wynieśli jej na poziom mocnego światowego średniaka, nie zapewnili udziału w fazie pucharowej wielkich turniejów. To porażka ich, tak jak Lewandowskiego jako lidera, bo nie da się wszystkich klęsk tłumaczyć nieudolnością kolejnych selekcjonerów. Lewy musiał być tym sfrustrowany, coraz bardziej bezradny i wypalony, bo skoro nie udało się

to z Błaszczykowskim, Piszczkiem i Glikiem u boku, to na pewno nie uda się teraz, z ich zagubionymi i mało charakternymi następcami (do tego grającymi w o wiele słabszych klubach).

Mówi się, że w tej grupie, nawet za jej najlepszych lat, nie było mentalności muszkieterów, a sam Lewandowski, choć do roli kapitana wyniosła go pozycja jednego z najlepszych napastników świata, nie ma osobowości przywódcy, za którym pójdzie się w ogień. Jest wyobcowany z powodu swojego statusu globalnej gwiazdy, dość nieufny, przeczulony na punkcie swojej wartości, długo chowa urazy, do tego na zgrupowaniach, zamiast się integrować, załatwiał interesy zatopiony w planach, jak swój niebotyczny majątek jeszcze bardziej pomnożyć. W kadrze zawsze stał trochę z boku, raczej kurtuazyjnie szanowany niż szczerze lubiany, a selekcjoner Adam Nawałka powoływał na mistrzowskie turnieje skrzydłowego Sławomira Peszkę nie dlatego, że nadawał się on do gry w reprezentacji, ale po to, by kapitan Lewandowski miał przy sobie dobrego kumpla. Bardzo znamienne było zresztą, że w sporze selekcjoner–kapitan żaden z byłych kolegów z reprezentacji nie wstawił się za Lewandowskim.

Z nowym selekcjonerem będzie można ogłosić nowy początek i napiąć wężle futbolowe muskuły. Powinien on skłonić Lewandowskiego do powrotu, co nie zmienia faktu, że ta drużyna nie ma przyszłości. Nie tylko, jeśli chodzi o potencjał personalny, ale przede wszystkim o mentalność tego pokolenia piłkarzy. Miejsce, w jakim się znajdują na co dzień (zagraniczne kluby), i zarabiane miliony czynią ich oderwanymi od rzeczywistości i aroganckimi. Na zgrupowania reprezentacji przyjeżdżają zjeździ i spięci, bo zdają sobie sprawę, że w klubach, gdzie otoczeni są lepszymi piłkarzami, ich błędy i kiksy jakoś uda się przykryć, a w narodowej drużynie ten zbiorowy brak jakości zostanie obnażony, i to na oczach głoźnych sukcesu kibiców. Ich profesjonalizm wychodzi w bezrefleksyjnych stwierdzeniach, że „na Finlandię trudno się będzie zmobilizować, bo urlopy za pasem”, albo że „Lewandowski, nie chcąc przyjeżdżać na zgrupowanie, powinien zasymulować kontuzję”.

Drwiące gesty wobec trybun Stadionu Narodowego po голу strzelonym amatorom z Malty (mające być odpowiedzią na krytyczne głosy), uganianie

się za Cristiano Ronaldo, żeby po meczu zrobić z nim wspólne zdjęcie, zignorowanie dziennikarzy po meczu z Finlandią: widać ciemność, której Lewandowski nie rozświecił.

Z jednej strony Lewandowski może mieć poczucie, że już nie musi niczego kibicom udowadniać, ale z drugiej jego ostatni zryw w koszulce z orzełkiem jest niewykluczony. Tym bardziej że w takiej atmosferze na pewno nie chce kończyć przygody z reprezentacją, a część kibiców ma mu za złe, że osobiste urazy postawił nad interesem drużyny. Zresztą ostatnio nie ma dobrej prasy, ciągnie się za nim załatwienie magisterki na skrót, w nieistniejącej już łódzkiej uczelni, której rektor handlował lewymi – nomen omen – dyplomami. Ale jeszcze bardziej brzemienne w skutki może być dla Lewandowskiego proces z byłym menedżerem Cezarym Kucharskim, w którym pojawiają się wobec piłkarza zarzuty uników podatkowych na grube miliony.

Budne gry

Michał Probiez był w reprezentacji skończony i choć decyzja oficjalnie należała do niego, to na pewno została podjęta pod naciskiem sponsorów, którzy mają serdecznie dość tego, że nazwy ich firm kojarzą się nie tylko z fatalną grą drużyny prowadzonej przez kolegę Kuleszę, lecz również ciągnięciami się za PZPN aferami. Czyli: alkoholowymi oparami na szczytach władzy, ochroniarzem Gruchą, skazanym za korupcję działaczem w gronie gości na meczu eliminacyjnym z Mołdawią, „aferą premiową”, czyli piłkarzami negocjującymi z premierem Morawieckim idący w dziesiątki milionów bonus za występ na mundialu w Katarze. Czy wreszcie wyborem na selekcjonera Czesława Michniewicza, który zdaniem wielu ludzi ze środowiska futbolowego w ogóle nie powinien być brany pod uwagę na tak prestiżowym stanowisku z powodu utrzymywania gorącej linii telefonicznej (słynne 711 połączeń) z Fryzjerem, hersztem mafii ustawiającej wyniki ligowych meczów.

Do tego dochodzi fatalna polityka komunikacyjna i wizerunkowa PZPN, za którą odpowiadają rozpanoszeni w futbolowej centrali ludzie z pośredniczącą w załatwianiu sponsorów firmy Publicicon Sport, powiązanej z Radosławem Tadajewskim, swego czasu zaangażowanym w internetowe kampanie wyborcze na rzecz

PiS i prezydenta Dudy. W 2021 r., w czasie kampanii wyborczej na stanowisko prezesa PZPN, trolle Tadajewskiego brały udział w dyskredytowaniu kontrkandydata Kuleszy, Marka Koźmińskiego, a w „Gazecie Polskiej” ukazywały się artykuły Piotra Nisztora przedstawiające Koźmińskiego – wiceprezesa PZPN, byłego reprezentacyjnego obrońcy, długie lata grającego we włoskiej Serie A – jako nieudolnego biznesmena, któremu w interesach pomaga teść z przeszłością w komunistycznej bezpiece.

Tuż po wygranych przez Kuleszę wyborach Nisztor doniósł, że w prezesowskim gabinecie znaleziono podsłuch, a między wierszami padała sugestia, że zostawił go poprzedni prezes Zbigniew Boniek. Nisztor miał jakąś obsesję na punkcie Bońka, bo już wcześniej obsmarowywał go, twierdząc, że swą błyskotliwą karierę futbolową we Włoszech zawdzięcza wsparciu polskiej służby bezpieczeństwa.

Inna sprawa, że Boniek ma problemy w związku ze swoją prezesurą: prokuratorskie zarzuty związane z nadużywaniem uprawnień podczas negocjowania umów sponsorskich.

Marek Koźmiński wspomina, że nie spodziewał się tak brudnej gry, do dziś jest nią zniesmaczony, na równi z tym, że delegaci na zjazd wyborczy nie byli zainteresowani walką na argumenty i pomysły, ale po prostu zagłosowali za „swoim chłopem”. Swoją porażkę uznał, Kuleszy pogratulował i czekał na efekty jego rządów. – *Naprawdę chciałbym mieć się do czego odnieść. Ale nie ma do czego. Przez cztery lata prezes Kulesza nie wykazał się kompletnie niczym. Żadnej przełomowej inicjatywy, szeroko zakrojonego programu, rewolucyjnych pomysłów na wydanie PZPN-owskiego majątku (budżetowe wpływy na ten rok szacowane są na 365 mln zł – przyp. red.). Zainteresowany jest tylko trwaniem. To mistrz uników: nic nie wiem, o niczym nie słyszałem, nie było mnie przy tym. Tak było przy aferze premiowej, teraz mieliśmy powtórkę przy okazji burzy Lewandowski–Probiez. Tymczasem do kogo, jak nie do prezesa związku, należy załagodzenie konfliktu?*

Jeden z działaczy: – *Czarek jest najszczęśliwszy, gdy nadchodzi mecz reprezentacji i dzieli bilety. Tego lubię, dam mu cztery. Ale tamten prosił o trzy, a dostanie jeden, niech się zastanawia – dlaczego? Uwielbia, gdy dzwonią do niego np. z ministerstw i proszą o miejsce w łoży. Czuje się wtedy ważny.*



W kadrze Lewandowski zawsze stał trochę z boku, był raczej kurtuazyjnie szanowany niż szczerze lubiany

Kulesza obiecywał m.in. powstanie funduszu futbolowego, na który miały się zrzucić państwowe spółki (nic z tego nie wyszło), ale przede wszystkim stworzenie nowego, centralnego systemu szkolenia. Miał się tym zająć Maciej Mateńko, prezes okręgu zachodniopomorskiego. Koźmiński: – *Funkcja, którą dostał, czyli wiceprezesa ds. szkoleniowych, była wyrazem wdzięczności za zorganizowanie Czar-kowi poparcia w wyborach. Ale Mateńko to w środowisku postać bez koneksji, nie ma żadnej siły przebicia. Jeden z działaczy: – Poprzestano na stworzeniu strony internetowej z kompendium treningów dla dzieci. Pomysły Mateńki były torpedowane przez lokalnych baronów. Niejeden ostrzył sobie zęby na stanowisko wiceprezesa od szkolenia, a dostał je jakiś anonimowy trener od pracy z młodzieżą.*

Tyle kosztuje głos

Na 30 czerwca zaplanowano wybory prezesa. Cezary Kulesza nie ma kontrkandydata. Za jedyne go rywala przez jakiś czas uchodził Paweł Wojtala (były piłkarz, potem prezes okręgu wielkopolskiego),

ale ciągnęły się za nim zarzuty o wypro-wadzenie pieniędzy ze spółki jego życio-wej partnerki. W środowisku mówi się, że kandydaturę Wojtali ostatecznie utopił Wojciech Cygan (działacz Rakowa Często-chowa i wiceprezes PZPN), który miał mu zapewnić poparcie klubów, ale słowa nie dotrzymał. Głównie dlatego, że nie chcieli poprzeć ewentualnego prezesa, który za-raz może być ciągnany po sądach. Wojciech Cygan w szczególności wchodzić nie zamierza: – *Prezes Wojtala chciał kandydować i nie wiem, dlaczego ostatecznie tego nie zrobił. Powiedziałem mu, jakie są moje warunki poparcia jego kandydatury. Nie spełnił ich – powiada Cygan.*

Tymczasem stronnicy Kuleszy są prze-sem zachwyceni. Jako dowody aktywnej kadencji wymieniają: wyższy budżet, roz-wój reprezentacji kobiecej (mistrzostwa Europy ruszają na początku lipca), regu-larną obecność drużyn młodzieżowych na turniejach, a jeśli chodzi o inwestycje w przyszłość: wprowadzenie przepisów eliminujących grę na wynik w drużynach do 12. roku życia, ogólnopolski program dla dzieci „1x1” mający służyć rozwojowi indywidualnych umiejętności. – *Miał nosić nazwę „Polska się kiwa”, ale komuś w PZPN zapaliło się światelko, że w związku ze słabością działaczy do napojów wysoko-wych to nie najlepszy pomysł – śmieje się osoba ze środowiska.*

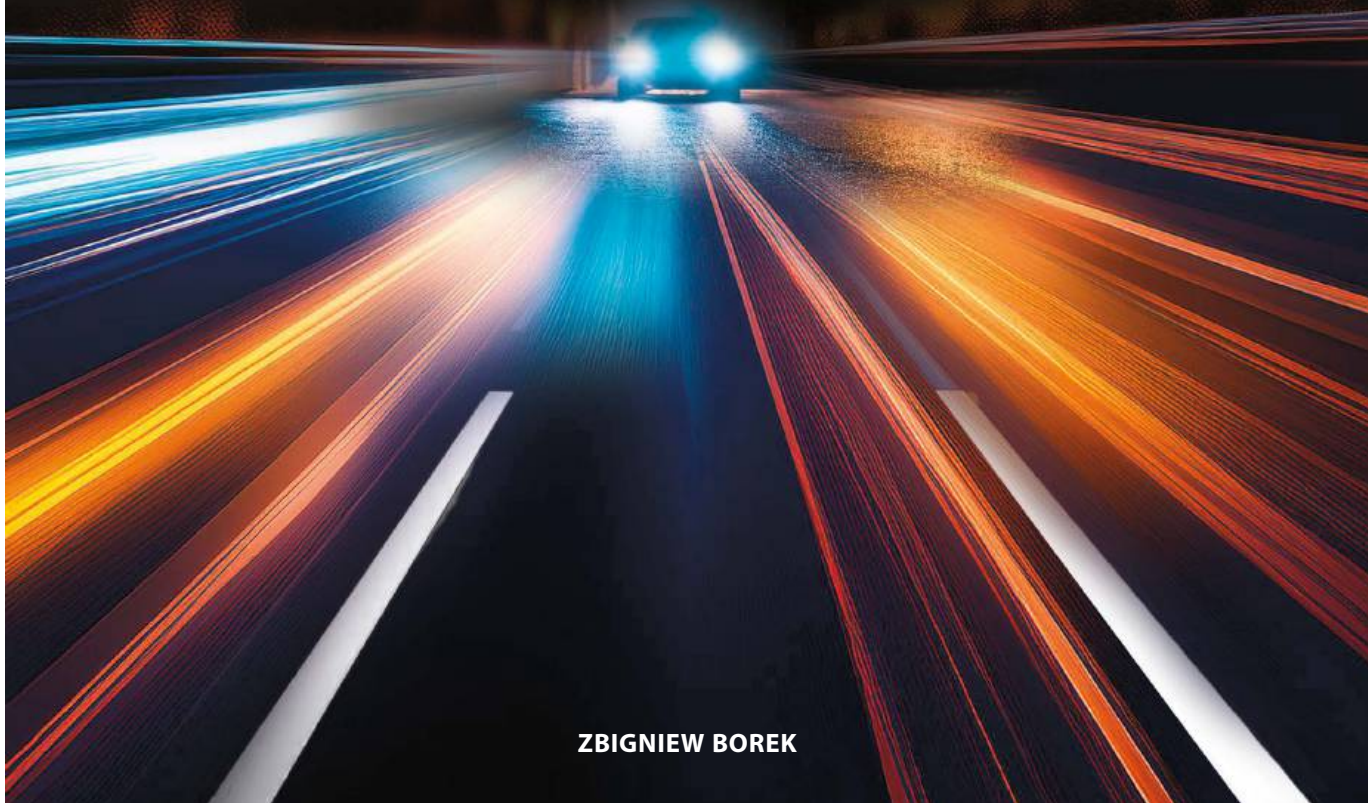
Jeden z lokalnych baronów: – *A impre-zy organizowane w Polsce? Finały euro-pejskich pucharów, mistrzowskich turnie-jów młodzieżowych? To zasługa prezesa. Na uwagę, że zdolności lobbingowe pre-za Kuleszy w UEFA są raczej wątpliwe, gdyż nie zna on żadnego języka obcego, co m.in. spowodowało, że stał się nie-wybieralny do organów wykonawczych UEFA, baron reaguje: – Z tego, co wiem, prezes porozumiewa się po rosyjsku.*

Marek Koźmiński uważa, że wobec licznych afer, jakie ciągną się za PZPN pod wodzą prezesa Kuleszy, jak również jałowości jego rządów, to, że nie udało się wyłonić atrakcyjnego kandydata w wybo-rach, jest dowodem przerażającej słabości środowiska. Działacz: – *Umiejętność zjed-nywania sobie poparcia przez Kuleszę może imponować. Ale proszę pamiętać, że działa-cze nie wymagają wiele: stanowisko, służ-bowy garnitur, 2,5 tys. zł diety miesięcznie za udział w posiedzeniach zarządu, zaproszenia na mecze do Warszawy albo za gra-nicę na koszt PZPN. Tyle kosztują ich głosy.*

MARCIN PIĄTEK

Skazany na ekstradycję

Sprawa Sebastiana M., domniemanego sprawcy tragedii na autostradzie A1, jak w soczewce pokazuje, czym się różniło państwo PiS od zachodniego modelu liberalnej demokracji.



ZBIGNIEW BOREK

Smierć w ogniu małżeństwa z pięcioletnim synem stała się politycznym paliwem Zbigniewa Ziobry, ówczesnego ministra sprawiedliwości w rządzie Prawa i Sprawiedliwości, przed kluczowymi dla losów prawicy wyborami do parlamentu z 15 października 2023 r. Sprzyjał temu kalendarz: do dramatu na autostradzie A1 doszło zaledwie miesiąc wcześniej. Półtora roku później sytuacja była podobna: też trwała kampania wyborcza, prawica i jej kandydat na prezydenta Karol Nawrocki nie przepuścili żadnej okazji, żeby dopieć nowej ekipie rządzącej i Rafałowi Trzaskowskiemu. Ekstradycja Sebastiana M.

się przeciągała, ale w tej sprawie milczeli jak zakłeci. Przypadek? Nie sądzę. Przyjrzyjmy się więc faktom.

Sobota 16 września 2023 r. po godz. 19. Rodzina z Myszkowa w woj. śląskim wraca z urlopu nad morzem. Za kierownicą siedzi 40-letni Patryk (żyje z internetowego handlu), obok jego żona Martyna (37 lat, prowadzi zakład kosmetyczny), z tyłu pięcioletni syn Oliwier bawi się samochodzikami. Do domu mają jeszcze półtorej godziny. Pod Piotrkowem Trybunalskim, na 339. kilometrze autostrady A1, za ich Kią z ogromną prędkością nadjeżdża BMW. Są na lewym pasie, tamten miga światłami, żeby ustąpili. Patryk włącza kierunkowskaz, zjeżdżają na prawo,

ale BMW już z prawej wyprzedza. Zahaćca o ich samochód. Kia uderza w barierę i zamienia się w kulę ognia. Świadkowie słyszą krzyki płonącej rodziny.

Autostrada jest usłana fragmentami karoserii, ok. 200 m dalej stoi BMW z rozbitym przodem. Do kierowania tym pojazdem przyznaje się Sebastian M., wówczas 32-letni biznesmen i syn łódzkiego przedsiębiorcy. Ani policjanci, ani strażacy nie mają wątpliwości, że BMW uczestniczyło w wypadku. W takich sytuacjach zwykle dochodzi do aresztowania domniemanego sprawcy, żeby nie mataczył i nie uciekł, ale nie tym razem. Początkowo w komunikatach policji i prokuratury BMW nawet się nie

pojawia. To się zmienia dopiero dzień dni po wypadku pod wpływem zalewających internet zdjęć i filmików.

Sprawa bulwersuje opinię publiczną i na scenę wkracza Zbigniew Ziobro. Jest prokuratorem generalnym, ale w swoim stylu pozuje na szeryfa: zapowiada zatrzymanie Sebastiana M., grozi zaostreniem zarzutów (choć jeszcze nie były postawione), zdradza, że według biegłych sprawca jechał co najmniej 253 km/h (to ma znaczenie dla kwalifikacji prawnej czynu). „To tak, jakby ktoś zapukał do sprawcy i powiedział mu »sp...aj!«” – komentuje Dariusz Loranty, ekspert ds. bezpieczeństwa i były policjant. Nazywa to politycznym piarem. Niezależni prokuratorzy alarmują, że upublicznienie informacji na tak wczesnym etapie śledztwa może utrudnić postępowanie, bo M. przebywa za granicą i może uniknąć zatrzymania. I tak właśnie się dzieje.

Jego ówczesny pełnomocnik Bartosz Tiutiunik informuje, że Sebastian M. wyjechał z kraju legalnie, bo mógł. Formalnie wciąż nie był podejrzanym, lecz świadkiem, i nie został objęty zakazem opuszczania Polski. O ustaleniach śledztwa i planowanych działaniach prokuratury miał wiedzę taką jak cała opinia publiczna, bezpośrednio od Ziobry. Tak też się dowiedział, że zapadły decyzje o jego aresztowaniu i jest poszukiwany listem gończym. „W ten sposób uniemożliwiono mu stawiennictwo w prokuraturze, zanim zapadły decyzje o pozbawieniu go wolności. Stało się to bez jego wiedzy i udziału” – oświadcza adwokat.

Działania, czyli zaniechania

Nigdy się nie dowiemy, co zrobiliby M., gdyby nie medialna nadgorliwość Ziobry. Politycznie byłego ministra obciąża także to, że nadzór nad śledztwem w sprawie tragedii na A1 prowadziła prokuratorka okręgowa Magdalena Witko, którą sam nominował na to stanowisko. Typowy awans „dobrej zmiany” – wcześniej była szeregową prokuratorką wydziału śledczego Prokuratury Rejonowej w Tomaszowie Mazowieckim, bez szczególnych osiągnięć zawodowych. Na gruncie prywatnym rzecz wyglądała zgoła odmiennie: jej mąż to Marcin Witko, polityk PiS i prezydent Tomaszowa. Andrzej Duda zasiadał z nim w parlamencie, jako prezydent RP wskazał Witkę na członka Narodowej Rady Rozwoju, Dudów i Witków łączyły też relacje osobiste.

Kierowana przez Witko prokuratura zasłynęła z umorzenia śledztwa w sprawie korupcji politycznej. Bartłomiej Misiewicz, 26-letni wówczas rzecznik Ministerstwa Obrony Narodowej i wpływowy szef gabinetu ministra Antoniego Macierewicza, miał oferować stanowiska w państwowych firmach za poparcie dla kandydata PiS na wicestarostę. Śledczy z Piotrkowa uznali to za „normalne rozmowy polityczne”. Podwładni Witko wycofali też z sądu akt oskarżenia w sprawie z udziałem Daniela Obajtka (miał przyjąć łapówkę jako wójt Pćmicia). „Tragedia z A1 niemal od razu stała się znana w całej Polsce. Dramat rodziny ze spalonego auta jak najprędzej powinien stać się wtedy przedmiotem zainteresowania miejscowego prokuratora okręgowego” – mówił Onetowi Mariusz Czajka, adwokat z Tomaszowa, który powiadomił prokuraturę o niedopełnieniu obowiązków przez Magdalenę Witko.

Można więc postawić tezę, że działania (a raczej zaniechania) prokuratury w czasach rządów PiS ułatwiły wyjazd Sebastiana M. za granicę, a Ziobro jako jej zwierzchnik dał mu do ręki argumenty na obronę przed polskim wymiarem sprawiedliwości. „Sebastian M. (tu pełne nazwisko – przyp. red.) obawia się, że postępowanie w stosunku do niego nie będzie obiektywne, sprawiedliwe i uczciwe” – napisał jego adwokat, wskazując na „pozamerytoryczne wpływy i naciski, w tym od czynnych polityków”. Mimo to Ziobro do końca nie wyszedł z kowbojskiej roli: gdy polskie służby zatrzymały Sebastiana M. w Dubaju, jakby nigdy nic obwieścił, że podpisał wniosek o ekstradycję i wkrótce M. będzie w Polsce. Realizacja tego wniosku po przegranych przez prawicę wyborach w 2023 r. spadła jednak na następców. I okazała się drogą przez mękę, do czego także przyczynił się PiS.

Dubajski krwawy dług

– *Jeśli ktoś oburza się na rzekomą przewlekłość postępowania ekstradycyjnego, powinien zwrócić uwagę na to, co się wcześniej działo w Polsce* – mówiła POLITYCE prof. UW Monika Płatek, specjalistka prawa karnego. Podkreśliła, że za czasów poprzednich rządów Polska wielokrotnie naruszyła prawo do rzetelnego procesu i stosowano u nas areszty wydobywcze, trudno się więc dziwić, że sądy w innych krajach nie godzą się na ekstradycję z automatu.

Umowę o ekstradycji ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi Polska podpisała zaledwie pół roku przed zatrzymaniem w Dubaju Sebastiana M. – *Przecieraliśmy szlak* – mówi prokurator znający kulisy sprawy. W umowie nie zapisano sztywnych terminów (używa się określenia „niezwłocznie”), wymiana informacji odbywała się skomplikowaną drogą dyplomatyczną i niektóre pisma nie docierały do adresatów, polską stronę w ZEA reprezentował emiracki prokurator, czasem na przeszkodzie stawał urlop pojedynczego sędziego.

Istotne były też różnice kulturowe i prawne. Gdyby do podobnego wypadku doszło w ZEA, sprawcę obciążałby „krwawy dług”: musiałby wypłacić rodzinom ofiar przewidziane w prawie muzułmańskim zadośćuczynienie (ok. 200 tys. zł za każdą zabita osobę). Z drugiej strony ustawa drogowa za spowodowanie śmiertelnego wypadku przewiduje tam nawet karę śmierci. Samo zaś uznanie dopuszczalności ekstradycji podlega zatwierdzeniu emirackiego sądu, w razie odwołania (Sebastian M. je złożył) – Sądu Najwyższego, a na końcu i tak decyduje minister sprawiedliwości.

Cały proces ekstradycyjny zajął aż półtora roku. Nietrudno sobie wyobrazić, jakie demony budziłyby z tego powodu Ziobro i ekipa PiS, gdyby pozostawali u władzy. Tymczasem nowy minister sprawiedliwości Adam Bodnar przy dyplomatycznym wsparciu ministra spraw zagranicznych, jak mówi nasz rozmówca z prokuratury, „robił robotę”. Fundamentalny okazał się spór o dolną granicę kary: ekstradycja obejmuje czyny zagrożone minimum rocznym więzieniem, tymczasem dolna granica kary za spowodowanie wypadku ze skutkiem śmiertelnym (art. 177 par. 2 Kodeksu karnego) w Polsce wynosi pół roku pozbawienia wolności. Tak mało dlatego, że ten sam paragraf obejmuje również wypadki, w których skutkiem jest uszczerbek na zdrowiu.

Strona polska przygotowała więc kompleksowy raport, z którego wynika, że sądy w naszym kraju skazują sprawców śmiertelnych wypadków na co najmniej cztery lata więzienia. Dzięki temu 26 maja rejsowy samolot z konwojowanym przez policjantów Sebastiana M. na pokładzie wylądował w Polsce. Minister Bodnar, premier Donald Tusk i szef MSWiA Tomasz Siemoniak sześć dni przed wyborami prezydenckimi mogli powiedzieć ►

► o sprawczości państwa pod rządami obecnej koalicji i o tym, że nikt nie umknie polskiemu prawu. Nie zmienia to faktu, że ekstradycja to początek, a nie koniec procesu wymierzania sprawiedliwości w tej sprawie.

Setki tysięcy złotych

Jeszcze przed zatrzymaniem w Dubaju Sebastian M. w pisemnych wyjaśnieniach, jakie za pośrednictwem mec. Tiu-tiunika przekazał prokuraturze, wyraził „ubolewanie i żal w związku ze śmiercią osób jadących samochodem Kia” i przekazał kondolencje ich najbliższym. Tiu-tiunik nie jest już jednak jego obrońcą, a wiele wskazuje, że Sebastian M. zmienił też strategię: nikogo nie przeprosza, nie okazuje skruchy, winę zrzuca na nieżyjącego kierowcę Kii. Po długim milczeniu udzielił wywiadu – nie dziennikarzowi, który zadałby mu niewygodne pytania, lecz Zbigniewowi Stonodze, wideoblogerowi z wyrokami karnymi, który zasłynął z publikacji akt śledztwa afery podsłuchowej w 2014 r. Sebastian M. przedstawił się w roli ofiary. Twierdził, że jechał lewym pasem niemal pustej autostrady z prędkością 160–170 km/h, gdy „znikąd, nie wiem, z jakiego powodu, samochód Kia zjechał ze skrajnie prawego pasa” tuż przed jego BMW. „To zdarzenie było bardzo szybkie. Mogłem tylko utrzymać samochód na moim pasie ruchu bądź uderzyć w wiadukt” – mówił w nagraniu, dodając, że „doszło do kolizji, strasznej kolizji”.

Widział słup ognia, rzekomo dał nawet jednemu ze swoich pasażerów gaśnicę, a sam zajął się drugim, który też ucierpiał w wypadku. Stwierdził, że nie był świadomy tragicznych skutków, a do siebie ma pretensje jedynie o to, że w tragicznym momencie znalazł się na A1. Żalił się, że tuż po wypadku policjanci przez dwie godziny wozili go po okolicy, bo nie było gdzie pobrać mu krwi, a gdy to się udało, pielęgniarz i lekarz nazwali go „mordercą z autostrady”. Prokuraturze zarzucił fałszowanie dowodów na potrzeby śledztwa i ekstradycji: „Ja w Polsce zostałem już skazany. Nie mogę liczyć na sprawiedliwy proces”.

– Jego opowieści w przestrzeni medialnej nie mają żadnego znaczenia procesowego – komentuje prok. Izabela Knapik z Prokuratury Okręgowej w Katowicach, gdzie prowadzone jest śledztwo. Sebastian M. nie przyznał się do winy



i złożył ogólnikowe wyjaśnienia. Prokuratura nie ujawnia treści, ale zapewne są zbieżne z wersją przedstawioną u Stonogi. Śledczy nie mają wątpliwości, że spowodował tragedię. „Jest jedynym i bezpośrednim sprawcą” – uznali biegli. Według nich uderzył w tył prawidłowo jadącego auta, którego kierowca nie zdążył ustąpić mu miejsca. Jak ustaliła nieoficjalnie POLITYKA, M. jechał z prędkością 315 km/h. Mec. Łukasz Kowalski, pełnomocnik bliskich ofiar wypadku, ocenił, że materiał dowodowy jest obszerny i „tak szczelny, że ciężko będzie wdawać się w polemikę”. Prokuratura nie idzie jednak na skróty. Powołała biegłego z zakresu rekonstrukcji wypadków drogowych, by wydał uzupełniającą opinię i zweryfikował najnowsze wyjaśnienia złożone przez Sebastiana M. – już nie w social mediach, ale do protokołu.

To wszystko pochłania nie tylko czas, ale i pieniądze. Koszty ekstradycji polskiego obywatela z zagranicy różnią się w zależności od logistyki i wymogów bezpieczeństwa. Spoza Europy to zwykle kwota rzędu 30–100 tys. zł. Ekstradycja z Malty podejrzanego o brutalne zabójstwo kobiety Kajetana P. w 2016 r. kosztowała ok. 100 tys. zł za sam lot, ale odbywała się wojskową CASĄ, a Sebastian P. dotarł do Polski rejsowym samolotem. Komenda Główna Policji szacowała, że uda się go sprowadzić za 40 tys. zł, ale to był wstępny etap procedury i chodziło jedynie o aspekt wykonawczy: pięć dni pracy, eskorta trzech funkcjonariuszy, przelot (ostatecznie było to 19 tys. zł). Nikt wtedy nie zakładał, że cały proces ekstradycji będzie tak długi, a M. i jego krewni

wykorzystają wszelkie kruczki prawne (i głębokie kieszenie), by zablokować tę możliwość. Dla przykładu: M. zdobył w Emiratach tzw. złotą wizę, czyli status rezydenta uprawniający do długoterminowego pozwolenia na pobyt. Aby ją otrzymać, musiał prowadzić działalność gospodarczą o wartości co najmniej 500 tys. dirhamów (ok. 550 tys. zł).

Wydatki na postępowanie ekstradycyjne w tej sprawie jeszcze nie zostały podliczone, ale idą w setki tysięcy złotych, bo obejmują także koszty przygotowania obszernej dokumentacji przez Ministerstwo Sprawiedliwości i prokuraturę, usługi tłumaczy przysięgłych, wyjazdy (w ZEA była ekipa polskich prokuratorów). Płacą za to resort sprawiedliwości i Komenda Główna Policji, innymi słowy – podatnicy. – W przypadku skazania sąd może orzec zwrot części kosztów postępowania przez ekstradowaną osobę, ale w praktyce rzadko odzyskuje się pełną kwotę – mówi urzędnik Ministerstwa Sprawiedliwości.

Ucieczka M. i długi proces ekstradycyjny najwięcej jednak kosztowały krewnych ofiar. – Obawiali się, że sprawca uniknie sprawiedliwości. Nasilił się przez to ich ból i cierpienie, nadal korzystają z terapii psychologicznej – mówi ich pełnomocnik Łukasz Kowalski.

Za zaniedbanie obowiązków mec. Kowalski próbuje postawić przed sądem policjantów i prokuratora, którzy byli na miejscu wypadku i pracowali nad sprawą krótko po nim, a także ówczesną prokurator okręgową Magdalenę Witko. Jak informowała prokuratura, oba postępowania umorzono z braku znamion czynu zabronionego, ale adwokat złożył zażalenie i wszystko jest sprawdzane od początku. Po jego doniesieniu prokuratura bada jeszcze wątek ewentualnego ułatwienia Sebastianowi M. wyjazdu z kraju i ukrywania się. Jego bliscy we współpracy z jedną z organizacji społecznych pozywają tych, którzy – jak uważają – ich hejtowali. Ukrywanie się za granicą i próba umknienia wymiarowi sprawiedliwości wpłynęła na decyzję sądu o utrzymaniu aresztu dla Sebastiana M. – na razie na miesiąc, ale mało prawdopodobne, że wyjdzie na wolność przed początkiem procesu. Sąd weźmie to także pod uwagę w wyroku. Sebastianowi M. grozi do ośmiu lat pozbawienia wolności. Początku procesu można się spodziewać najwcześniej jesienią, dwa lata po wypadku na A1.

ZBIGNIEW BOREK

Ustawa o zawodzie psychoterapeuty brnie przez Sejm. Różnice zdań są naturalne, ale w tym przypadku rozemocjonowanym uczestnikom debaty chciałoby się niekiedy poradzić skorzystanie z usług psychoterapeuty.

Zawód kruchego zaufania

EWA WILK



ILUSTRACJA MARTA FREJ

Miało pójść gładko: środowisko psychoterapeutów w lutym tego roku przedstawiło projekt ustawy o swoim zawodzie posłom rządzącej koalicji, ci przeprowadzili stosowne konsultacje społeczne i – jak zapowiadano – już w czerwcu Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej miało powołać do życia samorząd zawodowy tej teraz już prestiżowej „profesji zaufania publicznego”.

Jak idzie? Wyboście. Już dwa dni po złożeniu projektu ustawy do łaski marszałkowskiej protestowało przeciw jego zapisom największe w Polsce stowarzyszenie psychoterapeutyczne, skupiające ok. 5 tys. behawiorystów. Konsultacje zakończyły się sukcesem frekwencyjnym, bo nadesłano ponad 7,5 tys. opinii; wypowiedziały się rozmaite towarzystwa, rady i komitety; jednak 98 proc. ocen nadesłała indywidualnie sami zainteresowani – praktycy zawodu. 72 proc. respondentów poparło sam pomysł jego ustawowej regulacji (czyli co trzeci jednak nie poparł), a 60 proc. obecny projekt uznało za gotowy do uchwalenia bez poprawek (czyli czterech na dziesięciu zauważyło w nim co najmniej niedoskonałości).

Ciekawe: o ile wypowiedzi indywidualne są dla projektu raczej przychylne, o tyle zbiorowe stanowiska, firmowane stemplami takich organizacji, jak Polskie Towarzystwo Psychologiczne, Koalicja dla Psychoterapii (porozumienie zawarte w 2024 r. przez naukowców UW, UJ, Uniwersytetu SWPS i Instytutu Psychologii PAN), Naczelna Rada Lekarska czy Porozumienie Rezydentów, oceniają go srogo, by nie powiedzieć dyskwalifikująco.

Posłanka Marta Golbik, kierująca sejmowym zespołem do spraw tego aktu, zapewnia, że choć czerwiec nie przyniesie w tej sprawie finału, to projekt lada moment trafi do komisji zdrowia, a także spraw rodziny. Na razie opinia publiczna ma prawo do poczucia zagubienia, dlaczego ci, którzy swój zawód przedstawiają jako służbę dla zdrowia psychicznego i jakości relacji międzyludzkich, sami nie potrafią się dogadywać (są za to mistrzami w dogadywaniu sobie wzajemnie). I trwa to nie kilka miesięcy, nie dwa lata, lecz prawie ćwierć wieku.

Przy tym właściwie wciąż nie ma zgodnej odpowiedzi na główne pytania. Takie jak poniższe.

Kto to właściwie jest psychoterapeuta?

Dziś, jak wiadomo, może się tak tytułować każdy, kto czuje, że ma „rękę do ludzi”, i założy działalność gospodarczą. A nawet niekoniecznie trzeba używać tego terminu, ►

► można świadczyć usługi pod mianem „specjalisty terapii traumy”, „terapeuty obniżonego nastroju”, coacha.

Ustawa miałaby to zmienić, wymagając przeszkolenia, obowiązkowej przynależności do samorządu zawodowego, wpisu na ogólnopolską listę. Rzecz jednak w tym, że w pięciu podejściach (szkołach) psychoterapeutycznych, jakie projekt dopuszcza, każdy pracuje po swojemu. Polskie Towarzystwo Psychologiczne zauważa: „Sami projektodawcy podkreślają, że nie ma jednolitości w poszczególnych podejściach, które to podejścia mają się rzekomo składać na jeden »uniwersalny« i »ogólny« zawód psychoterapeuty. Wykazują przy tym całkowite niezrozumienie realiów każdego z podejść (jego założeń, reguł metodologiczno-deontologicznych, a co za tym idzie, również i kwestii przevinień dyscyplinarnych). Może to skutkować tym, że jeden psychoterapeuta będzie podlegał odpowiedzialności za dany czyn, a pracujący w innym podejściu za taki sam czyn odpowiedzialności nie poniesie. Zatem ustawa nie ma nic wspólnego z ujednolicaniem i wprowadzeniem uniwersalnych standardów psychoterapii. (...) W przypadku rzeczonego projektu »psychoterapeutów« nie łączy nawet kwestia bazowego wykształcenia, bo trudno za takie połączenie uznać katalog w projekcie ustawy łączący psychologów i lekarzy z archeologami, malarzami, politologów czy magistrów gospodarki przestrzennej”.

Kim z wykształcenia powinien być psychoterapeuta?

W projekcie ustawy znajdujemy długą listę kierunków społecznych i humanistycznych, których ukończenie otwierałoby drogę do zdobycia certyfikatu psychoterapeuty. Marta Golbik w nadesłanych opiniach znajduje głosy, że ustawa zbyt ciasno zamyka furtkę do zawodu – oto np. nie precysjonaby się przez nią nauczyciel matematyki i pedagog. Ale psychologowie i lekarze w oficjalnych stanowiskach są nieugięci: prawo do praktykowania tego zawodu zarezerwowaliby tylko dla siebie. Prezydium Naczelnej Rady Lekarskiej uważa, że ustawa, nie wymagając od psychoterapeuty bazowego, akademickiego wykształcenia medycznego ani psychologicznego, „jest po prostu niebezpieczna. Bo oznacza to, że w przypadku części psychoterapeutów całość ich wiedzy w zakresie psychopatologii,

interwencji psychologicznych czy diagnoz psychiatrycznych będzie pochodzić jedynie ze szkolenia z zakresu psychoterapii, składającego się zaledwie z 1,2 tys. godzin”.

W oficjalnym stanowisku Porozumienie Rezydentów wylicza: „Od lekarza, by uzyskać on tytuł zawodowy, wymaganych jest minimum 5,7 tys. godzin zajęć i praktyk zawodowych w ciągu studiów oraz około 2,2 tys. godzin stażu podyplomowego. Od psychoterapeuty – zaledwie 360 godzin stażu klinicznego. Podczas takiego stażu psychoterapeuta aplikant powinien uczestniczyć w codziennej pracy jednostki i obserwować proces leczenia pacjentów. Przy założeniu 40 godzin pracy w tygodniu oznacza to zaledwie 9 tygodni pracy z pacjentem. To zbyt krótki czas szkolenia, by odpowiadać za życie i zdrowie pacjentów w kryzysie zdrowia psychicznego. W ramach szkolenia jest wymóg zaledwie 70 godzin zajęć uzupełniających z medycyny i 80 z psychologii. Ponadto w tych 1,2 tys. godzinach mają się zmieścić 150 godzin superwizji i 250 godzin terapii własnej. Realny czas nauki jest zatem niższy”.

Lekarscy rezydenci dopowiadają na swojej stronie internetowej w sieciowej manierze: „Projekt daje wspaniałe możliwości kariery! Co z tymi wszystkimi pseudopsychoterapiami, których teraz wszędzie pełno? O tym, jaka metoda jest słuszna, nie będzie decydował jakiś EBM (ang. Evidence Based Medicine, medycyna oparta na faktach) albo instytucja państwowa, tylko stowarzyszenia na podstawie doświadczenia i wiedzy ekspertów. No i samorząd. Bo psychoterapeuci dostają samorząd, a jak jesteś lekarzem i psychoterapeutą naraz, to nie tylko płacisz dwie składki, ale też odpowiadasz przed dwoma sądami zawodowymi, które mogą sobie orzec inaczej w tej samej sprawie – fajnie nie?”.

Kto może certyfikować psychoterapeutę?

Kolejny iskrzący problem to założenie, że tylko psychoterapeuci z odpowiednim atestem będą mogli legalnie wykonywać ten zawód. Tyle że sprzeciw krytyków ustawy budzi fakt, że każde z pięciu podejść terapeutycznych tak jak terapeutyzuje po swojemu, tak i certyfikować będzie po swojemu. A co jeszcze ważniejsze, inaczej niż w rozmaitych zawodach zaufania publicznego (jest ich w Polsce 19), poszczególne stowarzyszenia będą miały tu monopol. Cokolwiek powiedzieć, żadna z profesji

zaufania nie jest aż tak wyjęta spod nadzoru państwa. Prezydium Naczelnej Rady Lekarskiej przypomina, że w przypadku lekarza i lekarza dentysty dopuszczenie do wykonywania zawodu jest uwarunkowane złożeniem egzaminów, które mają charakter państwowy (LEK i LDEK). Egzaminy lekarskie są przygotowywane i przeprowadzane przez specjalną jednostkę podległą Ministerstwu Zdrowia.

Sceptycy wobec ustawy nie rozumieją też przyporządkowania psychoterapeutów Ministerstwu Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej. Dlaczego nie Zdrowia? – pytają, skoro zdrowie psychiczne uważa się powszechnie za co najmniej równie ważny problem jak to fizyczne.

Czy każda psychoterapia ma oparcie w nauce?

Przedmiotem sporu wśród samych psychoterapeutów są podstawy teoretyczne, na których opierają się rozmaite podejścia. Zwykle nie są to ataki wprost, ale wzajemne aluzje i sugestie, że gdy jedni trzymają się współczesnej nauki, inni – nawet całe tzw. podejścia – mogą lekceważyć najnowsze doniesienia akademickiej psychologii, trwać przy dawno nieaktualnych przekonaniach, a przede wszystkim ignorować badania skuteczności poszczególnych metod psychoterapeutycznych. Ustawa miała temu zapobiec.

Lekarze (NRL) alarmują: „Pośród dostępnych na rynku metod psychoterapii są liczne, które mogą po weryfikacji okazać się szkodliwe dla pacjentów. Ustawa niedostatecznie zabezpiecza pacjenta przed ryzykiem brania udziału w takich formach psychoterapii, a wręcz legitymizuje je”.

Sprawa z owymi dowodami naukowymi co do poszczególnych podejść nie jest prosta. Nie jest bynajmniej tak, by ktoś był w stanie autorytatywnie orzec: podejście nr 1 jest zdecydowanie lepsze od 4, a nr 2 jest archaiczne i nieskuteczne. Koalicja dla Psychoterapii (czołowe uniwersytety i PAN) pisze w swojej opinii: „Zgodnie z aktualnym stanem rozwoju nauki skuteczność psychoterapii badana jest dla specyficznych problemów psychicznych, komponentów psychoterapii lub procesów adresowanych przez psychoterapię (nie całych szkół czy nurtów). Ponadto weryfikacja skuteczności metod psychoterapii opiera się na szeregu procedur badawczych o zróżnicowanej sile dowodowej”. Upraszczając: określa statystycznie,

na ile która terapia okazała się skuteczna np. przy leczeniu uzależnienia, a która – przy wychodzeniu z traumy.

Na Zachodzie analizy naukowe są podstawą do sformułowania zaleceń przez państwowe instytucje, powołane do oceny technologii medycznych w danym kraju (np. NICE w Zjednoczonym Królestwie czy TRIMBOS w Holandii). Liczy się też oczywiście koszty poszczególnych rozwiązań, co potem owocuje wsparciem dla danej terapii przez państwowy system opieki medycznej. Wedle naszej ustawy taka weryfikacja nie jest przewidziana. Prof. Agnieszka Popiel, która na Uniwersytecie SWPS odpowiada za kształcenie psychoterapeutów, w wywiadzie dla „Rynku Zdrowia” już w ub.r. mówiła w kontekście prac nad projektem ustawy: „Potrzebujemy wierzyć autorytetom, ale póki co słuchamy raczej guru niż fachowców”.

Jak zagwarantować bezpieczeństwo pacjentom?

Intencją posłów wprowadzających projekt do Sejmu była – mocno to podkreślano – dbałość o bezpieczeństwo pacjentów. Zatem skoro psychoterapia ma być sposobem leczenia, to przede wszystkim musi się ono opierać na trafnej diagnozie, której nie da się postawić na oko, intuicyjnie. NRL twierdzi: „Trzeba jeszcze w trakcie kształcenia przeddyplomowego odbyć zaliczone egzaminem zajęcia z psychologii klinicznej lub psychiatrii”.

Porozumienie Rezydentów wtóruje: „Niedostosowane interwencje mogą prowadzić do zaostrzenia choroby, włącznie ze stanami zagrożenia życia i zdrowia. Uczestnicy psychoterapii powinni być chronieni ustawą o prawach pacjenta i rzeczniku praw pacjenta”. W stylistyce internetowej głos młodych lekarzy brzmi tak: „Dobra, ale gdzie w tym wszystkim jest pacjent? Otóż nie musisz się przejmować prawami pacjenta, bo ty zajmujesz się *osobami korzystającymi z psychoterapii*. Nie musisz też prowadzić dokumentacji medycznej. A brakiem wykształcenia bazowego również nie należy się przejmować, bo według ustawy do robienia psychoterapii potrzebna jest przede wszystkim dobra osobowość. Żeby dać wisienkę na torcie, to w uzasadnieniu do ustawy czytamy rozważania, czy nie należałoby wyłączyć psychoterapeutów z art. 240 Kodeksu karnego. Czyli konieczności zgłaszania

przestępstw seksualnych, w tym na osobach nieletnich”.

Jak widać, trwająca latami dyskusja nad zawodem psychoterapeuty nabrała w ostatnich miesiącach impetu, ale wątpliwe, czy przysłuży się to realnemu zaufaniu do tego rodzaju pomocy dla skołatanego psychicznie społeczeństwa. Choć wszyscy jej uczestnicy się zgadzają, że pomoc ta jest pilnie, masowo wręcz potrzebna.

I w jeszcze jednym panuje powszechna zgoda, tyle że wyrażana najczęściej nieoficjalnie: wojna idzie o pieniądze. Niebawemu popytowi na psychoterapię odpowiadała niekontrolowana podaż. Takie są prawa rynku. Ci, którzy na nim pomyślnie płyną, niespecjalnie chcą zmian, to naturalne. A zarabia się tu dobrze, nie tylko na pacjentach, ale też na szkoleniu adeptów tego fachu. Projektodawcy ustawy mają swoje racje: jeśliby zamknąć zawód i uszczelnić go restrykcyjnymi wymaganiami, to wizyta u psychoterapeuty kosztowałaby nie 200–300 zł, ale nawet 700. Ich oponenci twierdzą, że za pozorami dobrych intencji kryje się prawdziwy zamiar: nie uzdrowienie, ale zacementowanie obecnego stanu rzeczy.

Pieniądze zaogniają stan emocjonalny w środowisku. Doniesienia medialne płynące z uczelni wyższych czy stowarzyszeń zawodowych czasami żenują. Oto marcowe wybory do warszawskiego oddziału Polskiego Towarzystwa Psychologicznego. Awantura, oskarżenia, że pewna grupa (nawiasem – związana z renomowanym ośrodkiem kształcenia psychoterapeutów) chce siłowo przejąć władzę, manipuluje, „odstawia szopkę”. Oto afera na Wydziale Psychologii Uniwersytetu Warszawskiego, z apogeum w kwietniu tego roku. Wybrany na drugą już kadencję dziekan, oskarżony przez część załogi o nieuzasadnione zwolnienia i generalnie o autorytaryzm, musi zmierzyć się ze skargą do rektora. Jedni go bronią, drudzy nie zostawiają suchej nitki – nowocześnie, anonimowo, w brutalnej wojnie mailowej,

pełnej oczywistego hejtu. Oto powołanie – w maju 2024 r. – krajowego konsultanta ds. psychoterapii. Najpierw na stronie internetowej Ministerstwa Zdrowia pojawia się nazwisko cenionego psychiatry i psychoterapeuty dziecięcego (behawiorysty), a za chwilę komunikat, że wyboru dokonano wadliwie, „bez udziału zainteresowanych środowisk”. Konsultantem zostaje dr hab. nauk medycznych, przedstawiciel nurtów – jak sam podaje – psychodynamicznego, analitycznego i terapii zaburzeń seksualnych.

Reakcje „środowiska” na doniesienia medialne o przypadkach pseudopsychoterapii są nadmiarowe, pełne mocnych słów, oskarżeń o przekłamania, manipulacje, półprawdy, nieuprawnione uogólnienia i złe intencje, inspirowane przez jakąś grupę interesu. Posłankę Martę Golbik też to dotyczy, niekiedy czuje się wręcz ofiarą hejtu ze strony utytułowanych specjalistów. Przewrażliwienie na jakąkolwiek krytykę, skłonność do myślenia spiskowego, rozchwiane poczucie własnej wartości, chroniczny gniew i lęk... Czyż nie z tym właśnie pacjenci przychodzą do terapeutów? Można przewrotnie powiedzieć, że wielu z nich aż za dobrze wie, co leczy.

Tymczasem stoimy przed niesłychanie poważnym problemem społecznym, wynikającym z wyjątkowych okoliczności ostatnich lat. To generalne trendy współczesnej cywilizacji, jak skrajnie rywalizacyjne systemy edukacji i kariery, upadek odwiecznych wzorców, jeśli chodzi o życiowe role kobiet i mężczyzn, nowe spojrzenie na płęć, kryzys katolicyzmu skompromitowanego konserwatywną postawą obyczajową przy jednoczesnym skrywaniu wulgarnych przestępstw seksualnych. I lęki fundamentalne: przed pandemią, wojną, zagładą klimatyczną, niepewną w każdym wymiarze przyszłością. Ludzie psychicznie się sypią. Oby nie posypał się ogłoszony z dużym przytupem projekt uregulowania zawodu psychoterapeuty. A on wymaga szczególnego, autentycznego, nie tylko deklarowanego ustawą, zaufania publicznego. I wreszcie: decyzji.

EWA WILK



Więcej przeczytasz
w Poradniku Psychologicznym
„**PSYCHOTERAPIA – DLA KOGO I U KOGO**”
dostępnym na sklep.polityka.pl

KUP TERAZ



Arcy Arctowski

**W Cierpicach wylądowało UFO.
Tak przynajmniej mówili miejscowi.
Dobrze zorientowani prostowali, że nie
wylądowało, ale zostało wybudowane,
i to tylko na chwilę, bo zaraz je zapakują
i zawiozą na Antarktydę. Trudno powiedzieć,
która opowieść jest bardziej kosmiczna.**

JULIUSZ ĆWIELUCH

Szukając ważnych wydarzeń z życia Cierpic, odnotować należy przede wszystkim zamieszanie ze stacją kolejową, którą kolejno – zdegradowano do roli stacji technicznej, a następnie w 2023 r. powróciły na nią pociągi. Z kolei w zeszłym roku pomidory ludziom obrodziły. – A w tym roku to UFO u nas wylądowało – jak można się było dowiedzieć pod miejscowym sklepem. Na dowód rozmówcy sięgnęli po komórki i pokazali zdjęcia, żeby nie było, że za dużo soku malinowego wypili. I rzeczywiście. UFO wylądowało centralnie na placu manewrowym największej firmy w okolicy – Andrewexu.

Obłę cielsko w złotawej zbroi posadowione zostało na czterech rurowatych nogach z betonowymi podporami na końcach. Przód całkiem wysłupiony. Za to na burtach po kilka okien na bokach zaokrąglonych. Całkiem sporych, z czego wnosić można,



że cywilizacja, która zawitała do Cierpic, ma osobniki wzrostem nieodlegające od ludzi. Poszycie kadłuba poprzecinane czarnymi koralami łączyło go na równe sekcje. W sumie siedem plus dziobowata część przednia. Szczególnie przyciągająca uwagę, bo skupiająca promienie słoneczne, a co za tym idzie – spojrzenia. To stamtąd wypuszczono trap. A w zasadzie ażurowe schodki. Czyżby to w ich okolicy miało dojść do pierwszego kontaktu z pozaziemską cywilizacją? Pod sklepem i na ten temat mieli przygotowane opowieści. Jeden rozmówca uważał, że witać powinien ksiądz, ewentualnie z sołtysem. A drugi, że właściciel Andrewexu, bo to w sumie u niego wylądowali. I można by tę opowieść tak ciągnąć, gdyby nie pojechało się na miejsce. A tam po kosmitach ani śladu. A i z ich statku nie za wiele zostało. Konkretnie to obrali go jak rybę z mięsa. Zostały same podpory i drewniane wręgi, bo tak się składa, że projekt może jest

Fragment nowej
stacji polarnej
montowanej
w Cierpicach



nieziemski, ale DNA ma jak najbardziej ludzkie. A konkretnie polskie, bo w Cierpicach odbył się próbny montaż polskiej stacji badawczej, która stanąć ma na Antarktydzie. Nowy Arctowski, jak o niej mówią, to projekt z długą i skomplikowaną historią. Na szczęście wszystko wskazuje na to, że z happy endem.

Podbój

Antarktyda (nie mylić z Arktyką na Północy) to kontynent większy od Europy. Tyle że w Europie żyje prawie 750 mln ludzi, a na Antarktydzie nie ma stałych mieszkańców. Jest za to sporo lodu. Sporo to znaczy tyle, że jego grubość podaje się w kilometrach, a obszar w milionach kilometrów. To powoduje, że miejsce jest surowe i nieprzystępne. A przez pół roku właściwie całkiem nie do życia. Dlatego każdy, kto chce tam dłużej przetrwać, potrzebuje specjalnego wsparcia. I tak lądowanie UFO w Cierpicach łączy się z polską stacją antarktyczną, bo to właśnie w Andrewexie zbudowali nową stację, która ma dać polskim naukowcom nie tylko miejsce do pracy, ale też odrobinę komfortu, który wcześniej baza zapewniała w ilościach aptekarskich.

O tym, że Polska ma ambicje być na Antarktydzie, wiadomo już od lat 50. zeszłego wieku. Ale ciężko było te ambicje zaspokoić. O czym przekonali się ci, którzy kolonizowali pierwszy polski przyczółek na tamtym kontynencie. Pierwszy skrawek był wątpliwej polskości, bo dostaliśmy go w prezencie od ZSRR. Stację posadowiono w Oazie Bungera. Przy czym po słowie „oaza” nie należy sobie za wiele obiecywać. W warunkach antarktycznych oaza to takie miejsce, w którym nie ma lodu. Są za to skały i jeziora. Na jednym z tych jezior w 1947 r. wojskowym hydroplanem wylądował Amerykanin, komandor podporucznik David E. Bunger. I tak kawałeczek antarktycznej skały dorobił się swojej nazwy. Za Amerykanami poszli Rosjanie, którzy w 1956 r. postawili dwa baraki ze sklejek brzozy syberyjskiej impregnowane bakiem. A krótko po tym przekazali je Polakom, którzy ochrzczili je bazą imienia Antoniego B. Dobrowolskiego. Próba utrzymania tego przyczółku okazała się za dużym wyzwaniem dla tak małego kraju jak Polska. Na dodatek baza funkcjonowała w cieniu ZSRR, a cień ten stawał się coraz bardziej niewygodny. W 1979 r. baza została właściwie porzucona.

Polska już od niemal dwóch lat mościła sobie gniazdko w innym miejscu. Dokładnie po drugiej stronie kontynentu. Konkretnie na Wyspie Króla Jerzego. Oficjalna data otwarcia kolejnej w pełni polskiej stacji to 26 lutego 1977 r. Prof. Stanisław Rakusa-Suszczewski w rozmowie z Radiem Naukowym wspomina tamte wydarzenia tak: „Weszliśmy do Zatoki Admiralicji, bo wiedziałem, że tam miejsce musi być, bo to wynikało z angielskiej mapy. Wylądowaliśmy na brzegu i tu było największe moje szczęście. Mianowicie zobaczyłem, że z gór płynie potężny strumień słodkiej wody. To zdecydowało o wszystkim”. Patronem założonej wówczas stacji został Henryk Arctowski, pierwszy Polak, który postawił stopę na tym nieżyciowym kontynencie.

Pierwsze lata pracy na stacji Arctowski to była propozycja dla najtwardszych. Szybko okazało się, że przywiezione kontenery nie spełniają pokładanych w nich nadziei. Na miejscu trzeba było je właściwie jeszcze raz uszczelnić, a prowizoryczne efekty tego uszczelniania schować pod boazerią zrobioną z tego, co akurat techniczni mieli pod ręką. Główny budynek stacji ochrzczony został „samolotem”. Przy czym każdy tłumaczył to sobie inaczej. Prof. Rakusa-Suszczewski mówił, że nazwa wzięła się od charakterystycznego ułożenia kontenerów w kształcie litery T. ►

© MAREK SZAFRAŃSKI/PICTURE



Wizualizacje nowej stacji Arctowski. Wnętrze i widok całej bazy na Antarktydzie.

► Ci, którzy zasmakowali obecności na stacji, mówili, że przy silniejszym wietrze można było odnieść wrażenie, że stacja po prostu za chwilę odleci. A tak się składa, że silnych wiatrów w tamtej okolicy nie brakuje. Przy czym silne to takie wiejące z prędkością 200 km/h i szybciej, bo wieje tam właściwie cały czas.

Trudno się dziwić, że wymiana kontenerów była właściwie kwestią czasu. Tyle że czasy długo nie były łaskawe i w budżecie państwa ciągle nie było na to pieniędzy. Dopiero w obliczu groźby zamknięcia stacji w 1998 r. udało się wymienić część kontenerów, głównie te stanowiące część mieszkalną. Wymieniano, licząc każdą złotówkę. Skończyło się na tym, że na miejsce pojechały kontenery bez wentylacji. W myśl zasady „Polak potrafi” ludzie powiercili dziury w podłodze, które w złą pogodę zatykało się korkami. Były i inne mankamenty. Próbę czasu najgorzej przeszła izolacja. Pomiedzy ścianami zaczęło się gromadzić tyle wilgoci, że namoknięte maty zaczęły opadać. – *Po oględzinach jednej ze ścian okazało się, że zbita izolacja sięga do wysokości jednego metra, a dalej są już tylko gołe ściany* – mówi dr Dariusz Puczeko, koordynator do spraw logistyki polarnej z Instytutu Biochemii i Biofizyki Polskiej Akademii Nauk, któremu podlega stacja Arctowski.

Już w 2012 r. rozpoczęły się starania, żeby stację poddać poważnemu remontowi. A nawet śmiała koncepcja, żeby skończyć z kontenerami i dalszą prowizorką; pójść śladem najsilniejszych graczy, którzy na miejscu budują stacje w myśl zasady, że to wizytówki ich państwa. W amerykańskiej bazie Amundsena-Scotta jest hala sportowa z pełnowymiarowym boiskiem do kosza. W polskiej bazie można było co najwyżej popukać w ping-ponga.

Rozmach i styl podboju Antarktydy mają różne odcienie. Najbardziej swoją obecność na kontynencie postanowili podkreślać Rosjanie. W efekcie, przedzierając się przez lodowe pustkowia, należy się liczyć z tym, że pośrodku niczego można się natknąć na pomnik Lenina. Na całym kontynencie są trzy pomniki. Wódz rewolucji zawędrował jednak najdalej w głąb lądolodu. Z kolei Chińczycy, którzy do wyścigu dołączyli stosunkowo późno, postawili na najbardziej nowoczesną i futurystyczną stację. W tym wszystkim Polacy ze swoimi kilkoma kontenerami byli biednymi kuzynami antarktycznej społeczności. Trudno się dziwić, że naukowcy zaczęli grać na nucie narodowej dumy, żeby zmobilizować polityków do działania. Odwoływali się również

do rozsądku. – *Jakkolwiek byśmy liczyli koszty, to wychodziło nam, że najrozsądniej będzie zbudować stację właściwie od podstaw, niż bawić się w kosztowne remonty* – dodaje dr Puczeko. Podobnego zdania byli również architekci, dla których postawienie stacji antarktycznej było wyzwaniem wykraczającym poza zaprojektowanie kolejnego biurowca czy podziemnego garażu. Oni od początku mieli świadomość, że projektują właściwie polską ambasadę, a nie zwykłą stację polarną.

Stworzenie wstępnego projektu wzięło na siebie renomowane studio architektoniczne Kuryłowicz & Associates. – *Potraktowaliśmy to jako wyzwanie, a nie projekt biznesowy. Daliśmy naszym ludziom wolną rękę i wewnątrz firmy zrobiliśmy coś w stylu otwartego konkursu, w którym pracownicy sami podzielili się na zespoły i zaproponowali własne koncepcje* – opowiada Piotr Kuczyński, wiceprezes zarządu Kuryłowicz & Associates. Zwyciężył pomysł, o którym w wewnętrznym żargonie mówiono „rozwiązda”. Rozwiązanie, w którym trzy skośnie usytuowane skrzydła budynku spajała ze sobą centralna wspólna przestrzeń będąca zarazem jadalnią i miejscem spotkań. Ale też szklarnią, żeby dać naukowcom namiastkę świeżych warzyw, których na Antarktydzie nigdy nie było, bo to miejsce, gdzie świat jest w zasadzie ciągle w punkcie chwila po epoce lodowcowej. Szacuje się, że na całym kontynencie oprócz porostów, mchów i glonów występują dwa gatunki zielonych roślin kwiatowych – śmiełek antarktyczny (trawa) i kolobant, również antarktyczny.

Wyprawa

Bartosz Świniarski sprawia wrażenie człowieka, który o swojej wyprawie na Antarktydę mógłby mówić właściwie godzinami. Choć na miejscu spędził zaledwie kilkanaście dni, i to już lata temu. – *Kiedy tworzysz budynek, który ma przetrwać wiele lat w tak ekstremalnych warunkach, to analizujesz tony różnego rodzaju materiałów i zbierasz setki informacji. Ale żadne źródło nie jest tak dobre jak osobiste doświadczenie. Dlatego postanowiłem, że muszę tam dotrzeć i samemu zorientować się, na co trzeba szczególnie zwracać uwagę, projektując. Jadąc tam, nie miałem jednak świadomości, jak niezwykła będzie ta podróż i jak bardzo mnie naznaczy* – opowiada Świniarski. Sama podróż to już opowieść na książkę, bo w kwestii podboju Polska ciągle ma więcej ambicji niż możliwości.



Konkretnie w logistyce nie mamy żadnych możliwości, bo już lata temu straciliśmy flotę, która mogłaby przepłynąć te niemal 14 tys. km dzielące Polskę od jej bazy polarnej. W efekcie część podróży można odbyć regularnymi liniami lotniczymi. Ale później trzeba łapać okazje albo przemieszczać się po prośbie, licząc, że któryś z większych graczy użyczy miejsca na swoim statku albo w helikopterze. Pod tym względem biedny PRL miał więcej rozmachu. Na potrzeby stacji pracowały kiedyś dwa śmigłowce Mi-2. Jeden na zawsze utknął w Antarktydzie. Drugi jest eksponatem w Muzeum Badań Polarnych w Puławach.

Na miejscu Świniarski doświadczał zjawisk, których istnienia nie przypuszczał. – Zrozumiałem również, co mieli na myśli naukowcy, mówiąc o piaskowaniu elewacji przez niesione podmuchami wiatru drobinki skał i piasku. Nie podejrzewałem, jaką to ma niszczycielską moc. Stąd pomysł, żeby budynek miał konstrukcję drewnianą, ale z wierzchu wzmocnioną metalowymi blachami – opowiada architekt. Bez wizyty na miejscu nigdy by się również nie dowiedział, jak potwornie potrafią śmierdzieć pingwiny i słonie morskie, na co także należy zwrócić uwagę, projektując stację, jej system wentylacji i wymiany powietrza. – Antarktyda kojarzyła mi się z lodem i mrozem. A na miejscu przekonałem się, że i tam dotarło ocieplenie. Lodowiec wokół stacji ustępuje. To nie zimno, ale wilgotność powietrza i siła wiatru będą największym wyzwaniem dla naszego projektu – dodaje.

Lego

Od pierwszego szkicu do ostatecznego projektu droga była długa i kręta. Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego dopiero za trzecim razem dało się przekonać, że warto wyłożyć niemal 90 mln zł, aby właściwie od podstaw odtworzyć Arctowskiego. Później wizje architektów trzeba było przełożyć na konkretne rozwiązania. Tym zajęli się specjaliści z firmy Demiurg Project S.A. – To nie był łatwy do zaprojektowania budynek. W zasadzie każdy jego element był unikatowym rozwiązaniem – mówi Hubert Maciejewski, główny konstruktor z Demiurga. Tym bardziej że zaprojektować trzeba było coś, co najpierw trzeba było zbudować, a później złożyć do pudełka, znowu rozpakować i rozłożyć na miejscu. Trochę jak domek z Lego. – Chodziło o to, żeby wyprodukowane w Polsce elementy dało się łatwo przewieźć w ładowni statku i jeszcze

łatwiej złożyć, bo na miejscu jest zaledwie dwumiesięczne okienko na to, żeby wyładować materiały i zbudować z nich stację – mówi dr Puczek, który od kilku lat jest mózgiem tego projektu.

Modułowa konstrukcja dotyczyła także funkcji budynku. – Stacja latem rozkwita i ma pełną obsadę. Zimą mieszkańców, czyli zimowników, jest znacznie mniej. Stąd możliwość wyłączenia części przestrzeni tak, żeby nie tracić energii i ciepła – opowiada Maciejewski. Przez niemal 50 lat funkcjonowania polarników w stacji Arctowski zmieniło się właściwie wszystko. W pierwszym roku funkcjonowania ścieki wylwane były wprost do morza. – Dziś to surowo zakazane. Ścieki w naszej stacji muszą być w obiegu zamkniętym. Podobnie jak szklarnia. Ze względu na zakaz zasiedlania kontynentu obcą roślinnością, nic z niej nie może wydostać się na zewnątrz – dodaje Hubert Maciejewski.

Z tych wszystkich powodów w Andrewexie, który zajmuje się prefabrykacją elementów stacji, postanowili wybudować jeden z jej modułów, żeby przekonać się, czy wszystko pasuje i nie ma jakichś błędów. Na miejscu nie będzie już żadnej szansy na poprawki. – Po nocach przez ten projekt nie spałem. Ale nie żałuję, bo sam nie wiem, czy kiedyś trafi mi się jeszcze takie ciekawe wyzwanie – mówi Piotr Brodniewicz, dyrektor wydziału projektowania, badań i rozwoju w Andrewex Construction. To wszystko, co miesiącami obrabiał w komputerze, na miejscu musiało idealnie do siebie pasować.

Na placu najpierw ustawiono podpory. Do nich zaczął się montaż belek i konstrukcji stelaża. Później całość okładać zaczęto panelami wierzchnimi. Chyba dopiero wtedy ludzie zaczęli sobie uświadamiać, w jak wielkim i wspaniałym projekcie brali udział. – Po minach naszych robotników widziałem, że zrobiliśmy coś naprawdę fajnego – dodaje Brodniewicz. Ludzie stali i podziwiali w milczeniu. Robili sobie zdjęcia.

A później pokazywali pod sklepem i mówili, że UFO u nich wylądowało. I może nie kłamali, bo to w sumie kosmiczna historia. Z takim happy endem, że rząd w zeszłym roku przekazał na ten cel dodatkowe 43 mln zł. W 2027 r. stacja ma być już gotowa i w pełni funkcjonować. I w ten sposób, dzięki trzyletniemu pośliszgowi w projekcie, otwarcie odbędzie się dokładnie w 50. rocznicę otwarcia Arctowskiego.

JULIUSZ CŹWIELUCH

Apacze dla bogaczy



MAREK ŚWIERCZYŃSKI

Wzmacniamy armię o kolejny amerykański symbol, śmigłowce Apacz.
Pierwsze wypożyczone egzemplarze właśnie zaczynają lądować w Polsce.
Tylko po co?



Apacze polują parami lub w niewielkich grupach. Nisko przy ziemi, pełzną niemal na pozycje bojowe – tam, gdzie ich zwiad wypatrzył cel do natychmiastowego zniszczenia. Wypady robią za linię frontu, ale to nie tylko odwaga plemienia wojowników. Zwane „latającymi czołgami” śmigłowce AH-64 to maszyny mające onieśmielać i łamać opór. Mają opancerzenie, system wszelkich czujników ostrzegawczych i zdolności mylenia rakiet przeciwnika. A w kołczanach – imponujący zestaw strzał: 16 rakiet przeciwczołgowych lub 76 zdolnych do zniszczenia na przykład ciężarówkę czy pojazdu opancerzonego.

Gdy ćwiczą na poligonach, na początku niewiele widać. Najpierw słysząc – narastający szum wirników. Potem nad linią drzew pojawia się charakterystyczny talerz, mieszczący radar kierowania ogniem. Wystarczy kilka sekund skanowania przestrzeni, a potem wszystko dzieje się bardzo szybko. Śmigłowce w zawisie odpalają rakiety i znikają za lasem. A to wszystko 8, a nawet 12 km od celu, zatem tylko w zasięgu elektronicznych czujników na nosie śmigłowca, które przenoszą obraz bezpośrednio do operatora uzbrojenia.

Nowa wersja Apaczów, kupiona przez Polskę, współpracuje z dronami i wymienia informacje z samolotami F-35 i wyrzutniami rakiet HIMARS. Podobnie jak myśliwiec nowej generacji, ten śmigłowiec ma być latającą stacją wykrywająco-przekaznikową, węzłem systemu rozpoznawczo-uderzeniowego. Polska tworzy go wedle amerykańskiego wzoru i głównie z amerykańskich części.

Firma Boeing i rząd USA zabiegały o sprzedaż tych śmigłowców bojowych od 20 lat. Rekordowy kontrakt o wartości ponad 10 mld dol., negocjowany przez PiS, podpisał już rząd Donalda Tuska – jako wyraz przywiązania do Ameryki i kontynuacji w zbrojeniach. „Wujek Sam”, za kolejne setki milionów, do czasu dostawy nowych zgodził się wypożyczyć maszyny używane – do nauki obsługi, szkolenia i wypracowania doktryny użycia.

Dzięki temu 16 czerwca, czyli już po zamknięciu tego numeru POLITYKI, Polska miała przywitać swoich pierwszych Indian (w polskiej nomenklaturze zakup śmigłowców bojowych nosił nazwę Kruk).

Amerykańskie śmigłowce wojsk lądowych noszą imiona rdzennych plemion Nowego Świata od połowy ubiegłego wieku. Na ten pomysł wpadł gen. Hamilton Howze, odpowiedzialny za wprowadzanie zupełnie nowego rodzaju statków powietrznych, które nie zdążyły na drugą wojnę światową, ale już pięć lat później były jednym z symboli wojny koreańskiej, a potem wietnamskiej.

Gdy firma Sikorsky dostarczyła pierwszy seryjny śmigłowiec R-4, który nosił nazwę Hoverfly (bzyg, gatunek muchówki), generał Howze uznał, że sprzęt bojowy zasługuje na coś bardziej agresywnego. I jedną z następnych maszyn nazwał na cześć wojowniczych Siuksów, którzy nieraz dali się we znaki armii USA. Śmigłowiec Bell H-13 Sioux do dziś zadziwia prostą kratownicową konstrukcją i szklanym bąblem kabiny. Od tej pory indiańskie nazwy zadołowały się w US Army, choć siły powietrzne i marynarka wojenna nazywają śmigłowce po swojemu, liczbami, literami i markami producentów, czasem od nazwisk wielkich konstruktorów. Wielu z nich było imigrantami, jak choćby Sikorsky (z Rosji).

Po fuzjach i przejęciach Apacz jest dziś w rodzinie Boeinga; tam jest również oferowany Polsce dwuwirnikowy transportowy Chinook, też o indiańskim imieniu. Wcześniejsze i następne modele: Cheyenne, Kiowa, Lakota, Comanche potwierdzały „plemienność”. Produkowany też w Polsce (PZL-Mielec) Black Hawk to hołd dla wybitnego wodza Sauków.

Wybór Apaczów potwierdza polskie przywiązanie do koncepcji wojny powietrzno-lądowej, opracowanej w USA w latach 80. na potrzeby europejskiego teatru działań. Zakup czołgów Abrams, wyrzutni rakiet HIMARS, systemów antyrakietowych Patriot, dokonany za rządów prawicy, niemal odtwarza „wielką piątkę”, czyli zestaw sprzętu mający gwarantować USA i NATO zwycięstwo nad przeważającymi liczebnie siłami Sowietów. ►

► Śmigłowce bojowe długo były brakującą częścią, bo program ich zakupu włókł się niemiłosiernie. Polska nie kupiła też amerykańskich wozów bojowych Bradley, a zdecydowała się na własnego Borsuka. Problem w tym, że reguły walki powietrzno-łądowej sprzed 40 lat właśnie przechodzą do historii.

Wszystko zaczęło się zmieniać już w 2020 r., podczas krótkiej wojny armeńsko-azerbejdżańskiej o Górski Karabach – uzbrojone drony zdziesiątkowały tam ciężkie wozy. MON przyjął to do wiadomości i szybko zdecydował się na tureckie bezzałogowce TB2 Bayraktar. Ale już w wojnie rosyjsko-ukraińskiej, opiewane początkowo w piosenkach Bayraktary, szybko okazały się mało przydatne.



Wybór Apaczów potwierdza polskie przywiązanie do koncepcji wojny powietrzno-łądowej, opracowanej w USA w latach 80. Problem w tym, że właśnie przechodzi ona do historii.

Śmigłowce bojowe też miały tam pod górkę. Na starcie wojny odegrały rolę głównie jako latająca artyleria, ale z czasem okazały się łatwymi celami dla przenośnych pocisków przeciwlotniczych (jak polskie Pioruny i amerykańskie Stingery), a obecnie nawet drony FPV. W akcjach bojowych, głównie na południowym froncie, Rosja utraciła w ukraińskich atakach kilkadziesiąt najdroższych i najcenniejszych Mi-28 i Ka-52.

W Polsce, po latach pytań „dlaczego nie kupujemy nowych śmigłowców bojowych”, dyskusja zesła na to, dlaczego w ogóle mielibyśmy kupować śmigłowce bojowe, a szczególnie tak drogie jak Apacze. Rząd PiS na takie pytania nie odpowiadał, zasłaniając się względami bezpieczeństwa i tajnymi potrzebami wojska. Ale następny rząd też nie wyjaśnił, dlaczego i do czego Polsce potrzebna jest największa flota Apaczów poza USA, dwa razy większa niż kolejna w Europie.

Paradoksalnie, całkiem niedawno okazało się, że Amerykanie chcą o połowę ściąć liczbę Apaczów w brygadach lotniczych armii, bo da się zastąpić je dronami i oszczędzić na kosztach obsługi. Komentarza MON ani władz wojskowych w zasadzie nie było.

Gdy rząd Tuska był jeszcze opozycją, śmieiej kwestionował obronne zamówienia PiS. Również w kontekście Apaczów pojawiały się pytania „dlaczego tak dużo?”. Publicznej odpowiedzi

nie było. Znow władze zasłaniały się niejawnością planów i struktur. W domyśle: zamówionych 96 sztuk to liczba pasująca do czterech „frontowych” dywizji wojsk lądowych, które miałyby otrzymać po brygadzie lotnictwa wedle amerykańskiego sznytu, a więc z 24 Apaczami każda. Tylko że tych brygad też nie można się doszukać w zapowiedziach – być może pozostają tajne.

Od nowego rządu oczekiwano zatem „urealnienia” zamówienia na Apacze, ale nic takiego się nie stało. A zmiana podejścia jest możliwa, co pokazuje inna niedawna umowa zbrojeniowa. W maju Agencja Uzbrojenia MON zrezygnowała z zakupu 32 śmigłowców S70i Black Hawk z PZL-Mielec, wywołując zarzuty o „kasowanie kontraktów”, ale tłumacząc się zmianą priorytetów i potrzeb, w których na czele są teraz śmigłowce szkolne, pokładowe i ciężkie transportowe. Z tego ostatniego Boeing cieszy się jeszcze bardziej, bo choć Polska nie kupi kilkudziesięciu Chinooków, to „na sztukę” mogą być jeszcze droższe od Apaczów.

Śmigłowiec bojowy taki jak Apacz kosztuje mniej więcej tyle, ile wielozadaniowy samolot myśliwski – zarówno w zakupie, jak i w utrzymaniu. Dlatego polska ambicja posiadania 96 maszyn tego typu jest pod względem wydatków porównywalna z zakupem w 2003 r. 48 samolotów F-16 za ówczesne 3,5 mld dol. i w 2020 r. 32 egzemplarzy F-35 za 4,6 mld. Gdyby dzielić „na sztuki” polski kontrakt, to okaże się, że polski Apacz kosztuje wraz z towarzyszącymi pakietami wsparcia ponad 104 mln dol. – więcej niż myśliwiec czwartej, a nawet piątej generacji.

Takie wyliczenia nie mają jednak większego sensu, gdy do całego rachunku dolicza się udział przemysłu w produkcji płatowca, jego komponentów, systemów czy – zawsze najkosztowniejszego – uzbrojenia. Wtedy polskie fabryki mają kontrakty, ludzie – pracę, państwo – podatki. A w sumie rośnie nasze PKB, którego 5 proc. z dumą wydajemy na wojsko i zbrojenia.

Problem w tym, że polskie firmy w produkcji Apaczów nie odegrają żadnej roli. Pozyskać mają jedynie konieczne zdolności do obsługi, utrzymania, przeglądów i remontów nowego typu śmigłowca. Choć podpisano stosowne umowy offsetowe, na razie na terenie wskazanych do obsługi śmigłowców Apacz Łódzkich Wojskowych Zakładów Lotniczych nr 1 wieje wiatr i straszą puste hale. Amerykańscy offsetodawcy zajęli jednak biura i wszystko przygotowują.

Boeing – obecny od 30 lat w cywilnej aerosferze Polski – zapewnia, że Apacze to jego główny cel i kluczowe zobowiązanie. Starają się też współdostawcy silników i awioniki – odpowiednio General Electric Aerospace i Lockheed Martin. Co ważne w kontekście Apaczów, każdy śmigłowiec ma dwa silniki podobne do tych we wciąż nielicznych Black Hawkach i coraz bardziej rozpowszechnionych śmigłowcach AW101 i AW149. W sumie daje to ok. 300 silników do utrzymania i remontu, co sprawdziło do Polski nowego amerykańskiego gracza GE Aerospace.

Kłopot w tym, że dla ponad 300 silników Polska ma jeden jedyny i dość zapuszczony zakład w Dęblinie, który w dodatku dostał „w prezencie” remont podobnych do śmigłowcowych turbin z czołgów Abrams, w liczbie 400. Inżynierowie i technicy mogą tylko zacierać ręce – w Dęblinie i Łodzi będzie wkrótce mnóstwo niezłe płatnej roboty. Nas podatników będzie to słono kosztować. Pytanie, czy widok polskich Apaczów przelatujących nisko nad warszawską Wisłostradą podczas defilady nam to wynagrodzi?

MAREK ŚWIERCZYŃSKI



ILUSTRACJA PATRYK SROCZYŃSKI

Maksymalne minimum

Najpierw Ministerstwo Rodziny zapewniało, że w przyszłym roku wysokość płacy minimalnej przebieje pułap 5 tys. zł. Potem Ministerstwo Finansów oświadczyło, że wyniesie 4806 zł brutto, czyli wzrośnie o 3 proc., a teraz poparła je Rada Ministrów. Problem wizerunkowy ma teraz cały rząd koalicji 15 października, niejako na własne życzenie.

JOANNA SOLSKA

Teoria jest taka, że o wysokości najniższego wynagrodzenia powinna decydować Rada Dialogu Społecznego, składająca się z przedstawicieli wszystkich zainteresowanych stron: związków zawodowych, organizacji pracodawców oraz rządu. Zgodnie z ustawą wzrost płacy minimalnej nie może być niższy niż tempo wzrostu cen w budżecie na 2026 r.

prognozowane na 3 proc. Kwota proponowana przez MF ten warunek spełnia. Obiecywana przez Ministerstwo Rodziny rosłaby o 7,6 proc., czyli przebijalaby wcześniej prognozowany wzrost cen dwukrotnie. Bardzo hojnie.

Nigdy wcześniej stanowiska dwóch resortów w tym samym rządzie nie różniły się od siebie. – *Zamiast dialogu mamy polityczny przetarg* – ubolewa prof. Jacek

Męcina z UW, reprezentujący w RDS Konfederację Lewiatan. Na stole leżą propozycje związków zawodowych, OPZZ oraz Solidarność wspólnie zażądały, aby obecna minimalna, wynosząca 4666 zł brutto (czyli 3510,92 zł na rękę) wzrosła do 5015 zł (3774 zł netto), bo inflacja wprawdzie szybko spada, ale koszty życia nadal są wysokie. Pracodawcy zrzeszeni w Radzie Dialogu Społecznego także zachowali ►

► się przewidywalnie. Twierdzą, że uzasadniony ekonomicznie byłby wzrost nie wyższy niż o 50 zł.

A co na to rząd? Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, ministra pracy, już przed rokiem zapowiadała, że celem jej resortu jest, aby najniższa płaca wyniosła aż 60 proc. przeciętnego wynagrodzenia, tyle ile w Grecji. Obecnie przekroczyła 52 proc. Po wyborach zastępca ministery publicznie zadeklarował, że w przyszłym roku minimalna wyniesie 5020 zł brutto, czyli więcej nawet niż oczekiwały związki. Ta informacja jednych ucieszyła, ale innych przerażała.

Szybko i bez trzymanki

Tempo wzrostu najniższych zarobków w ostatnich 10 latach jest w Polsce imponujące, przekracza wzrost średniej płacy: w 2015 r. było to 1750 zł brutto, a w 2025 r. – już 4666 zł; wzrost ponaddwukrotny. Dr Piotr Maszczyk z SGH w Warszawie uważa, że przed 10 laty wyższe płace nam się po prostu należały. Przedsiębiorstwa, uderzone w 2009 r. światowym kryzysem finansowym, płaciły pracownikom jak najniższe stawki, tworzyły sobie coś w rodzaju poduszki finansowej na ciężkie czasy. Zarobki zastygły. Potem do gry wkroczyła polityka.

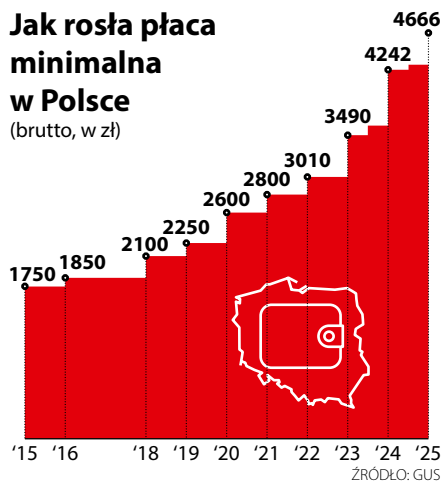
Rząd PiS w każdej z kolejnych kampanii wyborczych deklarował podwyższenie płacy minimalnej. Tylko w latach 2019–21 wzrosła ona o jedną czwartą. Potem dołożyła się inflacja. Lecz wysokie tempo wzrostu wszystkich płac było nie tylko wynikiem szybko rosnących cen, ale także ich przyczyną, dodatkowo nakręcając inflację. Przerabialiśmy to w okresie transformacji, gdy hiperinflację jeszcze bardziej podbiły słynne „wałęsówki”.

Kraje o podobnym do Polski PKB na głowę mieszkańca ustawiają poprzeczkę najniższych wynagrodzeń znacznie niżej w stosunku do przeciętnych zarobków. Teoria, że szybkie tempo wzrostu płacy minimalnej zwiększa ogólny dobrobyt i podnosi poziom życia, słabo się broni. Spójrzmy, co się przez lata działo w Polsce.

Powinno być tak, że kiedy rośnie płaca minimalna, wraz z nią proporcjonalnie rosną wynagrodzenia od niej wyższe, uzasadnione wyższym wykształceniem, kwalifikacjami. U nas od kilku lat dzieje się coś odwrotnego – wraz z szybkim wzrostem płacy minimalnej rośnie grono osób, których zarobki, kiedyś od niej wyższe, teraz spadły do poziomu najniższych.

Jak rosła płaca minimalna w Polsce

(brutto, w zł)



ZRÓDŁO: GUS

Pracodawcy podnoszą płace tylko tym, którym muszą.

Jeszcze w 2015 r. grupa najgorzej opłacanych osób szacowana była na 1,36 mln osób, w 2021 r. wzrosła do 1,6 mln osób, obecnie Ministerstwo Rodziny oblicza ją na 3,1 mln, ale specjaliści od rynku pracy twierdzą, że to liczba mocno niedoszacowana. Nie ma dokładnych danych o zarobkach w najmniejszych firmach rodzinnych, zatrudniających nie więcej niż dziewięć osób, w których płaca minimalna jest powszechna. To dlatego jej wzrostem przerażony jest zarówno Związek Rzemiosła Polskiego, jak i rzecznik małych i średnich przedsiębiorstw. Wiele mniejszych firm taka wymuszona prawem podwyżka zdmuchnie z rynku albo wepchnie do szarej strefy.

Gdyby nawet liczba 3,1 mln osób była prawdziwa, to jest się czym martwić. – Już prawie co trzeci pracownik, zatrudniony na etacie, zarabia tylko minimalną – zwraca uwagę Michał Myck, szef CenEA (Centrum Ekonomicznych Analiz). To może być sygnał, że pracodawców na podwyżki dla wszystkich po prostu nie stać. Należy się zastanowić, czy tempo wzrostu płacy minimalnej, mocno motywowane politycznie, nie jest już zbyt szybkie jak na możliwości pracodawców.

W budżetówce rośnie wściekłość

Gdyby minimalna wzrosła bardziej niż dwukrotność tempa wzrostu inflacji, to zdaniem Aleksandry Majchrowskiej, profesorki Uniwersytetu Łódzkiego, więcej osób byłoby wściekłych niż zadowolonych.

Na pensjach niewiele wyższych od minimalnej najwięcej jest pracowników sfery budżetowej, od stycznia 2026 r. wielu

z nich spadłoby na najniższy szczebel drabiny zarobków. To młodzi pracownicy nauki, nauczyciele, ale także opiekunowie trudnych rodzin z ośrodków pomocy społecznej, biurowi pracownicy sądów, kuratorów sądowych i wielu innych. Ich zajęcie często wymaga ukończenia studiów, doświadczenia i innych kompetencji, których nie muszą mieć wykonujący zajęcia najprostsze. Mimo znacznych podwyżek płac, jakie otrzymała budżetówka od obecnego rządu, relacja zarobków w stosunku do płac osób niewykwalifikowanych staje się coraz gorsza. A jest to armia liczniejsza niż grupa prawdziwych beneficjentów wzrostu minimalnej.

Z badań Sebastiana Zalasza z GRAPE (Group for Research in Applied Economics) obejmujących prawie cały okres po transformacji wynika, że zarobki w sferze budżetowej, czyli tam gdzie pracodawcą jest państwo, ciągle rosną dużo wolniej niż wynagrodzenia w przedsiębiorstwach. Wzrost płacy minimalnej, szybszy od wzrostu płac w sferze budżetowej, dewastuje państwo, społecznie degraduje jego funkcjonariuszy. Propozycja rządu, aby w 2026 r. płaca minimalna rosła w tym samym tempie, co płace sfery budżetowej, czyli o 3 proc., przynajmniej sytuacji nie pogarsza. Jeśli utrzyma się propozycja MF, aby przyhamować narzucony firmom wzrost płac, rozhula się opozycja. Społeczeństwo protestuje przeciwko wyższemu podatkowi i drożyznie, żądając jednocześnie wysokich transferów społecznych. Prawdziwa polityczna pułapka.

Tracimy konkurencyjność

Odkąd GUS podaje nie tylko wysokość średniej płacy, ale także medianę, czyli wysokość zarobków osiąganych przez połowę pracujących, obraz tego, co dzieje się w gospodarce, stał się bardziej czytelny. Z październikowych danych wynika, że aż 63 proc. zarabiających poniżej mediany osiąga zaledwie płacę minimalną. – Wynagrodzenia się spłaszczają, ale tylko w tej dolnej części drabiny zarobków – konkluduje Michał Myck. Zanika motywacja do zdobywania nowych kompetencji.

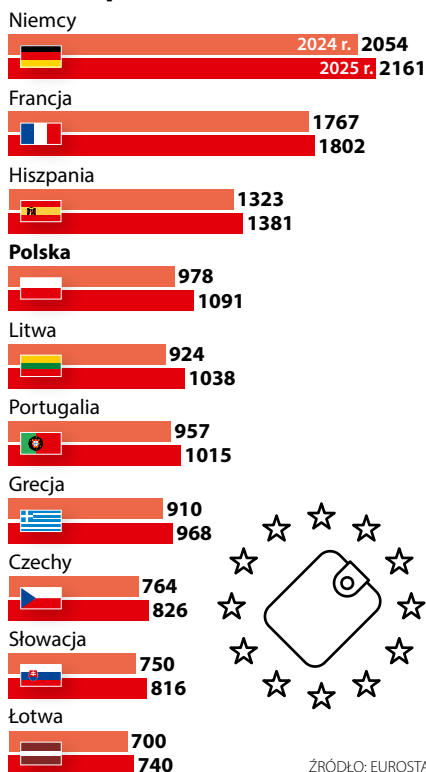
Aleksandra Majchrowska podkreśla, że bardzo zmalała finansowa premia za wykształcenie, co powoduje, że mniej Polaków studiuje. Z dyplomem magistra osiąga się obecnie przeciętnie zarobki ledwie o połowę wyższe niż bez wykształcenia. Wspólnie z prof. Pawłem Strawińskim z UW przeanalizowali listopadowe

dane GUS o zarobkach i wynika z nich, że aż 70 proc. pracujących Polaków zarabia nie więcej niż dwukrotność minimalnej. Jednocześnie nie przybywa dobrze płatnych miejsc pracy.

Polska przestaje być dobrym miejscem dla inwestycji zagranicznych. Szybko rosnące koszty pracy w naszym kraju stały się największą barierą rozwoju firm dużych i średnich. Twierdzi tak aż 86 proc. przedsiębiorców w raporcie Grant Thornton, którego autorzy analizowali sytuację w 32 krajach. U nas te koszty rosną najszybciej. Dla 83 proc. pytanym drugą barierą są wysokie koszty energii, a dla 50 proc. coraz bardziej odczuwalny brak wykwalifikowanych pracowników. Konkurencyjność Polski maleje, a firmy, zwłaszcza zagraniczne, ograniczają u nas działalność.

Wystarczy spojrzeć na dane Eurostatu pokazujące wzrost płacy minimalnej w Europie wyrażony w euro, inwestorzy zagraniczni nie liczą przecież w złotych. Spośród krajów naszego regionu w Polsce rośnie ona najszybciej – w tym roku wynosi 1091 euro (rok wcześniej 978), a w takiej Grecji na przykład 968 euro (rok wcześniej 910). Zapowiedzi kolejnego wzrostu odstrasza tych, którzy jeszcze nie podjęli decyzji.

Wysokość płacy minimalnej w Europie (płace brutto, w euro)



ŹRÓDŁO: EUROSTAT

Z wypowiedzi polityków wynika, że szybkie tempo wzrostu płacy minimalnej ma zmusić właścicieli firm, żeby wszystkim pracownikom płacili coraz lepiej. Bo mają takie rezerwy. Według United Nations Economic Commission for Europe w Polsce udział płac w produkcie krajowym brutto (dane za 2024 r.) wynosi 49,2 proc. We Francji 60,1, w Niemczech 61 proc., w Portugalii 57,1, Czechach 54,9 i tylko na Węgrzech jest gorzej – 46,1 proc. Rekordzistką jest Szwajcaria, w której udział płac w produkcie narodowym jest najwyższy – 70,6 proc. Taka interpretacja danych jest niestety błędna.

Skąd się bierze dobrobyt?

Dobrobytu kraju nie można zadekretować długopisem, nie zależy od wysokości najniższej płacy. Są kraje, w których rząd w ogóle nie decyduje o jej wysokości. Do niedawna były nim Niemcy. O zarobkach decydowały układy zbiorowe, państwo zaczęło ingerować dopiero od 2015 r., gdy udział pracowników nieobjętych układami przekroczył połowę. Do tej pory minimalnej płacy nie ma np. Szwecja czy Włochy. No tak, ale w Niemczech obecnie płaca minimalna wynosi aż 2161 euro, dwa razy więcej niż u nas. Czy fryzjer po niemieckiej stronie Odry jest bardziej wydajny od polskiego? Szybciej strzyże? A jednak zarabia dużo więcej. Bo tylko wtedy, gdy w gospodarce dużo jest miejsc pracy, świetnie opłacanych, lepiej zarabiać mogą także pozostali, operujący tylko na rynku krajowym.

– Źródłem dobrobytu społeczeństwa jest liczba wysokojakościowych firm – wyjaśnia dr Piotr Maszczyk. Najlepsze mają przedsiębiorstwa mające duży eksport towarów z ich własnym logo. Takich niemieckich marek globalnych każdy z nas potrafi wymienić wiele: Mercedes, Bosch, Lidl. Dużo globalnych marek ma Francja, żyje z nich Szwajcaria. Nawet gdy przenosiły one produkcję do krajów, w których są niskie koszty pracy prostej, to ich działu rozwoju, a więc miejsca pracy opłacane najwyżej, pozostawały w kraju. Ile takich marek mamy w Polsce? Fakro, Wielton, lista jest krótka, będziemy bogatsi, gdy się wydłuży. Dekretowanie dobrobytu przez polityków jest gospodarczym nonsensem.

Zamiast ścigać się, która partia da wyborcom więcej, nasi politycy powinni poprosić ekspertów o kilka lekcji ekonomii dla początkujących.

JOANNA SOLSKA

Pełna wrażeń
wyprawa na koniec świata

NOWA ZELANDIA

Wyjazdy od listopada do marca



- ✦ Niesamowite wybrzeża Morza Tasmana
- ✦ Zjawiska geotermalne i gejzery
- ✦ Trekking w Parku Narodowym Tongariro
- ✦ Auckland - miasto żagli
- ✦ Wędrówki w Alpach Południowych
- ✦ Rejs po fiordzie Milford Sound
- ✦ Górskie jeziora Waikaitipu i Wanaka
- ✦ Bajeczny półwysep Banksa
- ✦ Podróż widokową koleją Coastal Pacific

SZEROKIE
TORY
BIURO PODRÓŻY

REZERWACJE

+48 696 989 985

szerokeitory.pl

SPRAWDŹ
SZCZEGÓŁY



Nowa formuła, nowi liderzy ESG

Co roku od 14 lat ponad 100 firm decyduje się wziąć udział w zestawieniu

Listków ESG POLITYKI i zaważyć o Złote, Srebrne lub Zielone Listki.

Tegoroczna edycja była rokiem ewolucji. Przede wszystkim zmienił się partner konkursu, którym została firma doradcza EY, zmieniła się także sama formuła zestawienia. W konsekwencji 54 firmy do końca wypełniły ankiety, a 11 z nich otrzymało wyróżnienia.

Dzięki zestawieniu Listków ESG POLITYKI chcieliśmy, aby wyróżnione zostały firmy, które najlepiej i w najbardziej kompleksowy sposób zarządzają kwestiami ESG, a nie tylko podejmują działania w wybranych obszarach zrównoważonego rozwoju. Zależało nam także na jak najwyższej obiektywności, rzetelności i wiarygodności konkursu. Dlatego też przyjęta została formuła, w której wszystkie pytania były pytaniami zamkniętymi, a dla każdej odpowiedzi twierdzącej wymagane było jej potwierdzenie i udokumentowanie.

Dla uczestników tegorocznego zestawienia stanowiło to bardzo duże wyzwanie. Z ponad 100 organizacji, które przymierzały się do wypełnienia ankiety online, 54 podjęły się trudu wypełnienia kwestionariusza do końca, biorąc oficjalnie udział w XIV edycji Listków ESG POLITYKI.

Kompletność oraz wpływ jako podstawa zarządzania ESG

Dlaczego tak się stało? Podstawą skutecznego zarządzania zrównoważonym rozwojem jest głębokie zrozumienie wpływu działalności organizacji na kwestie środowiskowe i społeczne. Obejmuje to nie tylko analizę oddziaływania na pracowników, klientów i społeczność lokalną, ale także dbałość o odporność biznesu w obliczu zmieniających się warunków rynkowych. Kluczowe jest identyfikowanie ryzyk oraz wykorzystywanie szans, które kryją się za wyzwaniami zrównoważonego rozwoju. To podejście powinno stać się podstawową praktyką i pierwszym

krokiem do integracji zrównoważonego rozwoju w strategii zarządzania każdej instytucji, niezależnie od tego, czy ma ona obowiązek raportowania, czy nie. Tylko poprzez świadome podejście do tych kwestii firmy mogą nie tylko zminimalizować negatywne skutki swojej działalności, ale także przyczynić się do pozytywnych zmian w otoczeniu, w którym funkcjonują.

Niezbędne też jest zrozumienie, że odpowiedzialność nie może być ograniczona do jednego obszaru: środowiskowego, zarządczego lub społecznego. Zrównoważony rozwój opiera się na kompleksowym zarządzaniu, uwzględniającym różnorodne aspekty działalności przedsiębiorstwa. Firmy, które dążą do osiągnięcia celów ESG, muszą integrować działania w zakresie ochrony środowiska (E), odpowiedzialności społecznej (S) oraz ładu korporacyjnego (G) w spójną strategię umocowaną na najwyższym szczeblu organizacji. Tylko w ten sposób mogą skutecznie reagować na wyzwania współczesnego świata, takie jak zmiany klimatyczne, nierówności społeczne czy potrzeba większej transparentności. Właściwe podejście do zrównoważonego rozwoju wymaga od liderów ESG myślenia systemowego i podejmowania decyzji, które uwzględniają ich długofalowe konsekwencje dla wszystkich interesariuszy.

Nowe wymogi zestawienia

W tym roku, aby uhonorować uczestników zestawienia Złotymi i Srebrnymi Listkami ESG POLITYKI, zweryfikowaliśmy ich działalność w ramach czterech głównych kategorii: zarządzanie

wpływem, ryzykami i szansami, model biznesowy i strategia ESG, ładu korporacyjnego, monitoring i kontrola.

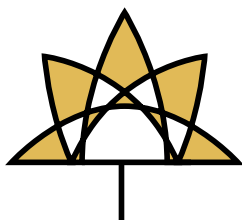
Nagrodami dodatkowymi wyróżniliśmy wszystkie organizacje, które osiągnęły najwyższy wynik (lub wyniki ex aequo) w każdej z czterech głównych kategorii.

Uczestnicy, którzy wyrazili chęć uczestnictwa w rywalizacji o Zielony Listek ESG POLITYKI, zostali ocenieni w zakresie zarządzania swoim wpływem na środowisko naturalne.

Treści pytań w ankiecie online zostały oparte w dużym zakresie na Europejskich Standardach Raportowania Zrównoważonego Rozwoju (ESRS). Oceny przyznawane były na podstawie weryfikacji zadeklarowanych w kwestionariuszach odpowiedzi oraz załączonych materiałów dokumentujących te deklaracje.

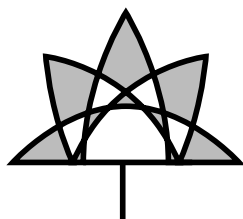
W tegorocznej edycji wyróżnienia zdobyło łącznie 11 firm – część z nich otrzymała więcej niż jedno. Dla przykładu firma Solaris Bus & Coach została uhonorowana trzema nagrodami w różnych kategoriach, Saica Pack Wrocław – w dwóch kategoriach. Złoty Listek ESG POLITYKI trafił do pięciu laureatów. Taka sama liczba uczestników zestawienia otrzymała Listek Srebrny, a trzy firmy zdobyły Zielony. Dodatkowe wyróżnienie w ramach jednej z czterech nowych kategorii: Lider Zarządzania ESG, Lider strategii ESG, Lider ładu korporacyjnego, Lider rzetelności i zarządzania danymi ESG, przyznaliśmy sześciu firmom.

W tegorocznej edycji Listków ESG POLITYKI postawiliśmy przede wszystkim na zarządzanie aspektami



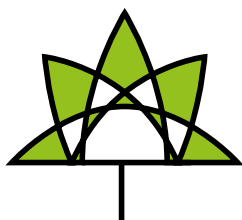
Złote Listki ESG POLITYKI 2025

- **Energa SA**
- **ING Bank Śląski SA**
- **Lidl Polska**
- **Santander Bank Polska SA**
- **Solaris Bus & Coach sp. z o.o.**



Srebrne Listki ESG POLITYKI 2025

- **Kompania Piwowarska**
- **Kuehne+Nagel sp. z o.o.**
- **mBank SA**
- **Nest Bank SA**
- **Saica Pack Wrocław sp. z o.o.**



Zielone Listki ESG POLITYKI 2025

- **ING Bank Śląski SA**
- **Saica Pack Wrocław sp. z o.o.**
- **Solaris Bus & Coach sp. z o.o.**

zrównoważonego rozwoju. Dlatego też kategorie pytań odnosiły się do poszczególnych obszarów zarządzania i raportowania kwestii ESG. Aby otrzymać Złoty Listek ESG POLITYKI, firma musiała uzyskać minimum 70 proc. wszystkich możliwych punktów w kategoriach 1-4. W przypadku Srebrnych Listków ESG POLITYKI trzeba było uzyskać pomiędzy 65 a 69 proc. punktów w kategoriach 1-4. Zielony Listek POLITYKI przyznany został tym firmom, które uzyskały minimum 85 proc. punktów w kategorii 5.

Ład korporacyjny oraz monitoring i kontrola

W trzech z czterech kategorii mniej niż połowa firm uczestniczących w konkursie otrzymała powyżej 60 proc. możliwych do zdobycia punktów. Najwyżej ocenianym obszarem był ład korporacyjny. Nie jest to zaskakujące, biorąc pod uwagę, że konkurs skierowany jest do dużych przedsiębiorstw, a zgłaszające się organizacje to spółki giełdowe, międzynarodowe korporacje oraz największe firmy prywatne.

Z drugiej strony niższe wyniki odnotowano w kategoriach dotyczących modelu biznesowego i strategii ESG oraz monitoringu i kontroli. Zwłaszcza nad tą drugą kategorią warto się zastanowić. W wielu przypadkach pierwsze procesy atestacji sprawozdawczości zrównoważonego rozwoju wskazywały luki właśnie w tym obszarze. Co ciekawe, jednostki odpowiedzialne za kontrolę czy audyt wewnętrzny rzadko są angażowane w procesy związane z zarządzaniem kwestiami zrównoważonego rozwoju. Dotyczy to nie tylko procesu sprawozdawczego, ale też procesów operacyjnych, w tym procesu zarządzania ryzykiem. Wydaje się zatem, że wyniki w tym obszarze odzwierciedlają rzeczywistość i wskazują obszar rozwoju dla firm.

Prawie połowa firm uzyskała ponad 60 proc. punktów w kategorii dotyczącej zarządzania wpływem oraz ryzykami i szansami związanymi ze zrównoważonym rozwojem. Z drugiej strony jest to bardzo dobry wynik, jednak z drugiej – biorąc pod uwagę, że w gronie firm uczestniczących w konkursie znajdują się podmioty z tzw. pierwszej fali raportowania zgodnie z wymaganiami Dyrektywy CSRD – pozostaje

Lider Zarządzania Listków ESG POLITYKI

w kategorii „Zarządzanie wpływem, ryzykami i szansami”

- **Kuehne+Nagel sp. z o.o.**
- **Nest Bank SA**

Lider Strategii Listków ESG POLITYKI

w kategorii „Model biznesowy i strategia”

- **Orange Polska**

Lider Ładu Korporacyjnego Listków ESG POLITYKI

w kategorii „Ład korporacyjny”

- **Kompania Piwowarska**
- **mBank SA**

Lider Rzetelności i Zarządzania Danymi Listków ESG POLITYKI

w kategorii „Monitoring i kontrola”

- **Solaris Bus & Coach sp. z o.o.**

niedosyt. A to dlatego, że wszystkie firmy, które opublikowały swoje raporty zgodnie z nowymi przepisami, przeszły też pozytywnie proces atestacji, obejmujący m.in. analizę podwójnej istotności. Wydaje się zatem, że dla tych firm żadne z pytań w tej kategorii nie powinno stanowić wyzwania, jako że nie wykraczały one ponad wymagania zdefiniowane w standardach ERSR.

Patrząc na wyniki, brak punktów wynikał najczęściej z niekompletności odpowiedzi. W szeregu przypadków nie mogliśmy przyznać punktów za deklaracje, ponieważ uczestnicy adresowali tylko wybrane elementy pytań. Tymczasem każde z 75 pytań merytorycznych w ankiecie zostało przygotowane w wyniku pogłębionej analizy jego zakresu i finalnego kształtu.

Wierzmy, że skuteczne zarządzanie kwestiami zrównoważonego rozwoju wymaga kompleksowego podejścia, wspartego efektywnymi procesami, procedurami oraz politykami w organizacji. Chcemy, aby Listki ESG POLITYKI były dla laureatów wyróżnieniem potwierdzającym zademonstrowanie właśnie takiego podejścia.

ALEKSANDRA STANEK-KOWALCZYK,
MAGDALENA OBŁOZA
I DOBROMIR POPLAWSKI z EY



Temu i tamtemu

Amerykanie zaczęli walkę z miliardami chińskich paczek, tymczasem Europa wciąż jest nimi zalewana. Kupujący na Temu czy Shein cieszą się z niskich cen, ale ekspansja tych platform naszej gospodarce nie służy.

CEZARY KOWANDA

Poczta Polska zapewne się nie spodziewała, że jej ostatni komunikat prasowy wzbudzi takie emocje. Gdy państwowy koncern pochwalił się zacieśnieniem współpracy z chińskim gigantem Temu, został ostro skrytykowany przez Izbę Gospodarki Elektronicznej, zrzeszającą m.in. wiele polskich sklepów internetowych. Izba po raz kolejny

zwróciła uwagę, że Chiny wspierają swoje platformy handlowe lokalnymi subsydiami i ulgami podatkowymi. Dlaczego zatem przedsiębiorstwo wspierane przez polskich podatników (roczna rekompensata z budżetu za świadczenie usług publicznych sięga już 1 mld zł) ułatwia życie chińskim graczom, którzy i tak w szybkim tempie podbijają nasz rynek? Sama Poczta w swojej ostatniej decyzji nie widzi niczego złego. Przekonuje, że z Temu współpracują także jej rywale

na rynku usług kurierskich. A przecież podstawowe zadanie obecnego zarządu to wyciągnięcie przedsiębiorstwa z finansowej zapaści, w jaką wpełnęły je ekipy z nadania PiS. W tym celu trzeba szukać wszystkich możliwości zarobku. I nie obrażać się na Chińczyków.

Ci zaś Europę traktują jako swój kluczowy rynek, zwłaszcza od kiedy Donald Trump znacznie utrudnił im dostęp do amerykańskich klientów. Platformy, takie jak Temu, Shein czy AliExpress,

mogą co prawda wciąż wysyłać paczki do Stanów Zjednoczonych, jednak musiały znacznie podnieść ceny. Trump cofnął obowiązujące dotąd zwolnienie z cła przesyłek o wartości do 800 dol. Równocześnie znacznie podniósł stawki celne na wszystkie towary importowane z Chin. Dodatkowo paczki wysyłane do klientów indywidualnych zostały objęte specjalną dopłatą w wysokości 100 dol. Nic dziwnego, że zainteresowanie amerykańskich klientów bardzo dotąd popularnymi chińskimi platformami internetowymi spadło w ciągu zaledwie dwóch miesięcy o ponad połowę. Tym pozostało czekać na wynik negocjacji handlowych przywódców Stanów Zjednoczonych i Chin. Na razie liczą straty, np. zyski właściciela Temu spadły w pierwszym kwartale bieżącego roku o niemal 40 proc.

Nic dziwnego, że Chińczycy jeszcze bardziej niż dotąd skupiają swoją uwagę na naszym kontynencie. Unia Europejska co prawda też od dawna dyskutuje na temat ograniczeń dla chińskich paczek, jednak bez większego efektu. Obecnie zwolnione z cła są wszystkie przesyłki o wartości do 150 euro. Ten poziom ma zostać obniżony, być może nawet do zera, ale zapewne nie wcześniej niż w 2027 r. Niedawno komisarz Maroš Šefčovič, zajmujący się m.in. handlem, zaproponował wprowadzenie jak najszybciej dodatkowej opłaty w wysokości 2 euro, doliczanej do każdej paczki przekraczającej unijną granicę. Taka kwota miałaby pokryć przy najmniej szybko rosnące koszty odprawy,

ponoszone przez państwa członkowskie, czyli podatników. Jednak dodatkowe 2 euro (niecałe 9 zł) raczej nie zniechęciłoby milionów klientów korzystających z chińskich platform. W 2024 r. do państw Unii przybyło aż 4,6 mld paczek spoza Wspólnoty – ponad 90 proc. z Chin. Liczba takich przesyłek podwoiła się w ciągu zaledwie roku.

Także nasz kraj nie jest wolny od chińskiego szaleństwa handlowego.

Tamtejsze platformy nie publikują dokładnych danych, ile paczek i do kogo wysyłają. Jednak ich popularność można mierzyć dzięki badaniom internetowym. Niedawno duże emocje wzbudziły wyniki cyklicznej analizy Mediapanel, z której wynika, że Temu jest u nas od kwietnia tego roku numerem jeden wśród platform handlowych, przynajmniej pod względem liczby użytkowników. Stronę i aplikację tego serwisu odwiedza łącznie niemal 19 mln Polaków miesięcznie. Allegro, do niedawna niekwestionowany lider, przekonuje, że pod względem liczby tzw. zaangażowanych użytkowników (tych, którzy spędzają na platformie przynajmniej minutę miesięcznie, czyli nie wchodzi na nią przypadkowo) jest wciąż pierwsze. Bo ma ich ok. 16 mln, podczas gdy Temu poniżej 14 mln.

Nie zmienia to faktu, że ekspansja zwłaszcza Temu, które pojawiło się na naszym rynku niespełna dwa lata temu, jest imponująca. Wielką chińską trójkę uzupełniają działające znacznie

dłużej od Temu AliExpress (niecałe 10 mln użytkowników miesięcznie według Mediapanelu) oraz Shein, specjalizujący się w sprzedaży odzieży (prawie 8 mln użytkowników). Gigantyczny sukces chińskich platform jest związany przede wszystkim z niskimi cenami. Ale równie ważne są ich strategie marketingowe: strony i aplikacje nieustannie atakują klienta mniej lub bardziej prawdziwymi promocjami, rabatami, kuponami, loteriami. A do tego przekonują, że atrakcyjne oferty zaraz znikną, jeśli się ich nie kliknie. Chińskie serwisy nie szczędzą wydatków na reklamę. Nie angażują jednak do niej żadnych celebrytów, tylko stawiają na bombardowanie nas ogłoszeniami w każdym możliwym kanale internetowym. Na przykład Temu jest zdecydowanie największym reklamodawcą na polskim Facebooku i Instagramie. Efekt? Aplikację Temu w swoim telefonie ma już ok. 13 mln Polaków.

Ewa Kraińska, twórczyni aplikacji When U Buy, próbuje analizować zakupy naszego społeczeństwa i porównywać znaczenie Temu, Allegro oraz innych dużych graczy na polskim rynku. – *Na Temu kupujemy przede wszystkim tanie produkty, ale w ramach jednej transakcji wkładamy ich do koszyka sporo, średnio sześć lub siedem. Obserwujemy, że od kilku miesięcy wartość pojedynczych zakupów na Temu (ok. 180 zł) jest wyższa niż na Allegro (ok. 110 zł). Z drugiej strony w ujęciu całego miesiąca Polacy wciąż wydają więcej na Allegro (ponad 900 zł) niż na Temu* ►

REKLAMA



KLINIKA UZDROWISKOWA
„Pod Tężniami”
w Ciechocinku

LECZENIE I REHABILITACJA

POBYTY: Zdrowy Kręgosłup, Neurologiczny, Dla Aktywnych, Biodra, Kolana, Bark, Antystresowy, Kardiologiczny z diagnostyką.

Szwedzki stół, 15 albo 20 zabiegów na 7 dni pobytu

- Wstęp na basen z atrakcjami do 90 minut dziennie
- Diagnostyka fizjoterapeutyczna i laboratoryjna*
- Specjalistyczne konsultacje lekarskie*

*możliwa dopłata

Pobyty w terminach: 20.06 - 28.09.2025 r.

tel. 54 416 70 00

www.podtezniami.pl

Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II, ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

eprasa.pl 1eb33a86d2

► (niecałe 700 zł). Ta różnica jest jednak coraz mniejsza. Allegro wciąż wygrywa powtarzalnością – dla wielu osób jest stałym miejscem robienia zakupów, np. karmy dla zwierząt czy proszku do prania. Tymczasem na Temu królują artykuły sezonowe i gadżety. W wielu przypadkach chodzi o produkty, na które chiński serwis sam kreuje popyt, jak mata do przesadzania kwiatów czy zimowe nauszniki dla psa. Gdyby nie Temu, pewnie nigdy byśmy nie pomyśleli, żeby coś takiego kupić – opowiada Kraińska.

Wielu polskich sprzedawców narzeka, że konkurencja z chińskimi platformami jest nierówna, wręcz nieuczciwa. Ale w jakim stopniu Temu czy Shein szkodzą rodzimym graczom? – Na razie widzimy, że osoby kupujące na Temu wcale nie ograniczają aktywności na Allegro. W obu serwisach wybierają po prostu inne produkty. Często wręcz, wydając więcej na Temu, równocześnie zamawiają częściej na Allegro. Inaczej za to wygląda sytuacja w przypadku zakupów odzieżowych. W tym przypadku widzimy, że Shein czy Temu szkodzą Reserved czy H&M. W mniejszym stopniu natomiast z powodu ekspansji chińskich platform cierpi Zalando – zauważa Ewa Kraińska. I podkreśla, że zarówno Temu, jak i AliExpress nawiązują współpracę z coraz większą liczbą polskich sprzedawców, np. z branży kosmetycznej. To dla tych serwisów droga do dalszej ekspansji. A przy okazji pewnie polisa ubezpieczeniowa na wypadek, gdyby Unia poszła jednak drogą Stanów Zjednoczonych i obłożyła paczki z Chin wysokimi cłami.

Sukces chińskich platform w naszym kraju ukazuje, że dla wielu polskich klientów nie mają znaczenia kontrowersje wokół Temu czy Shein. A tych przecież nie brakuje i nie chodzi tylko o tak abstrakcyjne dla wielu osób zarzuty, jak nieuczciwe wspieranie przez chiński rząd swoich platform na arenie międzynarodowej. Według Urzędu Ochrony Konkurencji i Konsumentów, który od dawna przygląda się działalności chińskich graczy, np. Temu nie informuje jasno, kto sprzedaje na platformie, ani nie podaje prawidłowo najniższej ceny z 30 dni przed obniżką. Warto wiedzieć, że Temu i Shein działają na europejskim rynku poprzez firmy zarejestrowane w Irlandii. Stosunkowo łatwo można je zatem ukarać za różne nieprawidłowości. Na razie UOKiK jeszcze żadnej grzywny nie nałożył, ale może to niedługo zrobić.

Jednak łamanie dyrektywy Omnibus, mającej chronić klientów, to wcale nie najpoważniejszy zarzut wobec chińskich platform. Znacznie bardziej niepokojące są wyniki badań przeprowadzanych przez różne europejskie organizacje konsumenckie, które losowo kierują do analiz wybrane produkty zakupione na tych platformach. Wyniki są zazwyczaj zatrważające. Niedawno takie testy przeprowadziła polska Federacja Konsumentów. Eksperci z Laboratorium Nawozów i Wyrobów Chemicznych przebadali 29 produktów wybranych przez Federację. Znalazły się wśród nich ubrania, obuwie, biżuteria, torebki i ładowarka. Ponad połowa testowanych towarów zawierała niebezpieczne metale ciężkie. W 10 z 16 badanych sztuk ubrań i bielizny znaleziono chrom, nikiel, ołów, kobalt lub antymon w stężeniach przekraczających dopuszczalne limity. Szczególnie niebezpieczne dla zdrowia okazały się ozdoby: sztuczne kamienie, łańcuszki, klamery i sprzączki.



Lawinowy wzrost liczby paczek z Chin ma konsekwencje ekonomiczne i ekologiczne. W obu przypadkach bardzo szkodliwe.

Problem w tym, że z powodu gigantycznej liczby sprowadzanych z Chin towarów możemy testować tylko ich minimalną część. – Zastrzeżenia dotyczące bezpieczeństwa produktów pojawiają się w wynikach badań przeprowadzanych także przez inne organizacje konsumenckie. Dotyczy to nie tylko ubrań, ale też przykładowo zabawek, których konstrukcja okazuje się nierzadko zagrożeniem dla dzieci. Teoretycznie platformy wycofują ze sprzedaży produkty uznane za niebezpieczne. Jednak informacje na ten temat trudno znaleźć na ich stronach. Poza tym o zagrożeniu powinni zostać poinformowani wszyscy, którzy wcześniej kupili takie towary, a nie jesteśmy w stanie sprawdzić, czy tak się dzieje. Wydaje się, że potrzebujemy reformy naszego systemu ochrony konsumentów, który nie uwzględnia sytuacji, z jaką mamy teraz do czynienia. Ogromna liczba produktów jest przesyłana bezpośrednio spoza Unii do europejskich konsumentów bez żadnej kontroli – mówi Michał Herde, ekspert Federacji Konsumentów.

Chińskie platformy na razie korzystają z tego, że Unia, w przeciwieństwie do USA, nie chce iść z Pekinem na handlową wojnę. Jednak lawinowy wzrost liczby paczek z Państwa Środka ma konsekwencje zarówno ekonomiczne, jak i ekologiczne. W obu przypadkach bardzo szkodliwe. Wydajemy coraz więcej na wspieranie chińskich firm, podczas gdy dużo większą korzyść mielibyśmy, gdyby te pieniądze zostawały na polskim albo chociaż unijnym rynku. Do tego sprowadzamy gigantyczną liczbę produktów marnej jakości, które szybko zamieniają się w odpady. Na przykład moda promowana na chińskich platformach to przede wszystkim szybko niszczące się ubrania. Wiele gadżetów, które wkładamy do wirtualnych koszyków zachęceniu reklamami, też szybko łąduje w kacie albo po prostu w koszu. Rosnącą górą polskich odpadów, często niebezpiecznych, chińscy sprzedawcy przejmować się nie muszą. Tak samo jak wynikami alarmujących badań, bo przecież nikt ich za łamanie europejskich norm nie karze. O ile w wielu kwestiach Donalda Trumpa lepiej nie naśladować, o tyle akurat jego walką z miliardami chińskich paczek może warto się trochę zainspirować.

CEZARY KOWANDA



Korzystać, ale nie marnować

Sprzętów na prąd w naszych domach nieustannie przybywa.
Jednak zużycie energii możemy kontrolować,
pamiętając o dobrych nawykach i dbając o właściwą temperaturę.

Ponad 1,8 tys. kilowatogodzin – tyle energii elektrycznej według danych Głównego Urzędu Statystycznego zużywa w Polsce rocznie jedno gospodarstwo domowe. Cena jednej kilowatogodziny przekracza już złotówkę i w kolejnych latach będzie zapewne nadal rosnąć. Wydatki za prąd to zatem spore obciążenie dla każdej rodziny. Tymczasem istnieje wiele metod racjonalnego gospodarowania energią elektryczną.

Nie chodzi przy tym o życie pełne wyrzeczeń, ale o różne pożyteczne nawyki, dzięki którym ograniczymy marnotrawstwo prądu. Część energii, którą zużywamy, nie poprawia wcale naszego komfortu. – *Najprostsza i bardzo skuteczna zasada mówi o tym, by nie używać energii bez potrzeby. Zapalone światło w pomieszczeniu, gdzie nikt nie przebywa, włączony telewizor, którego nikt nie ogląda, czy pozostawione w gniazdkach wszelkiego*

rodzaju ładowarki. To pozeracze energii i na to w pierwszej kolejności warto zwrócić uwagę – mówi Aleksander Chołodnicki, dyrektor Departamentu Marketingu i Produktów Energa Obrót.

W każdym domu można przeprowadzić krótką analizę, jak mądrze gospodarować energią oraz w których miejscach i momentach jej zużycie jest zupełnie bez sensu. Taki rachunek sumienia warto zacząć od kuchni, bo to tam znajduje się wiele sprzętów

zużywających dużo energii. Jednym z nich jest lodówka, która pracować musi cały czas. Wymieniamy ją średnio raz na kilkanaście lat, więc decyzja o jej zakupie powinna być przemyślana. Chodzi przede wszystkim o wybór odpowiedniej klasy energetycznej (literą A oznaczane są najbardziej efektywne energetycznie modele).

W przypadku lodówki z pewnością lepiej wydać nieco więcej, aby kupić sprzęt o niższym zużyciu prądu. Jednak równie ważne jest dopasowanie modelu do naszych potrzeb. Nie brakuje na rynku lodówek o bardzo dużej pojemności, ale zwłaszcza mniejsze gospodarstwa domowe powinny się zastanowić, ile potrzebują miejsca do przechowywania żywności. Istotne jest również odpowiednie ustawienie temperatury – dla zamrażarki zalecana wartość to –18 st., ale w przypadku części chłodzącej wystarczy 6–7 st. Potem pozostaje już tylko pamiętać o tym, aby lodówkę otwierać na krótko, prawidłowo zamykać jej drzwi, a przygotowane potrawy wstawiać do niej dopiero po ostygnięciu.

Coraz częściej w domach i mieszkaniach do gotowania służy nie kuchenka gazowa, lecz płyta indukcyjna. W tym przypadku pole do oszczędności zużycia energii jest bardzo duże. Pomóc może używanie garnków właściwej wielkości z pokrywkami (ograniczamy utratę ciepła), a także wyłączanie płyty na chwilę przed zakończeniem gotowania. Dobre nawyki obniżą również zużycie prądu przez czajnik elektryczny – wystarczy napełniać go taką ilością wody, jakiej potrzebujemy. Wiele nowszych modeli pozwala również ustawić żadaną temperaturę (np. 70 czy 90 st.) – nie zawsze przecież chcemy doprowadzić wodę do stanu wrzenia. Także właściwe korzystanie z piekarnika elektrycznego może przynieść oszczędności. Jak w przypadku lodówki, trzeba ograniczyć do minimum otwieranie jego drzwi podczas pracy. Potrawy należy wstawiać od razu po rozgrzaniu go do odpowiedniej temperatury.

Producenci sprzętu domowego, np. zmywarek i pralek, wprowadzili w ostatnich latach wiele rozwiązań ograniczających zużycie wody i energii. Warto korzystać z tzw. programów

Najprostsza i bardzo skuteczna zasada mówi o tym, by nie używać energii bez potrzeby. A oszczędności najlepiej zacząć od kuchni, a konkretnie od lodówki, która musi pracować przez cały czas.

rozrządek. Wyrzucanie sprzętu w pełni sprawnego, z którego często nadal jesteśmy zadowoleni, tylko po to, aby nieco zmniejszyć rachunek za prąd, nie jest przecież działaniem racjonalnym. A do tego oznacza powiększanie i tak wielkiej góry elektroodpadów. Lepiej skupić się właśnie na optymalizacji naszych zachowań niż na przedwczesnym wymienianiu różnych urządzeń. Za to, gdy już zdecydujemy o zakupie nowego sprzętu, warto do-



© ANDREW ANGELOV/SHUTTERSTOCK

ekologicznych, nawet gdy trwają dłużej od standardowych, ale i takie działanie nie zwalnia nas z obowiązku dobrego planowania. – *Sposobem na oszczędzanie może być skorzystanie z oferty dynamicznej. Aby było to jednak atrakcyjne cenowo, klient powinien zarządzać swoim zużyciem bardzo świadomie. Przede wszystkim korzystać z domowych urządzeń w godzinach, w których jest najtaniej. Dobrym uzupełnieniem ofert dynamicznych są magazyny energii. Ładujemy magazyn, gdy stawki za energię są najniższe, i wykorzystujemy energię w godzinach, gdy stawki wzrastają* – radzi Aleksander Chołodnicki z Energa Obrót.

W przypadku sprzętów gospodarstwa domowego często pojawia się dylemat: wciąż używać starszych urządzeń czy jednak wymienić na nowe? Oczywiście dostępne na rynku modele mogą pochwalić się niższym zużyciem energii niż te, które były sprzedawane kilka, a zwłaszcza kilkanaście lat temu. Jednak z drugiej strony należy zachować zdrowy

kładnie porównywać dostępne modele i skonsultować się ze specjalistami.

Ostatnie lata w naszych domach to zderzenie dwóch trendów. Jeden ułatwia nam ograniczanie zużycia prądu – kolejne generacje sprzętów mają przecież lepsze parametry energetyczne od swoich poprzedników. Jednak równocześnie nasze potrzeby rosną, bo urządzeń potrzebujących energii w gospodarstwach domowych nieustannie przybywa. To przede wszystkim efekt coraz większej liczby elektronicznych gadżetów. Każdy z nich często ma niewielkie potrzeby, ale jeśli uwzględnimy ładowanie wszystkich, to trudno się dziwić, że nasze zużycie prądu rośnie. Warto zatem pamiętać przynajmniej o wyłączaniu z kontaktów ładowarek, gdy akurat żadne urządzenie nie jest do nich podłączone albo gdy telefon, laptop czy zegarek nie potrzebują już więcej energii.

Prawdziwym utrapieniem dla każdego, kto chce racjonalizować

Łap wiatr w żagle

Rozwijaj biznes
z **Energią Powitalną**
w **stałej cenie 0,5990 zł/kWh**

Wejdź na energa.pl
lub zeskanuj kod QR
i dowiedz się więcej



Kiedy i na jakich warunkach możesz skorzystać z naszej oferty: „Energia Powitalna” dowiesz się z regulaminu oferty i jego załączników. W regulaminie znajdziesz również ceny prądu i stawki miesięcznych opłat handlowych. Regulamin oferty i załączniki do niego dostępne są na naszej stronie www.energa.pl. Oferta nie obejmuje opłat za dystrybucję prądu. Jeśli z przepisów prawa ograniczających wysokość cen prądu wynikać będzie, że w rozliczeniach stosuje się inne ceny i stawki, niż wynikające z naszej oferty, w okresie wskazanym w tych przepisach będziemy stosować ceny i stawki wynikające z prawa. Materiał marketingowy nie stanowi oferty w rozumieniu art. 66 Kodeksu cywilnego.



© BARTLOMIEJ PIETRZYK/SHUTTERSTOCK

wydatki, jest tryb czuwania w urządzeniach na stałe podłączonych do sieci, takich jak telewizor. Stosując listwy zasilające, można grupować taki sprzęt i odcinać mu dostęp do prądu, gdy wiemy, że nie będziemy z niego korzystać przez dłuższy czas, np. w nocy lub gdy wychodzimy z domu na cały dzień. Teoretycznie zużycie energii w trybie czuwania nie jest duże, ale jeśli trwa nieustannie, w zauważalny sposób zwiększa nasze rachunki za prąd. Jeśli nie korzystamy z rozwiązań tzw. inteligentnego domu, warto również wyłączać z kontaktu router, gdy wyjeżdżamy na kilka dni.

Ilość energii elektrycznej zużywanej w ciągu roku zależy w dużej mierze od źródła ogrzewania. Jeśli dom wyposażony jest w pompę ciepła [to rozwiązanie coraz popularniejsze, zwłaszcza w nowym budownictwie] lub w zwykłe ogrzewanie elektryczne [często dlatego, że nie ma możliwości podłączenia się do sieci gazowej ani do ciepła miejskiego], wówczas oszczędności może przynieść wiele na pozór drobnych zmian. Najważniejsza to niewielkie obniżenie temperatury w pomieszczeniach. Zalecanym ustawieniem na termostacie jest 20 st. Chodzi przy tym nie tylko o korzyści ekonomiczne [jeden stopień mniej pozwala zredukować zużycie energii o kilka procent], ale również zdrowotne.

Częstym problemem, zwłaszcza w przypadku mieszkań, okazuje się

Chłodzenie całego domu oznacza ogromne zużycie energii. Lepiej skupić się na wybranych pomieszczeniach. I pamiętać, że najtańsze jest intensywne wietrzenie.

nie ich niedogrzać, jak kiedyś, ale przegrzać, co negatywnie wpływa na nasze drogi oddechow i zwiększa ryzyko przeziębień. W przypadku sypialni temperatura powinna być nawet poniżej 20 st., aby zapewnić nam przyjemny sen. Nie warto również nadmiernie nagrzewać kuchni, gdzie ciepło zapewnia sam proces gotowania. Można natomiast nieco wyższą temperaturę zaprogramować w łazience. To zazwyczaj pomieszczenie niewielkie, więc zużycie energii z tego powodu nie będzie zbyt duże. Pamiętajmy, aby grzejniki mogły efektywnie pracować – nie kładźmy na nich niczego (zwłaszcza mokrych ubrań!) i nie zasłaniajmy ich kotarami czy meblami.

Dylemat pojawia się często, gdy wyjeżdżamy z domu w okresie zimowym. Z jednej strony redukcja ogrzewania to dobry pomysł, który pozwoli na wymierne oszczędności. Jednak równocześnie całkowite jego wyłączenie może doprowadzić do nadmiernego wychłodzenia murów. To zwiększa niebezpieczeństwo

zawilgocenia i rozwoju grzybów. Poza tym powrót do normalnej temperatury będzie oznaczał konieczność zużycia bardzo dużej ilości energii. Najlepiej zatem zmniejszyć ogrzewanie, ale w rozsądnych granicach, aby podczas nieobecności domowników temperatura wynosiła ok. 15–16 st.

Do listy sprzętów, które zwiększają w ostatnich latach zużycie prądu, z pewnością trzeba dodać klimatyzatory. Trudno się dziwić, skoro upały w okresie letnim stały się u nas bardzo częstym zjawiskiem. Klimatyzacja przynosi ulgę, ale oczywiście również podnosi rachunki za prąd. Istnieją jednak różne rozwiązania, które – chociaż nie zawsze pozwolą z niej zrezygnować – mogą ograniczyć konieczność korzystania z niej.

W przypadku silnie nasłonecznionych pomieszczeń warto zainstalować zewnętrzne rolety czy markizy. W efekcie klimatyzator można włączyć rzadziej, a w przypadku niektórych pomieszczeń okaże się zbędny.

Jak w przypadku ogrzewania, także przy klimatyzacji istotne jest ustawienie odpowiedniej temperatury. Tym razem chodzi jednak nie o 20 st., a o wyższą wartość, np. 23–24 st. Nadmierne wychładzanie domu latem jest bowiem tak samo niekorzystne dla naszego zdrowia jak przegrzewanie zimą. Chłodzenie całego domu, zwłaszcza dużych rozmiarów, oznacza ogromne zużycie energii. Lepiej zatem skupić się na wybranych pomieszczeniach. Gdy tylko temperatura na zewnątrz spada, korzystniej i taniej chłodzić wnętrza w naturalny sposób, czyli poprzez intensywne wietrzenie.

– *Warto sięgnąć po ogólnodostępną aplikację Energetyczny Kompas, która pokazuje, jak pracuje system elektroenergetyczny i jakie działanie jest wskazane w danej godzinie. Dzięki aplikacji w prosty sposób możemy sprawdzić, kiedy maksymalizować zużycie energii, a kiedy zmniejszać to zużycie z korzyścią dla systemu elektroenergetycznego i środowiska. Godziny wskazywane przez Energetyczny Kompas można także automatycznie przesyłać do urządzeń smart home i dzięki temu sterować ich pracą* – mówi Marek Kornicki, dyrektor Krajowej Dyspozycji Mocy.

CEZARY KOWANDA

Chcesz wiedzieć, kiedy najlepiej używać prądu? Sprawdź prognozy energetyczne

Polska jest w trakcie transformacji energetycznej. Ponad połowę mocy zainstalowanej w systemie elektroenergetycznym stanowią dziś źródła odnawialne, głównie instalacje fotowoltaiczne i farmy wiatrowe.

Produkcja energii z OZE jest jednak zmienna, zależy od pogody i pory dnia. Coraz częściej zdarzają się nadwyżki generacji. Dlatego każdy uczestnik rynku, w tym odbiorca indywidualny, powinien korzystać z prądu w elastyczny sposób, dostosowując swoje energochłonne działania do sytuacji w systemie.

Zmiana zaczyna się w domu

Urządzenia takie jak płyta indukcyjna, piekarnik, pralka, klimatyzator czy pompa ciepła generują znaczną część krajowego zapotrzebowania na energię. Ich uruchamianie rano, gdy większość z nas wstaje do pracy lub wieczorem, gdy wracamy do domu, potrafi gwałtownie zwiększyć zużycie.

Czy ma znaczenie, o której nastawimy zmywarkę czy pralkę? Jak najbardziej tak. Zmiana przyzwyczajeń związanych z korzystaniem z energii elektrycznej przekłada się na pracę krajowego systemu elektroenergetycznego oraz pomaga w walce ze zmianami klimatu.

Wówczas z większą mocą muszą pracować elektrownie na węgiel i gaz. Tymczasem już niewielkie przesunięcie domowych obowiązków na inne godziny, np. gdy najwięcej energii pochodzi z OZE, może realnie pomóc w stabilizacji systemu i zmniejszeniu emisji CO₂.

Korzystaj z prądu odpowiedzialnie

Aby aktywnie zarządzać zużyciem prądu, warto korzystać z ogólnodostępnej aplikacji **Energetyczny Kompas**, bezpłatnego narzędzia Polskich Sieci Elektroenergetycznych, które pozwala zaplanować realizację energochłonnych czynności w określonym czasie.

Energetyczny Kompas pozwala też zautomatyzować pracę domowych urządzeń tak, by pracowały z większą mocą, gdy zielonej energii jest najwięcej. To rozwiązanie dla osób korzystających z inteligentnych systemów sterowania, które chcą pomóc środowisku i systemowi elektroenergetycznemu.


**ENERGETYCZNY
KOMPAS**

www.energetycznykompas.pl




Kieruj się na zieloną energię i planuj zużycie prądu

Pobierz bezpłatną aplikację Energetyczny Kompas

- Bądź na bieżąco z energetycznymi godzinami szczytu
- Korzystaj z prądu, gdy najwięcej energii pochodzi ze źródeł odnawialnych





Polskie Sieci Elektroenergetyczne są operatorem systemu przesyłowego energii elektrycznej w Polsce. Naszym zadaniem jest bilansowanie systemu, czyli zapewnienie, że energii zawsze jest tyle, ile potrzeba odbiorcom. Zarządzamy pracą ponad 16 500 km sieci przesyłowej i 110 stacjami elektroenergetycznymi, które umożliwiają nam przesyłanie energii na duże odległości. Dowiedz się więcej: <https://raport.pse.pl>



Może to ostatnia

**Wojna wywołuje potrzebę bliskości.
Walka o nią dla wielu Ukraińców stała się
kolejnym aktem oporu.**

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

Na zdjęciach, które obieły świat, widać całującą się młodą parę. Ona w białej sukni, on w czarnej skórzanej kurtce. Pozują na tle gruzów najbardziej rozpoznawalnych charkowskich budynków. Dentysta Anton Sokół i pielęgniarka Anastasia Graczewa wzięli ślub w kwietniu 2022 r., kilka tygodni po wybuchu pełnoskalowej moskiewskiej agresji. „Wiedzieliśmy, że jeśli będziemy czekać zbyt długo, naszego miasta może już nie być” – tłumaczyła Graczewa. Na położony przy granicy z Rosją Charków codziennie spadały wówczas bomby i rakiety. Kremlowskie wojska podeszły tak blisko, że pisarz Serhij Żadan musiał opuścić swoje mieszkanie w dzielnicy Sałtiwka, bo znalazło się w zasięgu rosyjskich moździerzy. Ukrywał się, bo Rosjanie mieli go na czarnej liście osób do aresztowania. Nad miastem wisiało ryzyko rosyjskiej okupacji.

Razem z Sokółowem, Graczewą i innymi malarzami, aktorami czy muzealnikami Żadan został jednak w ukochanym mieście, by wspierać humanitarnie mieszkańców i żołnierzy. Na weselu przyjaciół wyśpiewał cały koncert. Sam ślub odbył się w kolejnym

symbolicznym miejscu, czyli w charkowskim metrze, które pełniło funkcję schronu dla tysięcy ludzi. Wojenne wesele było krótsze, niż nakazuje tradycja, ze względu na godzinę policyjną. Parze zależało, by służyć jako świadków jak najwięcej zagranicznych dziennikarzy.

Nie mów „rozumiem”

W 2022 r. padł rekord – 220 tys. ukraińskich par zdecydowało się sformalizować związek. Pomogły też władze, które szybko wyszły zakochanym naprzeciw i dołączyły ślubną ofertę do aplikacji Diia, czyli ukraińskiego mObywatela na sterydach. Zakochani mogli zdalnie się oświadczyć i jeszcze tego samego dnia zawrzeć małżeństwo, nawet jeśli narzeczony był już na froncie. Ukraina stała się pierwszym krajem na świecie, który zdigitalizował cały proces ślubny.

To był pierwszy szok. Jednak wojenny trend jest od tamtej pory zupełnie odwrotny – liczba zawieranych małżeństw spada, a rośnie liczba rozwodów. W 2024 r. zakończonych zostało oficjalnie ponad 140 tys. małżeństw, tym samym liczba rozwodów dogoniła już prawie liczbę nowych związków. Choć warto odnotować, że sformalizowanych rozstań jest wciąż mniej niż w pierwszych latach bolesnej transformacji po upadku Związku Radzieckiego (jeśli liczyć w wartościach bezwzględnych). Od tamtego czasu Ukraina zmagą się z rekordowym w skali świata kryzysem demograficznym, napędzanym złą jakością życia i emigracją. A wojna tylko wzmocniła ten problem.

Jak podkreślają psychologowie, za suchymi statystykami o rozwodach kryją się wyczerpanie, problemy z zatrudnieniem, utrata domu, alkohol czy PTSD. Ale też oczywiście rozłąka – wyjazd na front i migracje. Kobiety, które wyjechały za granicę, dostały

Z lewej: w kwietniu 2022 r. pielęgniarka Anastasia Graczewa i dentysta Anton Sokołow wzięli ślub w bombardowanym przez Rosjan Charkowie.

Po prawej: ranny w wybuchu miny Mychajło (wojskowy, 25 lat) i Władysława (studentka, 19 lat) pobrali się w marcu w centrum rehabilitacyjnym we Lwowie.



miłość

szansę na refleksję o tym, co naprawdę łączy je z partnerem. Albo uciekły od przemocy. Z drugiej strony psychologowie podkreślają, że małżeństwa, które przetrwały ekstremalnie trudny czas, mogą wyjść z tego silniejsze. Wojna jest swoistym testem związków. Wyostbra to, co się działo między małżonkami.

Małżeństw jest coraz mniej, bo – brutalnie rzecz ujmując – w Ukrainie ubywa ludzi. Ze stratą radzić muszą sobie dziesiątki tysięcy wdów po żołnierzach. I choć sięganie po pomoc psychologiczną wciąż napotyka tu na barierę wstydu, to wojna wywołała pod tym względem rewolucję. Patronat nad działaniami na rzecz walki o zdrowie psychiczne Ukraińców sprawuje prezydentowa Ołena Zełenska. Dużo się na ten temat mówi i pisze. W całym kraju powstają również grupy wzajemnego wsparcia dla wdów po żołnierzach. Tak jak grupy wsparcia dla kobiet, których mężowie są na froncie.

Te ostatnie zmagają się nie tylko z tęsknotą i strachem o bliskiego, ale też z brakiem zrozumienia otoczenia. Ukraińskie media publikują nawet porady, czego unikać, by nie ranić. – *Nie mów „rozumiem cię”, jeśli nigdy nie czekałeś na nikogo z wojny, ponieważ nie rozumiesz. Pewnie na szczęście. Bez przeżycia podobnego doświadczenia człowiek nie może w pełni zrozumieć, przez co przechodzi inna osoba* – przestrzega psycholożka Maria Stecjuk. Specjaliści tłumaczą też, dlaczego żołnierzom nie jest łatwo po powrocie z frontu dostosować się do cywilnego życia.

Ulice bez mężczyzn

Choć budowanie związków stało się trudniejsze, ludzie nawet na wojnie – a może szczególnie w takich okolicznościach – szukają ucieczki od samotności. Z opublikowanych na ubiegłoroczne

walentynki wyników sondy przeprowadzonej przez portal Hromadske wynika, że 24 proc. poszukujących znalazło miłość, 29 proc. – nie, 9 proc. znalazło i straciło, 38 proc. aktywnie nie szuka, bo ufa losowi. – *Psychologicznie trudno jest żyć w kraju, w którym trwają działania wojenne, ludzie potrzebują bliskości i rozmowy* – mówi Anna Samusiewa, która organizuje w Kijowie TetAteT, czyli szybkie randki.

Podczas takiej imprezy spotyka się 20 kobiet i mężczyzn. Każdy ma pięć minut na rozmowę z kolejnymi przedstawicielami płci przeciwnej. – *Format wydarzenia pomaga znaleźć partnera, ale to także po prostu okazja do wyjścia i spotkania towarzyskiego* – zachwala Samusiewa. Randki odbywają się w kijowskich restauracjach w piwnicach, by ich uczestnicy nie musieli się martwić alarmami bombowymi. – *Mogą całkowicie zapomnieć o tym, co się dzieje wokół. Nie myśleć, że w nocy znów był atak, a może nawet odbywa się w trakcie wydarzenia. Mogą zapomnieć się w rozmowie i wzajemnym poznawaniu* – zachwala organizatorka.

W ubiegłym roku zdaniem Samusiewej przez pewien czas chęć do randkowania zgłaszało więcej kobiet. Wynikało to m.in. z tego, że wielu mężczyzn chowało się po domach, by nie paść ofiarą tzw. busyfikacji, czyli ulicznego polowania na uchylających się od obowiązkowego poboru (bywają wciągani do busów). W kawiarniach i na ulicach miast dominowały kobiety, a w niektórych wsiach i miasteczkach mogło się wydawać, że populacja dorosłych mężczyzn wyginęła.

Samusiewa opowiada, że w tym roku problem zaczął jednak słabnąć i na najbliższe spotkanie zapisanych jest już tyle samo kobiet i mężczyzn. Jeszcze przed wojną kobiety stanowiły 53,7 proc. społeczeństwa, ale trudno dziś szacować, czy ta proporcja się odwraca. Miliony kobiet wyjechało z kraju i wiele już nie wróci. Choć, jak dopowiada Samusiewa, niektóre specjalnie przyjeżdżają do Kijowa, by poznać Ukraińców podczas randek. Z kolei na froncie poległy dziesiątki tysięcy żołnierzy. Bo choć kobiety stanowią już 15–20 proc. ukraińskich sił ►

► zbrojnych, na pierwszej linii giną wciąż przede wszystkim mężczyźni.

Przy tak ciężkich stratach armia i państwo potrzebują każdego żołnierza, nie tylko silnego heteroseksualnego mężczyzny. Wojna niszczy więc też przesady i dyskryminację osób LGBT, choć do równości i usunięcia homofobii jeszcze droga daleka. W 2023 r. do Rady Najwyższej wpłynął projekt ustawy, która ma uznać związki partnerskie osób tej samej płci, m.in. z prawem do dziedziczenia i wizyt w szpitalach. Kijów zobowiązał się do oficjalnego uznania takich związków w ramach negocjacji z Unią Europejską. Do tej pory jednak nowe prawo nie zostało uchwalone. Z ubiegłorocznego badania KiiS wynika, że prawie 70 proc. Ukraińców pozytywnie ocenia udział osób LGBT w obronie przed rosyjską agresją militarną, ale już tylko 29 proc. popiera rejestrację związków jedнопłciowych (bez prawa do adopcji), przeciw jest 39 proc. badanych.

Trauma i romanse

Miłość pomaga radzić sobie z ekstremalną sytuacją wokół, ale jest też formą oporu. Jednym z jego symboli, często opisywanym przez media, są śluby żołnierzy. „Śmierć czyni miłość intensywniejszą – podkreśla Marcel Mangold ze Szwedzkiej Akademii Obrony, który badał małżeństwa ukraińskich wojskowych. – Postrzegali swoje zaangażowanie w walkę i miłość jako kontynuację historycznych zmagania Ukraińców. Czasami dokłada się do tego osobista strata lub bycie bezpośrednim świadkiem cierpienia innych”.

Niektóre pary opowiadały Mangoldowi, że posiadanie partnera przywróciło im pragnienie zasmakowania przyszłości i sprawiło, że stali się mniej skłonni do ryzyka. Niepokój o partnera zwiększa stres, jednak – jak twierdzi badacz – ich związki wzmacniały również odporność i determinację, pomagały im radzić sobie ze współistnieniem miłości i wojny. Miłość pomagała też zachowanym chronić się przed wojenną dehumanizacją. Mangold uważa, że wynikiem jego badań powinny przyglądać się armie innych krajów i uwzględnić fakt, jak ważne dla żołnierzy są relacje z bliskimi.

Szczególnie że żołnierze na froncie, którzy nie mają partnerów, często korzystają z aplikacji randkowych. Kontakt na odległość ze znajdującymi się w zupełnie innej rzeczywistości cywilami bywa jednak wyzwaniem. „Komunikacja w wojsku jest uproszczona i funkcjonalna, jak to tylko możliwe. Nastawiona na przetrwanie i osiągnięcie celu, jest bardziej cyniczna, bezpośrednia i dosadna” – zwraca uwagę portal Hromadske. I ostrzega, że między autentycznie poszukującymi bliskości na portalach na samotnych czują oszuści.

Specjaliści podkreślają, że wojenne traumy nie sprzyjają romansom. Żołnierze w trybie przetrwania są zmuszeni dławić uczucia, choćby strachu. Dlatego gdy wracają do cywilnego życia, bywa, że trudno im wyrażać, co czują. Co więcej, tryb przetrwania sufluje nieufność. Specjaliści alarmują również, że w Ukrainie rośnie liczba uzależnionych od pornografii. Z drugiej strony, w mediach można też przeczytać obawy niektórych kobiet, że potencjalne urazy psychiczne partnerów mogą być źródłem problemów, a nawet agresji.

Samusiewa, choć zastrzega, że to jedynie wyrywkowe obserwacje, ocenia, że żołnierze podczas szybkich randek cieszą się taką samą, a może nawet większą popularnością wśród kobiet. – *Budzą szacunek i wdzięczność. Fakt, że poszli bronić ojczyzny, wielu*

kobietom dużo mówi o ich odwadze i kodeksie moralnym – mówi założycielka TetAteT. W malejącym stopniu szanse kandydatów przekreślają ich wojenne rany i niepełnosprawność.

Amputacja stereotypów

W Ukrainie trwa publiczna kampania na rzecz szerszego włączania osób z niepełnosprawnościami. Szacuje się, że ponad 50 tys. wojskowych i cywilów straciło co najmniej jedną kończynę. W społeczeństwie wciąż jeszcze pokutują krzywdzące post-sowieckie stereotypy, jednak media, władze i organizacje społeczne wkładają mnóstwo wysiłku, by je zwalczyć. W prestiżowych magazynach modowych, jak ukraińska wersja „Vogue”, można trafić na sesje zdjęciowe osób z protezami. Mężczyźni i kobiety, którzy stracili ręce i nogi, występują też jako modele podczas pokazów mody lokalnych projektantów.

Wielkim przełomem był ubiegłoroczny sezon programu telewizyjnego „Kawaler do wzięcia”, którego bohaterem został Ołeksandr Budko. 28-letni mężczyzna zaciągnął się do armii na ochotnika, podczas walk o Charków stracił nogi. „Po raz pierwszy w globalnej historii programu (to franczyza – przyp. red.) przededefiniowaliśmy to, co jest pożądane w telewizji. Obsadzając w roli głównej weterana z niepełnosprawnością, rozbiliśmy głęboko zakorzenione stereotypy dotyczące męskości, atrakcyjności i intymności” – chwali się autorzy programu, który bił rekordy oglądalności.

W każdym z odcinków tego reality show inna kobieta starała się o względy Budki. Wśród nich była wdowa po zabitym żołnierzu, dziennikarka – żołnierka i wojenna wolontariuszka. „Obrażenia lub amputacje weteranów nie są postrzegane jako bariery w relacjach. Natomiast patriotyzm, gotowość do przyczynienia się do zwycięstwa Ukrainy, używanie języka ukraińskiego i odrzucenie rosyjskiej kultury stały się bardziej decydującymi atrybutami randkowymi” – podsumowuje portal The Counteroffensive with Tim Mak. Samusiewa potwierdza, że o ile kiedyś więcej uczestników „szybkich randek” porozumiewało się w pierwszej kolejności po rosyjsku, o tyle teraz niektórzy klienci kategorycznie nie życzą sobie randkować w tym języku.

Obserwatorzy zwrócili też uwagę, że na przykładzie wybranych do programu kobiet widać, jak w Ukrainie słabną stereotypowe wyobrażenia o rolach płciowych. „Przez ostatnie 25 lat byliśmy świadkami coraz większych aspiracji kobiet. Nie chodzi już o znalezienie mężczyzny, który jest żywicielem rodziny lub stoickim obrońcą. Kobiety chcą partnerów, którzy dzielą ich wartości, emocje i obowiązki; kogoś, z kim mogą budować życie, a nie tylko na kim mogą polegać” – komentowała socjolożka Marta Naumowa.

6 czerwca, w odwecie za spektakularne ukraińskie ataki na rosyjskie lotnictwo strategiczne, Moskwa zaatakowała znowu ukraińskie miasta. W zachodniej, a więc relatywnie bezpieczniejszej części kraju, pod gruzami zginęli Mykoła Zasekin i Iwanna Sawczuk. Ich śmierć była opisywana również przez zagraniczne media, bo młodzi stali się symbolem wielkiej straty, która rozdziera Ukrainę. Dwudziestokilkulatowie pochodzili z podłuckich wsi, razem zamieszkali na ósmym piętrze bloku w Łucku, na który Moskwa wysłała rakietę. „Rosja przerwała życie młodej parze, która miała tak wiele planów” – żegnał ich burmistrz Łucka Ihor Poliszczuk. Jak opowiadali sąsiedzi, Zasekin i Sawczuk planowali wkrótce ślub.

AGNIESZKA LICHNEROWICZ

American Dream



TOMASZ ZALEWSKI Z WASZINGTONU

Czy zwycięstwo **Karola Nawrockiego** uratuje nam sojusz z Ameryką? Dla **Donalda Trumpa** ważniejsze jest, czy nadal będziemy kupować amerykańską broń.

To już trochę historia, ale warto przypomnieć, jak doszło do majowego spotkania Karola Nawrockiego z Donaldem Trumpem. Ten ważny epizod romansu polskiej prawicy z amerykańskim ruchem MAGA mógł w wyborach prezydenckich przeważać szalę na korzyść ►

► kandydata Prawa i Sprawiedliwości. Wygraną Nawrockiego przedstawia się teraz jako gwarancję wzmocnienia sojuszu Polski z kluczowym dla jej bezpieczeństwa supermocarstwem. Czy rzeczywiście?

Zaoceaniczną wizytę Nawrockiego zorganizował i towarzyszył mu w podróży europoseł Adam Bielan, główny ekspert partii ds. międzynarodowych. Pomagał mu szef kampanii kandydata Paweł Szefernaker, a według „Gazety Wyborczej” także europoseł Dominik Tarczyński oraz Jerzy Kwaśniewski, prezes Ordo Iuris. Informowano, że celem jest Chicago i spotkanie z Polonią, o Waszyngtonie milczano.

A kiedy się okazało, że kandydat jednak dotrze do stolicy USA, to jako jeden z kilkuset gości na ceremonii z okazji dorocznego Narodowego Dnia Modlitwy z udziałem Trumpa. „Spotkanie z prezydentem nie jest planowane” – zapewniano podniekowane polskie media. Aż tu nagle bomba – zdjęcie Nawrockiego z Trumpem w Gabinetcie Ovalnym, uniesione kciuki w geście triumfu i oświadczenie prezydenta: „Wygrasz”.

Zaproszenie Nawrockiego do Waszyngtonu wysłał Michael Waltz, były już doradca prezydenta ds. bezpieczeństwa narodowego. Ale w zaaranżowaniu *tête-à-tête* z przywódcą supermocarstwa pomogli amerykańscy działacze MAGA, łącznicy z europejską nacjonalistyczną prawicą. Jak choćby Matt Schlapp, republikański lobbysta, przewodniczący American Conservative Union, oraz dwaj trumpiści z drugiego szeregu, ale o polskich korzeniach: propagator teorii spiskowych w sieci Jack Posobiec i znany z podbojów damskich serc pierwszy szef kampanii wyborczej Trumpa z 2016 r. Corey Lewandowski.

Organizatorzy wizyty zapraszali na wyjazdową sesję CPAC (Conservative Political Action Conference) w Rzeszowie wiceprezydenta J.D. Vance’a, który przed drugą turą miał poprzeć Nawrockiego. Zamiast niego przyjechała szefowa Departamentu Bezpieczeństwa Kraju Kristi Noem, kierująca akcją aresztowań i deportacji nielegalnych imigrantów. Jej hymny na cześć kandydata PiS jako jedyne, nieodzownego gwaranta wsparcia Rzeczypospolitej przez Amerykę nagłośniły w Polsce prawicowe media.

Zaklinacze Trumpa

Polska zbierała w USA świetne recenzje za wsparcie Ukrainy, kluczową rolę w przekazywaniu pomocy wojskowej dla

Kijowa i przyjęcie ukraińskich uchodźców. Dla samego Trumpa i jego ekipy mamy dodatkowe atuty – procentowo najwyższe w NATO wydatki na obronę i obfite zakupy amerykańskiej broni. Trump miło wspomina też wizytę w Warszawie w 2017 r. i obietnicę nazwania bazy wojsk USA w Polsce jego imieniem.

– *Nawrocki jako prezydent będzie miał okazję, aby wykorzystać swoje relacje z MAGA dla pożytecznych celów* – mówi Daniel Fried, były ambasador USA w Warszawie. – *Może przekonywać administrację Trumpa do pozostawienia lub nawet wzmocnienia wojsk amerykańskich w Polsce, do kontynuacji aktywnej roli Ameryki w NATO, do oporu przeciw rosyjskiej agresji i wsparcia Ukrainy. Innymi słowy, Nawrocki może robić więcej niż samo co jego poprzednik w Pałacu Namiestnikowskim, który jak inni przywódcy europejscy starał się odgrywać rolę „zaklinacza” amerykańskiego prezydenta.*

Koabitacja Andrzeja Dudy z Donaldem Tuskiem, w kraju burzliwa, w sprawach transatlantyckich układała się dobrze. Obaj się zgadzali, że sojusz z USA jest dla Polski strategicznym priorytetem. Duda poparł przyjęcie Ukrainy do NATO, odrzucane przez prezydenta USA. I potrafił razem z Tuskiem przyjechać do Białego Domu, agitować tam za twardym kursem wobec Władimira Putina i urabiać w tym duchu pokrewnych sobie ideologicznie Republikanów w Kongresie. Trudno ocenić, co obaj zdziałali – z Trumpem raczej niewiele. Ale przynajmniej się starali.

Tusk z Dudą odwiedzili jednak Waszyngton za rządów Joe Bidena, który cenił sobie harmonię na szczycie polskiej władzy. Nawrocki zapowiedział, że z pierwszą zagraniczną wizytą poleci do USA i Trump przyjmie go zapewne w Białym Domu z przyjemnością. Czy zaprosi tam prezydenta RP i premiera na wspólną wizytę? Prawdopodobnie tak, ale tylko wtedy, kiedy obaj zgodzą się na taką podróż, na co się nie zanoszą. – *Toniestety niemożliwe – uważa Adam Bielan. – Myślę, że premiera Tuska nigdy już w Waszyngtonie nie zobaczymy. Złożyliwie atakował Trumpa, podobnie jak Sikorski. Odradzałbym Karolowi Nawrockiemu pokazywanie się w obecności Tuska. Premier zakładał, że Trump nigdy nie wróci do władzy. Przeliczył się i wszyscy za to płacimy.*

PiS od dawna wypomina Tuskowi krytykę Trumpa, sugerując, że dyskwalifikuje go to jako partnera do rozmów z prezydentem USA. To mizerny argument.

– *Niektórzy z otoczenia Trumpa mogą go użyć, żeby zniechęcić prezydenta do kontaktów z polskim premierem i namawiać do polegania na Nawrockim. Ale militarna i gospodarcza współpraca z Polską, w tym kontrakty dla amerykańskich firm, zależą od polskiego rządu, czyli od premiera* – mówi Fried.

Straszenie, że Trump ukarze Tuska za to, że go krytykował, nie ma sensu z innego jeszcze powodu. Amerykański prezydent jest przyzwyczajony do ataków na siebie, ale swoim krytykom nie wybacza tylko wtedy, gdy nie ustają w jego potępieniach. Jak jego konserwatywni przeciwnicy z Partii Republikańskiej, Nikki Haley i Chris Christie, albo były doradca ds. bezpieczeństwa narodowego John Bolton. Kiedy ktoś porównuje go do Hitlera, jak J.D. Vance, albo nazywa oszustem, jak Marco Rubio, ale potem przechodzi na jego stronę, obelgi zostają zapomniane.

Przywódcy sojuszników krajów, Emmanuel Macron czy Mark Carney, też nie wyrażali się o nim najlepiej. Gdy jednak wrócił do władzy, przywódcy Francji i Kanady relacje z nim starają się ułożyć jak najlepiej. W kontaktach z zagranicznymi przywódcami Trump nie kieruje się osobistymi urazami, tylko interesem. Nie ma powodu, by z Tuskiem było inaczej.

Zostańcie z nami

Poparcie Trumpa dla Nawrockiego to element jego generalnej strategii – wzmocnienia w Europie nacjonalistycznej i eurosceptycznej prawicy. Trumpiści podróżują po starym kontynencie, fotografują się i wymieniają duserami z ideologicznymi przyjaciółmi: Viktorem Orbánem, Marine Le Pen, Nigelem Farage’em, Giorgią Meloni i Robertem Ficą. Pod pretekstem obrony tradycyjnych wartości budują prawicowo-populistyczną międzynarodówkę, która ma rozsadzić od środka Unię Europejską.

Trudno powiedzieć, jak związki z obecną administracją USA wykorzystali dla swych krajów wspomniani przywódcy. – *Ani Meloni, ani Orbán nie zyskali nic poza fotkami z Trumpem* – mówi Charles Kupchan, były doradca prezydentów Billa Clintona i Baracka Obamy. – *Ze względu na charakter swej gospodarki i eksport do USA Włochy, Węgry i Słowacja prawdopodobnie szczególnie ucierpią wskutek polityki handlowej Trumpa* – zauważa Dalibor Rohac z konserwatywnego American Enterprise Institute.

Dla graniczącej z Rosją Polski najważniejsze jest bezpieczeństwo, które gwarantuje, oprócz członkostwa w NATO, obecność w naszym kraju wojsk amerykańskich. Tymczasem administracja Trumpa zapowiada redukcję swych sił zbrojnych w Europie. Dziś liczą trochę ponad 63 tys. żołnierzy, plus niespełna 20 tys. przebywających rotacyjnie – w związku z wojną w Ukrainie – głównie na wschodniej flance Sojuszu. Ponad połowa amerykańskich żołnierzy sił stałych pełni służbę w Niemczech. W Polsce, na zasadach rotacyjnych, stacjonuje ok. 10 tys. żołnierzy USA.

Gdzie należy oczekiwać pierwszych i największych cięć? W pierwszej kadencji Trumpa spekulowano o możliwości przemieszczenia części wojsk z Niemiec do Polski. Jednak podczas niedawnej wizyty niemieckiego kanclerza Friedricha Merza

o dodatkowych sankcjach na Rosję i ociąga się z wnioskiem do Kongresu o wyasygnowanie nowych funduszy na pomoc wojskową dla Kijowa. A Hegseth oświadczył, że w budżecie na 2026 r. pomoc ta będzie zmniejszona.

Cena za wysłuchanie

Adam Bielan zapytany, co prezydent Nawrocki będzie chciał załatwić w rozmowach z administracją USA, wspomniał najpierw o bezpieczeństwie Polski. Ale głównie o tym energetycznym: o imporcie skroplonego gazu z USA, reaktorach atomowych i innych amerykańskich inwestycjach w Polsce. Czy to wyraz realizmu na zasadzie: lepiej skupić się na tym, co można załatwić, czyli na sprawach gospodarczych, bo na perswazje geopolityczne z Trumpem szkoda czasu? Wypowiedzi Nawrockiego sprzed wyborów

„by kwestie celne negocjować bezpośrednio z USA w ramach relacji bilateralnych”, bo „leży to w interesie Polski i rozwijania relacji polsko-amerykańskich”. Argumentem Nawrockiego była szkodliwość ewentualnych odwetowych ceł UE dla importu skroplonego gazu z USA. Tyle że kwestie tariffy może z USA negocjować wyłącznie Unia, a nie jej członkowie. A jeśli nawet założyć, że uszłoby to Polsce na sucho, nie wiadomo, co by z takich negocjacji wynikało – w rozmowach handlowych Trump nie kieruje się sentymentami.

Prezydent USA nie ukrywa, że chodzi mu o dzielenie Unii Europejskiej. I trudno nie dojść do wniosku, że nasz nowo wybrany prezydent w tym mu sekunduje. Jak w sprawie Ukrainy, gdy Nawrocki oświadczył, że nie popiera przyjęcia jej do NATO, a nawet do UE. Kontrastuje to ze stanowiskiem nie tylko mocarstw europejskich, ale i samego prezydenta Dudy, a jednocześnie jest zbieżne z tym, co mówi Trump.

W koncepcji PiS Polska ma się stać przyczółkiem Ameryki w Europie. Ale Trump szanuje siłę i będzie się liczył przede wszystkim z mocarstwami.



w Waszyngtonie prezydent zdawał się go zapewniać, że do tego nie dojdzie. – *Polska, z uwagi na położenie i wojnę w sąsiedztwie, jest w nieco lepszej sytuacji niż Niemcy. I może uniknąć drastycznej redukcji obecnych tam wojsk amerykańskich* – mówi anonimowo ekspert militarny z waszyngtońskiego think tanku. – *Trzeba jednak pamiętać, że dążąc do szybkich oszczędności, Pete Hegseth (szef Pentagonu – przyp. red.) może ograniczyć siły rotacyjne, jak te w Polsce. Ich rozmieszczenie jest najbardziej kosztowne, a przeniesienie jest najłatwiejsze.*

Trudno też stwierdzić, czy rozmowy prezydenta Dudy ze swoim amerykańskim odpowiednikiem i z członkami jego teamu wpłynęły na politykę Waszyngtonu wobec Moskwy. Kiedy Trump zaczął w sieci narzekać, że „Władimir zwariował”, bombardując ukraińskie miasta, PiS sugerował, że to efekt perswazji prezydenta RP, by zaostrzył kurs wobec Putina, chociaż to samo robią od dawna przywódcy innych państw europejskich.

Trump w każdym razie nadal udaje, że nie wie, kto kogo zaatakował w tej wojnie, i porównuje ją do bójk przedszkolaków w piaskownicy. Nadal też nie pozwala Republikanom na uchwalenie ustawy

sugerują, że z Amerykaninem będzie rozmawiał również o Rosji, wojnie w Ukrainie, NATO i Europie. Jaka będzie jednak cena za wysłuchanie?

– *Może w podzięce za poparcie udzielone Nawrockiemu administracja Trumpa będzie oczekiwać, że stanie się np. przeszkodą dla wysiłków europejskiej koalicji chętnych?* – zastanawia się Dalibor Rohac. Chodzi o członków NATO najbardziej gotowych do wojskowej pomocy dla Ukrainy. To także symbol dążeń UE, by wobec wycofywania się Trumpa z Europy organizować wspólnie system obrony kontynentu przed Putinem.

Na spotkaniu z Amerykańską Izbą Handlową (AmCham) w Polsce 3 kwietnia Nawrocki powiedział, że jako prezydent będzie się starał, by Polska „pełniła w Unii Europejskiej rolę lidera relacji transatlantyckich”. Skrytykował następnie UE za „tendencje do budowania NATO bis”, powtarzając dawne pretensje republikańskiej prawicy w USA, że plany utworzenia europejskiej armii sprowadzają się do dublowania kompetencji Sojuszu Północnoatlantyckiego i do jego osłabiania.

Polski prezydent elekt oświadczył również w kwietniu, że będzie dążył do tego,

Kraj średnio ważny

PiS przyjmuje, że osłabienie albo rozpad UE leżą w interesie Polski, bo kraj nasz tym łatwiej stanie się partnerem USA pod kierownictwem Trumpa. W tej koncepcji Polska ma się stać przyczółkiem Ameryki w Europie – krajem faworyzowanym przez trumpistów, bo ultrakonserwatywnym, więc ratującym Zachód przed dekadencją i schyłkiem. Jeżeli politycy partii Kaczyńskiego rzeczywiście w to wierzą, okazują bezgraniczną naiwność. Dla Ameryki Polska była zawsze krajem średnio ważnym. Zbigniew Brzeziński powiedział nawet, trochę przesadnie, że dla USA jest sojusznikiem trzeciorzędny. Podkreślał, że znaczenie Polski dla Ameryki zależy od jej pozycji w Unii Europejskiej.

Trump, który ideologię traktuje czysto instrumentalnie, może Polskę lubić. Nie kieruje się jednak sentymentami ani poczuciem lojalności, lecz twardym interesem. Trump szanuje siłę i w Europie podzielonej między skonfliktowane ze sobą państwa będzie się liczył przede wszystkim z mocarstwami. Polska jest coraz zamożniejsza, ale daleko jej jeszcze do Niemiec. Nie posiada też – jak Francja i Wielka Brytania – broni atomowej. Trump za cztery lata odejdzie, a jego następca, nawet jeśli będzie nim Republikanin, raczej nie zmieni podejścia do Europy.

TOMASZ ZALEWSKI

Ordynator amator

Sekretarz **Robert F. Kennedy jr** chce uzdrowić otyłą i odurzoną Amerykę. Gorzej, że w tej krucjacie pogubiły się fakty i wiedza.



PAWEŁ WALEWSKI

Kiedy ogłaszał, że chce „Uczynić Amerykę znowu zdrową” (*Make America Healthy Again*, MAHA), wielu unosiło brwi. Członek legendarnej dynastii, znany lepiej z antyszczepionkowych krucjat niż z subtelności w debacie publicznej, w styczniu został sekretarzem zdrowia w rządzie Donalda Trumpa. Jego nominacja wywołała skrajne emocje: od entuzjazmu wśród zwolenników po panikę w kręgach naukowych.

71-letni Robert F. Kennedy jr, z wykształcenia prawnik, od dawna funkcjonuje w cieniu znanych przodków. Rozgłos zyskał jednak nie dzięki tradycyjnej polityce, ale kwestionowaniu badań naukowych – zarówno tych dotyczących szczepionek, pestycydów czy leków, jak i autyzmu oraz epidemii chorób zakaźnych. Stał się aktywistą walczącym z establishmentem.

W swoim programie MAHA obiecuje Amerykanom powrót do naturalnego zdrowia: mniej przetworzonej żywności, mniej chemii w wodzie i powietrzu,

więcej transparentności w instytucjach medycznych. W teorii brzmi to jak marzenie – przynajmniej dla każdego, kto kiedykolwiek zajrzał za kulisy polityki zdrowotnej, będącej w istocie siecią najsilniejszych powiązań i interesów.

W jego narracji dominują jednak tropy głoszone przez krzewicieli teorii spiskowych: szczepionki i żywność mają być pełne neurotoksyn, a czasopisma medyczne to narzędzia propagandy opłacane przez wielkie koncerny. W niedawnym wywiadzie powiedział: „Amerykanie nie ufają już swoim instytucjom zdrowotnym – i słusznie. Zostały one skorumpowane przez pieniądze”.

To przekonanie leży u podstaw polityki MAHA. Kennedy chce zrewidować cały system: od regulacji FDA (Food and Drug Administration, urzędu dopuszczającego na rynek leki, żywność i wyroby medyczne) po standardy publikacji naukowych. Niedawno zadeklarował: „Chcę, żeby każda publikacja w czasopiśmie medycznym była jawna pod względem finansowania, konfliktu interesów i recenzji”. Przy

czym RFK jr traktuje jako podejrzaną nawet renomowane pisma jak „Nature” czy „Lancet”.

Front walki z fluorem

Chce stworzyć „własne” nowe magazyny – dla tych naukowców, którzy wskażą otyłość, cukrzycę i choroby autoimmunologiczne jako dowód na „zatrucie” Ameryki przez korporacje spożywcze i farmaceutyczne. „Nasze dzieci są chore! 54 proc. z nich cierpi na choroby chroniczne. To nie przypadek, to systemowy kryzys” – przekonuje. I trudno nie przyznać mu racji. Amerykanie rzeczywiście zmagają się z epidemią otyłości (42 proc. dorosłych), cukrzycą typu 2 (37 mln przypadków) i rosnącą liczbą chorób autoimmunologicznych. Kennedy obwinia za to cukier, barwniki spożywcze, pestycydy i toksyny w środowisku, w tym fluor w wodzie pitnej, który nazywa trucizną.

Proponuje radykalne zmiany: od wycofania fluoru z wodociągów po reformę najważniejszych instytucji ustalających standardy i rekomendacje w sprawach

zdrowia. Wizja Kennedy'ego opiera się na założeniu, że system zdrowotny znalazł się w rękach przemysłu farmaceutycznego, co wśród naukowców wywołuje głównie frustrację. – *Kennedy ma talent do wskazywania realnych problemów, ale jego rozwiązywanie często są oparte na pseudonauce – mówi prof. Paul Offit, immunolog z Children's Hospital w Filadelfii, wynalazca szczepionki przeciwko rotawirusom. – Cukier i barwniki to problem, ale nazywanie fluoru trucizną to absurd, bo zmniejszył w USA próchnicę o 25 proc.*

Sprawa fluorowania wody pitnej to akurat dobry przykład działania Kennedy'ego: tworzy narrację i dobiera tylko takie argumenty, które ją wspierają, zamiast trzymać się faktów. Rzeczywiście w kwestii wzbogacania kranówki fluorem Amerykanie są zafocani, bo świat odszedł od tej praktyki już dawno na rzecz dodawania fluoru do past do zębów i innych wyrobów dentystycznych. Ale jeśli Kennedy nazywa ten pierwiastek „odpadem przemysłowym wywołującym zapalenia stawów, złamania kości, zaburzenia neurorozwojowe, choroby tarczycy i spadek IQ”, ustawia się w jednym szeregu z szarlatanami pseudonauki.

Firmowany przez Kennedy'ego raport MAHA na temat najmłodszego pokolenia zawiera wymyślone cytaty z prac naukowych, których nigdy nie napisano. Badający go dziennikarze sugerują, że wytknięte błędy są skutkiem wspierania się ChatGPT lub innym narzędziem sztucznej inteligencji. „Nie można na tej podstawie realizować polityki zdrowotnej, a nawet nie da się go użyć do żadnej poważnej dyskusji, ponieważ fakty zostały sfabrykowane” – zrecenzował dokument Georges C. Benjamin, dyrektor American Public Health Association. Kilkoro naukowców, których prace przytaczał Kennedy, odzegnało się od „swoich” cytatów, twierdząc, że nigdy czegoś takiego nie napisali.

Cofka odry

Największym cieniem na reputacji Kennedy'ego kładzie się jednak jego kruczata antyszczepionkowa. Od lat promuje teorię, że szczepionki – zwłaszcza przeciw odrze, śwince i różyczce (MMR) – powodują autyzm. Tyle że nauka mówi co innego. Od czasu niesławnego artykułu Andrew Wakefielda z 1998 r., który błędnie sugerował takie powiązanie (i został wycofany w 2010 r.), setki badań wykazały brak jakichkolwiek korelacji.

Społeczność naukowa jest zgodna: Kennedy ignoruje dowody, a jego narracja podważa zaufanie do medycyny. Znajduje jednak odbiorców, szczególnie wśród rodziców, którzy szukają odpowiedzi na złożone problemy zdrowotne swoich dzieci. Wyraża to, co wielu czuje: że nikt im nie mówi całej prawdy. W oświadczeniu Amerykańskiej Akademii Pediatrii czytamy: „Teorie RFK jr. są szkodliwe. Rodzice dzieci z autyzmem i tak zmagają się z poczuciem winy – podsycanie go przez rządowych urzędników to coś niewybaczalnego”.

To poczucie winy jest jednak Kennedy'emu potrzebne, by rozprawić się z Big Pharmą – spiskiem wielkich firm. Znana z produkcji szczepionek mRNA przeciwko covid firma Moderna właśnie straciła kontrakt wart 750 mln dol. na dokończenie prac nad podobną szczepionką przeciwko ptasiej grypie. Swoją drogą ciekawe, że kiedy Kennedy był przesłuchiwany zimą w Kongresie, utrzymywał, że nigdy nie stał po stronie przeciwników szczepionek mRNA ani też nie zasiewał niepewności w tym temacie. Choć jego wypowiedzi z ubiegłorocznej kampanii wyborczej nie uległy bynajmniej zatarciu, przekonywał senatorów, że są wyrwane z kontekstu, a on sam jest jedynie za bezpieczeństwem szczepień (kto nie jest?).

Wystarczyło kilka miesięcy, aby – już jako sekretarz zdrowia – bez porozumienia z ekspertami wydał decyzję o odwołaniu rekomendacji szczepionek przeciw covid dla dzieci i kobiet w ciąży. A w ubiegłym tygodniu odwołał wszystkich 17 członków rządowej komisji szczepionkowej.

Z kolei w lutym Teksas i Nowy Meksyk mierzyły się z falą zachorowań na odrę, chorobę niemal wyeliminowaną w USA dzięki szczepieniom. Zarejestrowano ponad 200 przypadków, głównie wśród nieszczepionych; zmarły dwie osoby – to pierwsze zgony w Stanach od 2015 r., po dekadzie bez ofiar śmiertelnych. Kennedy znalazł się pod presją. Zamiast jednak promować szczepienia, wezwał do przeglądu bezpieczeństwa stosowanej szczepionki i zasugerował, że toksyny w środowisku mogły osłabić odporność ludzi.

Wywołało to ostrą reakcję epidemiologów. – *Odra wróciła, bo ludzie nie szczepią dzieci, a Kennedy dolewa oliwy do ognia – twierdzi dr Amesh Adalja z Johns Hopkins University. Spadek wyszczepialności, napędzany dezinformacją, był bowiem główną przyczyną epidemii. Zamiast wspierać szczepionkę MMR – uznaną*

za złoty standard w walce z odrą – Kennedy promował alternatywne terapie. Klarytromycyna (antybiotyk na infekcje bakteryjne) i budezonid (lek na astmę) miały według niego przynosić zadziwiające rezultaty w leczeniu infekcji wirusowej. Także olej z wątroby dorsza, bogaty w witaminę A, był wychwalany jako remedium.

W społecznościach, gdzie nieufność wobec szczepień jest już głęboko zakorzeniona, Kennedy znalazł sojuszników w parze lekarzy Richarda Bartletta i Bena Edwardsa, wyklętych przez „mainstreamową” medycynę. Ich praktyki, wolne od szczepionek i oparte na naturopatiach, są dla Kennedy'ego dowodem na „innowacyjność”. Tyle że, jak alarmują inni, takie podejście nie tylko osłabia zaufanie do nauki, ale też może prowadzić do tragicznych konsekwencji, zwłaszcza w obliczu choroby, której można zapobiec.

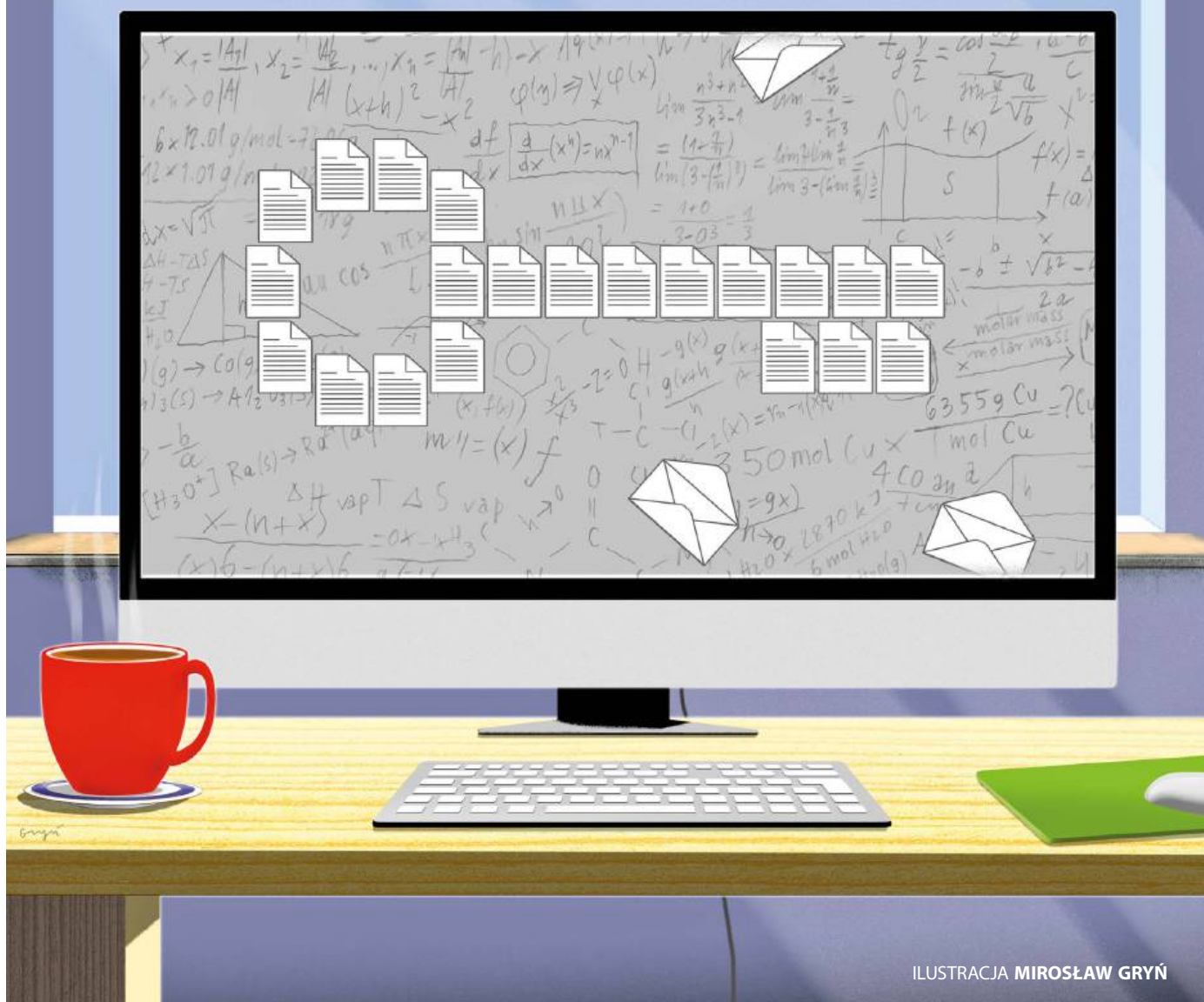
Rewolucja przez zamieszanie

Kennedy ma talent do wyłapywania bolączek systemu – korupcja w instytucjach, wpływy korporacji, kryzys zdrowia publicznego. Jego propozycje, jak reforma systemu zatwierdzania leków czy walka z przetworzoną żywnością, trafiają do wielu Amerykanów, którzy czują się zdradzeni przez elity. Problem w tym, że ich skuteczność budzi wątpliwości. MAHA może inspirować, ale bez rygoru naukowego i współpracy z ekspertami może zostać pustym hasłem. Nawet krytycy Kennedy'ego przyznają, że poruszanie tematu przetworzonej żywności i jej wpływu na zdrowie w kontekście chciwości korporacji jest istotne. Ale idą za tym metody, które bazują na przesłankach wyssanych z palca.

W amerykańskim pejzażu politycznym Kennedy jr porównywany jest do Elona Muska, który do niedawna siał zamęt w administracji Trumpa. Obydwaj z upodobaniem podważają status quo i mają tendencję do radykalnych uproszczeń. Mają wiele charyzmy, wizję i skłonność do kontrowersji. Obaj uwielbiają robić show.

Jak zauważa komentator „The New Yorker”, zdrowie publiczne wymaga nudnej pracy, danych i kompromisów. A Kennedy jr stawia na emocje, osobiste świadectwa i odwołania do zdrowego rozsądku, które często stoją w sprzeczności z ustaleniami nauki. Polaryzacja społeczeństwa rośnie także w dziedzinie zdrowia. Niektórzy nazywają to nową epidemią: wirusem nieufności. I on, niestety, też może odbić się na zdrowiu. ■

Cyfrowe archiwum X



P

Dlaczego uczeni zaczynają dzień od wizyty na platformie arXiv, a wydawcy czasopism naukowych zgrzytają zębami.

Pierwsza wiadomość wpadła do skrzynki pocztowej hep-th@xxx.lanl.gov w środę 14 sierpnia 1991 r. Program zainstalowany na komputerze NeXT, produkcie Steve'a Jobsa, przesłał ją do odbiorców zajmujących się fizyką cząstek wysokich energii. Jego twórca Paul Ginsparg z Los Alamos – laboratorium, w którym pół wieku wcześniej zbudowano bombę atomową – w ten sposób zapisał się na kartach historii.

Fizyk omija kolejkę

Naukowa codzienność zwykle wygląda tak: uczeni rozwiązują problem, wyniki przedstawiają w preprincie i posyłają do branżowego czasopisma. Preprinty to teksty przed publikacją, które trafiają do recenzentów, a ci decydują o ich losach. Bywa, że konieczne są poprawki. Droga do publikacji ma swoją dynamikę – trzeba stanąć w kolejce, uszanować cykl wydawniczy. Autorom jednak zależy na szybkim ogłoszeniu wyników. Czy zamiast przechodzić przez ucho igielne, mogą je obejść?

Zanim Ginsparg zrobił doktorat z fizyki na Uniwersytecie Cornell, studiował na Harvardzie (kolegą z ławki był Bill Gates). Tam w 1973 r. pierwszy raz skorzystał z poczty elektronicznej, cztery lata po debiucie usługi w sieci ARPANET (z której wyłonił się internet). W 1987 r. wraz z dwoma współpracownikami zamieścił adresy e-mailowe w publikacji, inicjując nowy trend. Środowisko naukowe dostrzegło potencjał nowego kanału komunikacji – fotokopie preprintów rozsyłane e-mailem stawały się coraz popularniejsze.

Podczas konferencji fizyków w Colorado w 1991 r. Ginsparg usłyszał od Joanne Cohn, która nadzorowała listę e-maili specjalistów od teorii strun, że wysyłanie preprintów pocztą internetową to zajęcie czasochłonne. Ktoś inny zwrócił uwagę, że duża liczba wiadomości zapycha skrzynkę, gdy odbiorca jest w podróży. Poza tym preprinty krążyły zwykle tylko w gronie znajomych. Już następnego dnia Ginsparg pokazał pierwszą wersję programu do automatycznego wysyłania wiadomości.

Prowizorka się utrwała

Należący do laboratorium Los Alamos komputer pod adresem xxx.lanl.gov działał jako zautomatyzowany serwer poczty elektronicznej, dostarczając teksty na żądanie, potem także jako serwer FTP. Umożliwiał przesyłanie i pobieranie artykułów naukowych, wyszukiwanie autora czy tytułu. Pierwotnie pliki miały być kasowane po trzech miesiącach, gdy publikacje wychodziły drukiem, jednak użytkownicy, widząc wartość cyfrowych zasobów, zgłosili sprzeciw. Ginsparg dał się przekonać.

Ośrodki akademickie tworzyły szkielet ówczesnego internetu. Z potrzeby wygodnego udostępniania informacji Tim Berners-Lee z CERN stworzył sieć WWW. Ginsparg dostrzegł potencjał tego wynalazku i po pojawieniu się pierwszej przeglądarki Mosaic w 1993 r. stworzył interfejs sieciowy do bazy tekstów. Rok później, dzięki grantowi z National Science Foundation, zatrudnił programistów do przepisania kodu na język Perl.

Platforma zyskała na popularności za sprawą nazwisk takich jak Edward Witten, jedyny fizyk z Medalem Fieldsa („matematycznym Noblem”), autor prac o teorii superstrun, cieszący się opinią najinteligentniejszego człowieka na świecie. W 1998 r. repozytorium przemianowano na arXiv.org. Nietypowa nazwa to efekt burzy mózgów, jaką Ginsparg przeprowadził z żoną. Fonetycznie brzmi jak angielskie *archive* (archiwum). X symbolizuje grecką literę chi.

Do Los Alamos National Laboratory Ginsparg trafił z Harvardu, który nie gwarantował mu stałej posady. Czuł się dobrze w Nowym Meksyku, ale dorastająca córka szukała dobrej uczelni. W 2001 r. przeniósł się więc na Uniwersytet Cornell, zabierając arXiv ze sobą.

Informatyka bije matematykę

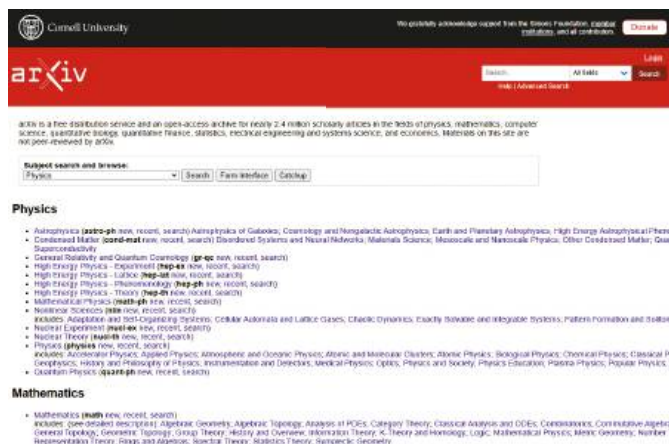
W odróżnieniu od naukowych periodyków arXiv nie zleca tekstów do recenzji. Jest zasobem otwartego dostępu. Jego celem jest szybkie rozpowszechnianie badań poprzez publikację nadesłanych preprintów (e-printy), zapewnienie równego dostępu do informacji i zabezpieczenie praw do odkryć. „Nic nie istnieje w izolacji. Badania są coraz bardziej powiązaniem przedsięwzięciem, czy to poprzez udostępnianie danych, współpracę między instytucjami, czy przekraczanie granic interdyscyplinarnego myślenia. Zadaniem arXiv jest łączenie kropek” – czytamy w manifestie.

Drugim impulsem dla powstania arXiv były problemy z dostępnością wyników badań. Publikacja prac to biznes – sprzedaż dostępu do zrecenzowanych tekstów. Celem Ginsparga była demokratyzacja – bezpłatne repozytorium. Skorzystali na tym chociażby fizycy z krajów mniej rozwiniętych. Ginsparg wciąż otrzymuje wiadomości, że jego system zapewnia im większą pomoc niż jakakolwiek organizacja międzynarodowa.

Łatwość współpracy znajduje odzwierciedlenie we wzroście średniej liczby autorów przypadających na artykuł (częściowo to także efekt technologii umożliwiających zdalną pracę zespołową). Poza usuwaniem barier finansowych, geograficznych czy instytucjonalnych Ginspargowi na sercu leżą kwestie takie jak np. ułatwienia dla badaczy z niepełnosprawnościami (co było przedmiotem wewnętrznych badań arXiv).

W repozytorium jest dziś ponad 2,7 mln tekstów z dziewięciu dyscyplin podzielonych na 153 kategorie. Pierwotnie dotyczyły tylko fizyki, z czasem ekonomii, informatyki, elektrotechniki i nauki o systemach, matematyki, biologii ilościowej, finansów i statystyki. Ostatnie miesiące były rekordy aktywności: ponad 24 tys. preprintów w październiku 2024 r. i marcu tego roku (ponadprzeciętną aktywność odnotowano już w czasie pandemii). Od 2018 r. na lidera pod względem liczebności preprintów wysorowała się informatyka (*computer science*), wyprzedzając matematykę z czterokrotnie wyższą liczbą tekstów: połowa dotyczy uczenia maszynowego, rozpoznawania obrazów oraz analizy języka.

Każdego miesiąca w arXiv pojawia się średnio 17 tys. e-printów, pobieranych jest niemal 50 mln dokumentów (od początku istnienia bazy – ponad 3 mld). Odwiedzana nawet 200 tys. ►



Strona arXiv ma archaiczny wygląd z lat 90., ale naukowców to nie zraża. W repozytorium jest dziś ponad 2,7 mln tekstów. Każdego miesiąca z arXiv pobieranych jest niemal 50 mln dokumentów.

► razy na godzinę witryna ma ponad 5 mln aktywnych użytkowników. Nie tylko nadsyłają lub pobierają treści, lecz także komentują wyniki badań. To głos tej społeczności tworzy unikalną wartość. „Teleskop może zaobserwować zjawisko w piątek. Do poniedziałku na arXiv pojawiają się już artykuły go omawiające. A do wtorku mogą się ukazać artykuły podważające ustalenia z poniedziałku” – tak w rozmowie z „Scientific American” tłumaczy zalety szybkiego udostępniania wyników astrofizyki Steinn Sigurdsson, dyrektor naukowy arXiv od 2017 r. Burzliwego życia wewnętrznego nie zdradza oszczędna estetyka platformy. Takie zabytki trudno już spotkać – witryna arXiv.org wygląda jak rodem z lat 90., a oparta jest na rozwiązaniach programistycznych z poprzedniej epoki i autorskich pomysłach Ginsparga. On sam przyznaje, że jego styl pracy, ukształtowany w latach 60., nie był zgodny ze współczesnymi standardami, choćby tymi dotyczącymi dokumentacji kodu.

Od 2023 r. arXiv się przepoczwarza, wdraża nowy model zarządzania. Formalnie to mała organizacja, dwa tuziny członków personelu, nieco więcej w radzie doradczej. Treści niegdyś dostępne w plikach PDF są przetwarzane na wygodny format HTML, co ułatwia lekturę na komórkach (istotne przy tekstach naszpikowanych równaniami). 10 mln dol. dofinansowania od Simons Foundation i National Science Foundation umożliwiło migrację usług do chmury Google.

Moderatorzy, łąście się!

Platforma arXiv nie recenzuje tekstów, podlegają one jednak moderacji. Jest konieczna, aby nie publikować treści pseudonaukowych czy prezentujących „teorie wszystkiego”. Zmienił się sposób weryfikacji autorów. Niegdyś wystarczyła afiliacja akademicka, teraz zweryfikowany użytkownik ręczy za nowego autora.

Rosnąca liczba publikacji jest wyzwaniem dla moderatorów. Pojawiają się obawy o jakość, przybywa tekstów pisanych przy pomocy modeli językowych (LLM), co zdradza styl pisania abstraktów. W zespole ok. 200 moderatorów są ochotnicy, eksperci ze stopniami naukowymi zatwierdzani przez komitety doradcze ze swoich obszarów. Oceniają treść i kategorię zgłoszenia zgodnie z polityką arXiv. Do wstępnej selekcji używają sztucznej

inteligencji (to na tej platformie pojawiły się zresztą przełomowe teksty, jak „Attention Is All You Need” z 2017 r., wprowadzający nową architekturę modelu AI nazwaną transformerem).

Sita moderacji nie są doskonałe, ale błędy można szybko wyłapać. Otwarta natura platformy umożliwiła zarówno rygorystyczną kontrolę ze strony ekspertów, jak i natychmiastowe komentarze członków społeczności. Zgodnie z głównym imperatywem arXiv nauka sama się koryguje. Krytycy zarzucają polityce moderacji brak przejrzystości, zarzuty dotyczą także pochodzenia moderatorów: dwóch na trzech jest z USA, 90 proc. reprezentuje 10 krajów, głównie anglosaskich i europejskich. Tylko 13 proc. to kobiety.

W tle jest jeszcze kwestia reprezentacji ideologicznej i indywidualnych preferencji. Moderatorzy, podobnie jak redaktorzy czasopism, mają władzę decydowania o tym, które teorie zostaną opublikowane. W arXiv 6 proc. zgłoszeń zostaje wstrzymanych, 2 proc. – odrzuconych. Magazyny takie jak „Nature” czy „Science” akceptują mniej niż 10 proc. nadesłanych artykułów.

W 2021 r. „Nature” uznał arXiv za jeden z „10 kodów komputerowych, które zmieniły naukę”, podkreślając jego wkład we współpracę naukową. Powstały też platformy bioRxiv (profil biologiczny), ChemRxiv.org (chemiczny) czy medRxiv (medyczny). To na tej ostatniej pojawiały się preprinty z pierwszymi wynikami badań nad szczepionką na covid. Jako że system recenzji w tradycyjnych periodykach jest przeciążony, uznani naukowcy gotowi są korzystać wyłącznie z e-printów. Zasadnicza rola czasopism jednak się nie zmieniła, wciąż pozostają wyznacznikiem statusu publikacji. Odgrywają dużą rolę w ocenie osiągnięć badaczy na wczesnym etapie kariery.

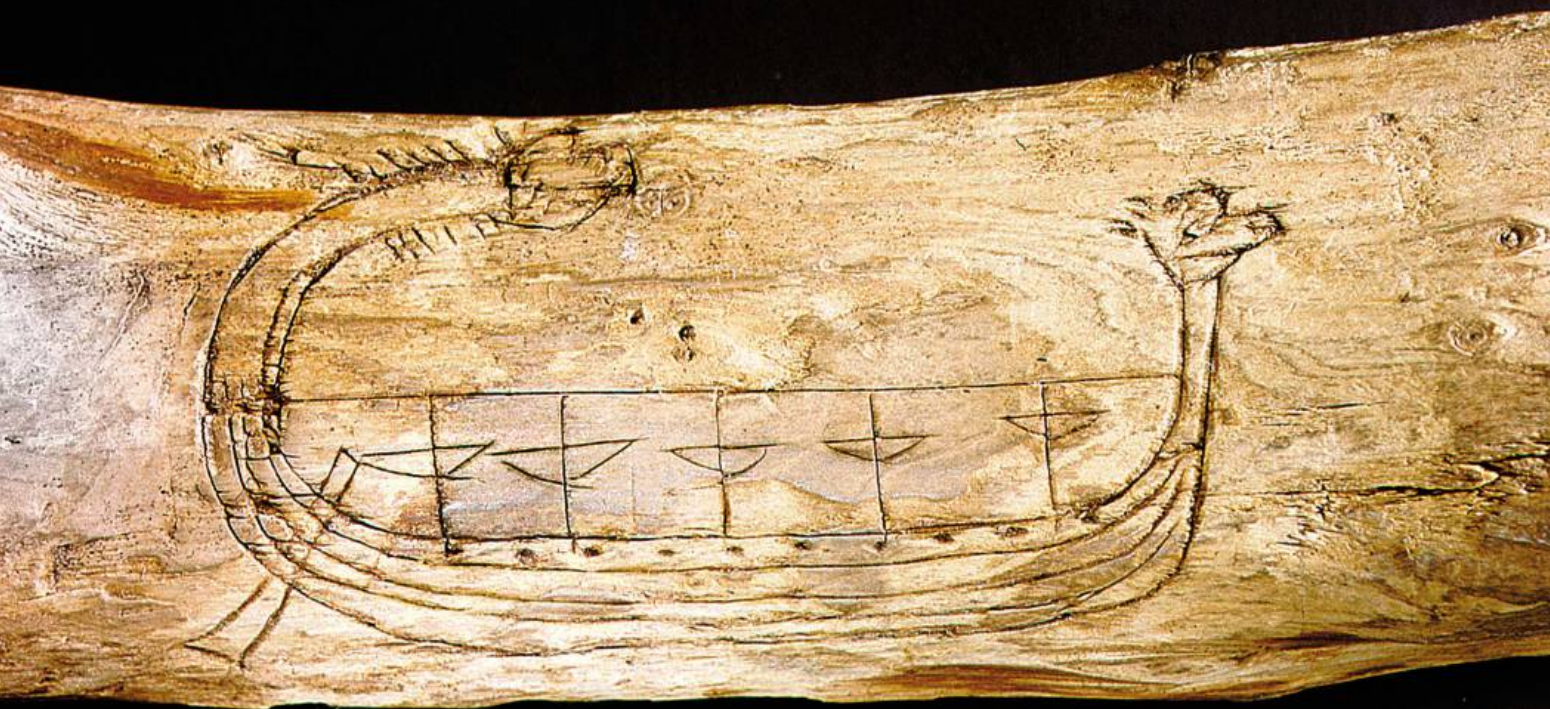
Platformą arXiv zarządza obecnie ośrodek badawczy Cornell Tech. Funkcję dyrektora pełni od 2017 r. Ramin Zabih, profesor informatyki. Platformę wspierają też cenione instytucje badawcze, sponsoruje Google i Microsoft. Wszystkie nazwy, nazwiska, liczby i statystyki są jawne.

Dzieciak w salonie

O znaczeniu i sukcesie arXiv dla naukowej społeczności świadczą imponujące statystyki. Zdaniem Ginsparga projekt jest wciąż „niesamowicie zabawny” i daje możliwość testowania pomysłów. Twórca i tworzywo stanowią tu dziś jedno. Bez osobowości Ginsparga, jego talentu do omijania raf, arXiv nie przetrwałby trudności – począwszy od przestarzałej infrastruktury technicznej, konfliktów wewnątrz organizacji, zdobywania finansowania, po krytykę ze strony grup interesów ochraniających tradycyjny model wydawnictw naukowych. O znaczeniu arXiv dla świata nauki przesądziła również decyzja Ginsparga, aby autorzy podpisywali klauzulę, która przyznawała repozytorium niewyłączną licencję na wieczystą dystrybucję tekstów, także w przypadku przyszłej publikacji w innym miejscu. „To miała być trzygodzinna wycieczka, a jest dożywocie” – komentuje w swoim stylu założyciel.

Determinacja czy raczej ambicja Ginsparga nie zawsze jednak służyła wspólnemu interesowi. Dał się poznać jako człowiek, który uważa, że coś jest wystarczająco dobre tylko wtedy, gdy robi to sam. Mimo prób odsunięcia się od codziennego zarządzania ciągle wracał na posterunek. Technologia platformy zbyt mocno zależała od know-how twórcy. Padły zarzuty, że to fortel umożliwiający mu ingerencję w bieżące sprawy. „ArXiv jest „dzieckiem, które wysłałem na studia, ale które ciągle wraca, by koczować w moim salonie i źle się zachowywać” – powiedział.

MAREK ŚCIBIOR



Katorga wikinga

Gałąź z wizerunkami
wikińskich łodzi z XIII w.

Jak naprawdę wyglądały podróże legendarnych morskich najeźdźców?
Badacze sięgają do skandynawskich mitów, tekstów i archeologii. Również tej doświadczalnej.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Maj, północne wybrzeże Norwegii, deszcz ze śniegiem. Wąska łódź z jednym żaglem sunie wzdłuż poszarpanego wybrzeża, szukając schronienia. Na pokładzie nie ma ani długobrodych wojów z toporami, ani bogatych łupów, są za to archeolodzy, etnologzy, lokalni rybacy – wszyscy oni starają się odtworzyć realia wikińskiej żeglugi. 11 studentów, dwóch doświadczonych skipperów i jeden badacz płyną od Rissy do Lofotów na tradycyjnej łodzi typu *fembøring*, zbudowanej dawnymi metodami. Nie mają silnika, poruszają się dzięki sile wiatru. Prowadzą dzienniki pokładowe, rejestrują trasę i dokumentują wszystko: od stanu zawilgotnienia żagli po nastroje załogi. To część projektu, który archeolog Greer Jarrett z uniwersytetu w Lundzie prowadził ►



Głowa gryfa zdobiąca dziób IX-wiecznej łodzi z Oseberg

► przez trzy lata, mającego odpowiedzieć na jedno pozornie proste pytanie – jak wyglądały wyprawy morskie Skandynawów? Wbrew pozorom nie wiemy tego dobrze.

Każdy musiał wiosłować

Epokę wikingów słusznie kojarzymy z morzem. Skandynawia ma wyjątkowo długą linię brzegową, a mieszkańcy Północy zbudowali cywilizację opartą na wodzie, tej przybrzeżnej, śródlądowej i morskiej. To właśnie dzięki statkom nordyccy wojownicy, kupcy, osadnicy i podróżnicy mogli nie tylko plądrować klasztory, ale też tworzyć rozległą sieć kontaktów handlowych. Słynne langskipy – smukłe okręty wojenne o płaskim

wiedzeni dumą Skandynawowie wyryli na ścianach bizantyjskiej Hagii Sophii, czy odnaleziona w Bergen gałąź jałowca z XIII-wiecznymi wizerunkami 48 langskipów o wydłużonych liniach kadłubów, dziobach ze zdobieniami oraz z rzędami pionowych linii masztów lub wiosł. Jest tam też runiczny podpis – *Hér ferr hafðjarfr*, co można przełożyć jako „Oto wilki morskie”.

Te wilki nie miały łatwo, zauważa brytyjska mediewistka Eleanor Rosamund Barraclough w wydanej właśnie po polsku książce „Nieznane oblicze wikingów. Zapomniane opowieści nordyckiego świata”. Co prawda północne sagi ukazują podróż morską jako domenę elity, ale rzeczywistość była bardziej przyziemna

łatwo przyszło im ruszyć wzdłuż Dniepru i Wołgi na południe.

Podróże morskie były głęboko zakorzenione w kulturze skandynawskiej, stawały się symbol wolności i sposób na zdobycie sławy. Dlatego już dzieci marzyły, by zostać żeglarzami, o czym świadczy mierząca 37 cm łódź z Dublina – może zabawka albo pomoc edukacyjna, zastanawia się Barraclough w „Nieznanych obliczach wikingów”. Jednak pływanie było wyczerpujące i niebezpieczne. Langskipy nie miały kajut. Załogi przemakały w deszczu, smażyły się w słońcu, a gdy dopadł je sztorm, modliły się o życie. W ich pieśniach pobrzmiewa irytacja, fizyczne wycieńczenie, chociażby od wiosłowania pod wiatr przy marnej pogodzie.

Skandynawowie potrafili odnaleźć drogę przez otwarte morza bez kompasu – dzięki zmysłom, doświadczeniu i zbiorowej pamięci. Przy pochmurnym niebie wykorzystywali „kamień słoneczny”, zapewne kalcyt, który działał jak prymitywny filtr polaryzacyjny pozwalający zlokalizować pozycję kryjącego się za chmurami słońca. Obserwowali też barwę i zasolenie wody oraz fale. Z sag wiemy, że wypuszczano z pokładu ptaki, które leciały w stronę lądu. Korzystano też z *méd*, czyli punktów orientacyjnych widocznych z morza, których położenie zapamiętywano i przekazywano z pokolenia na pokolenie.

Nadal jednak nie bardzo wiadomo, jak wyglądały rejsy morskie, jak Skandynawowie planowali trasy i gdzie się zatrzymywali. Greer Jarrett postanowił odpowiedzieć na te pytania, przeprowadzając 15 rejsów testowych i dwie długodystansowe wyprawy łodziami o tradycyjnej norweskiej konstrukcji, opartej na wikińskim dziedzictwie. Pływano zarówno na większych jednostkach (*fembøring*, ok. 13 m długości), jak i mniejszych (*fyring*, ok. 9 m), w warunkach silnego wiatru.

Nie była to romantyczna żegluga. W maju i czerwcu często podróżowano w deszczu, śniegu, mgłę. By przetrwać nocne odcinki, trzeba było dzielić załogę na wachty, a wybór przystani decydował nieraz o zdrowiu i życiu. Dokumentowano i mierzono wszystko: czas przelotu, trudności w manewrowaniu, wybór miejsc cumowania, narastające zmęczenie, błędy nawigacyjne, reakcje w chwilach napięcia. Wszystko po to, by poczuć się jak Skandynawowie epoki wikingów, by zrozumieć ich sposób żeglowania oraz decyzje.



Runiczny napis „Tu był Harvald” na ścianie Hagii Sophii w Stambule

dnie i wysokich burtach z zachodzących na siebie desek – budziły podziw. Ich rzeźbione dzioby często ozdabiano smoczymi głowami, które miały odstraszać złe moce i przeciwników.

Wiedzę o budowie langskipów zawdzięczamy nie tylko znaleziskom wraków, takim jak łódź z Gokstadu, w której złożono ciało dostojnika wraz z dobytkiem, czy sześć innych, zatopionych dla wzmocnienia linii obrony w XI w. w fiordzie Roskilde. Archeolodzy eksperymentatorzy z muzeum w Roskilde zrekonstruowali kilka tych łodzi, wykorzystując tradycyjne techniki epoki wikingów: użyli drewna dębowego i sosnowego, deski mocowali klinami, a połączenia uszczelniali smołą i wełną. Repliki pozwoliły przetestować wydajność, manewrowość i wytrzymałość jednostek na wodzie, potwierdzając, że były one nie tylko szybkie i zwrotne, ale też odporne na sztormy i zdolne do podróży oceanicznych.

Badaczom w rekonstrukcjach pomagała też ikonografia, np. kilka przedstawień okrętów, które z tęsknoty za domem albo

– żegluga wymagała licznej załogi, w której każdy musiał wiosłować, nawigować, łatać uszkodzenia i stawiać żagle. O tym, że na pokładach byli także zwykli ludzie, świadczy choćby obrys stopy młodego człowieka na desce z Bergen – być może znużonego podróżą członka załogi albo i pasażera. Bo pływali nie tylko wojownicy i handlarze, lecz także kobiety i dzieci. Ponieważ na wyprawy na Islandię czy Grenlandię zabierano całe rodziny i bydło, statki stawały się domami osadników, wcieloną ideą wspólnego trwania w ruchu, zauważa Barraclough.

Pieśni wycieńczonych

Skandynawowie dotarli na zachodzie aż do Nowej Fundlandii, a na wchodzie – do Bagdadu i Bizancjum. Na ich żeglugowej mapie były Dublin, York, Nowogród, Kijów i osada L'Anse aux Meadows (na dzisiejszej Nowej Fundlandii), którą zamieszkiwali już w 1021 r. Na rzekach radzili sobie równie dobrze jak na morzach, dlatego po założeniu wokół Bałtyku faktorii takich jak Wolin, Kołobrzeg czy Truso,



Łódź z Gokstadu z IX w., w której złożono ciało dostojnika wraz z dobytkiem

Jarrett przeanalizował pół tysiąca kilometrów trasy wzdłuż norweskiego wybrzeża, łącząc dane z cyfrowych modeli topografii, uwzględniających m.in. zmiany poziomu morza z IX–XIII w., z obserwacjami własnymi z pokładu. Pozwoliło to na stwierdzenie, że załogi wikingów wybierały przystanie (*havens*) między otwartym morzem a fiordami o zmiennych wiatrach i silnych prądach. Badacz wyróżnił cztery takie lokalizacje: Smørhamn, archipelag Sørøyane, Tarva oraz okolice wysp Kråkvåg i Storfosna, które zapewniały ochronę przed falami i wiatrem, umożliwiały łatwe zejście na ląd, dawały dostęp do drewna, słodkiej wody i dzicyzny.

Żeglarze odnajdywali te schronienia, kierując się dźwiękami ptaków, kierunkiem wiatru czy zapachem słodkiej wody niesionym znad lądu. Jarrett pisze, że używali „nawigacji sensorycznej” opartej na zapamiętywanych wrażeniach ciała, nawigowali „po znakach” – skale, wyspie – a w nocy i we mgle orientowali się po dźwiękach i *méd*. Bo przystanie wybierano też ze względu na mieszkających

tam ludzi, którzy mogli pomóc, nakarmić, ostrzec. Co ciekawe, ich sieć nie odpowiadała średniowiecznym centrom handlowym i władzy, ale naturalnym miejscom odpoczynku – często niewidocznym na mapach.

Przetrwąć, dotrzeć, wrócić

Miejsca postoju wybierano więc na podstawie wiedzy środowiskowej i wspólnotowej, ale też – sugeruje Barraclough – opierano się na przekazach. Bo Skandynawowie często opowiadali o podróżowaniu, łodziach, które były przedłużeniem ich tożsamości – domem, miejscem pracy, transportu, śmierci. Kultura nordycka pełna jest kenningów (poetyckich zagadek), w których morze to „ścieżka foki”, a złoto to „zar tłący się w dłoniach”. Jednak wyniki badań Jarretta wskazują, że ich podróże były krótsze i bardziej przerywane, niż sądzono. Zamiast spektakularnych przelotów przez morze, uprawiano raczej mozolną żeglugę wzdłuż brzegu.

Dzisiejsze technologie – cyfrowe modele czy dane GPS – pozwalają zbliżyć się

do intuicyjnej wiedzy żeglarzy czasów wikingów. To, co kiedyś było nawigacją opartą na słońcu, falach, zapachu oraz intuicji, dziś rekonstruuje się piksel po pikselu. Ale sens pozostaje ten sam: przetrwać, dotrzeć, wrócić.

Narracja o wikingach długo była pełna patosu, silnych mężczyzn, potężnych statków, wielkich odległości. Tymczasem byli to zwykli ludzie, którzy przedzierali się przez fiordy, czasem dla handlu, czasem dla przetrwania. Nie każdy rejs kończył się sukcesem. Nie każda wyprawa była zapamiętana. Na pewno jednak każda była wpisana w pejzaż i wspólną pamięć pokoleń.

Wiedza, która wypływa z zestawienia eksperymentalnej archeologii z narracją o dawnej codzienności, pozwala lepiej zrozumieć, jak naprawdę wyglądało podróżowanie. Jarrett i Barraclough pokazują, że prawdziwa siła Skandynawów tkwiła nie w podbojach, lecz w ich zdolności do przystosowania się. Do życia w ruchu, na wodzie, w niepewności.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

Grand, wówczas jeszcze
Kasino Hotel, w 1941 r.



Grand w Grandzie

Nie ma nad polskim Bałtykiem drugiego hotelu o tak bogatej przeszłości. Podczas ostatniej kampanii wyborczej sopocki Grand przebił się na czołówki mediów.

RYSZARDA SOCHA

Prezydent elekt Karol Nawrocki w czasie studiów pracował tu jako ochroniarz i – wedle doniesień portalu Onet – miał dostarczać na zamówienie gości prostytutki do pokoi. Jako kandydat na prezydenta nie próbował wyjaśnić sprawy w sądzie w trybie wyborczym. Zdecydował się na pozew cywilny o ochronę dóbr osobistych oraz prywatny akt oskarżenia z art. 212 Kodeksu karnego. Na rozstrzygnięcie przyjdzie więc poczekać. Dziennikarze Onetu zapewniają, że mają wiarygodnych świadków, którzy złożą zeznania potwierdzające ich przekaz.

Hotelowe mury przez blisko sto lat niejedno widziały. Ale są świadkiem dyskretnym, bo niemy. Pierwotnie Grand, zbudowany w latach 1924–27, nosił nazwę Kasino Hotel. Choć długo nie było tu stołów do ruletki czy bakarat. Z hazardu pochodziły pieniądze, za które obiekt zbudowano. No i miał służyć zamożnym, najbardziej wymagającym amatorom tego typu uciech. Kasino – jedyne wówczas działające legalnie w tej części Europy – mieściło się w jednym ze skrzydeł Kurhausu, czyli Domu Zdrojowego. Uruchomili je w 1919 r. dwaj biznesmeni z Berlina. Sopot zyskał miano „Monte Carlo Północy”.

Dziecko szulerni

Kasyno oznaczało duże wpływy do budżetu gminy Sopot, położonej w granicach Wolnego Miasta Gdańska. To od niej założyciele kasyna wynajęli sale w Kurhausie. Z czasem też gmina poprzez spółkę, w której miała większość udziałów, przejęła za wysokim



Hanka Bielicka rozdaje autografy przed hotelem podczas Festiwalu Piosenki w Sopocie, 1963 r. Poniżej: słynne pisuary z Grandu pokazano w filmie „Sztos”.



odszkodowaniem kontrolę nad hazardowym biznesem. Dzięki niemu mogła zrealizować liczne inwestycje, w tym Kasino Hotel, otwarty w 1927 r.

To po trosze historia o tym, że pieniądź nie śmierdzi. Wraz z kasynem pojawiły się doniesienia o przegranych majątkach, zawodowych oszustach, także wśród personelu kasyna, o defraudantach przepuszczających kasę zagarniętą w firmach i urzędach, o desperatach, którzy splukani wieszali się w usytuowanej nieopodal „alei wisielców” albo rzucali się do morza z „kładki samobójców”. Historycy Karolina Babicz-Kaczmarek i Jan Daniluk, autorzy katalogu wystawy „Kasyno w Sopocie (1919–1944)”, radzą te opowieści włożyć między bajki. Przyznają, że przegrane były przyczynami tragedii ludzkich, ale niekoniecznie na jakąś wyjątkową skalę. No i jeśli już, to ofiary częściej odbierały sobie życie w pokojach hotelowych – wieszając się lub strzelając z broni palnej, ewentualnie rzucały się pod nadjeżdżający pociąg.

Kasyno otaczała zła sława, dezaprobata Sejmu Gdańskiego, protesty różnych organizacji, które domagały się zamknięcia

„szulerni”. Wątpliwości towarzyszyły też budowie hotelu. Poprzedził ją konkurs architektoniczny. Choć wpłynęło ponad 50 projektów, finalnie zrealizowano propozycję Ottona Kloeppela, profesora gdańskiej Technische Hochschule – nienagrodzoną (zasady konkursu na to pozwalały) i, co gorsza, bardzo podobną do Grand Hotelu w Szczawinie-Zdroju wzniesionego wcześniej na zamówienie Jana Henryka XV Hochberga i jego żony Daisy von Pless (obecnie Dom Zdrojowy).

„Największy i najbardziej elegancki hotel północnej Europy” – tak prezentował Kasino Hotel nadburmistrz Sopotu Erich Laue podczas uroczystego otwarcia. Wydany w 1928 r. almanach pomaga wyobraźni: kryształowe żyrandole, meble obite gobelinową tkaniną, ogromna sala restauracyjna z wielopiętrowym zimnym bufetem pośrodku, na tarasach białe meble, przed gmachem od strony zatoki kolisty parkiet taneczny, własna plaża. Pokój kosztował tu dwa razy więcej niż w innych dobrych hotelach. Jedną z reklamowanych atrakcji były zainstalowane w łazienkach kurki z wodą słodką i morską – kto chciał, mógł zażyć morskiej kąpieli, nie wychodząc z pokoju. Jednak w pierwotnej wersji własne łazienki miała tylko jedna trzecia pokoi. Te najlepsze znajdowały się na pierwszym i drugim piętrze, z oknami na zatokę. Pokoje od ulicy oraz całe trzecie piętro miały do dyspozycji wspólne łazienki na korytarzach.

Nowy obiekt podniósł rangę Sopotu. Wzrosła liczba gości odwiedzających kurort. Nadburmistrzowi Laue, autorowi sukcesu, już po odejściu na emeryturę zarzucono jednak nadużycia finansowe przy budowie. Podobno nigdy nie został formalnie oskarżony i aresztowany. Zmarł w 1933 r. w szpitalu w Poczdamie po przedawkowaniu weronalu. Część gazet zrobiła z tego sensację. Z czasem powstała na tej kanwie opowieść o skazaniu za defraudację i samobójstwie popełnionym w więzieniu. Nieprawdziwa. Stosunkowo niedawno zweryfikował ją Rajmund Głembin, współautor „Pocztu Ojców Miasta Sopotu”.

Powiew wolnego świata

Wojenna zawierucha oszczędziła Sopot, nie licząc wyjątków, jak spalony Kurhaus. Sąsiadujący z nim Kasino Hotel przetrwał nienaruszony. Może dzięki temu, że wiosną 1945 r. ulokowało się w nim dowództwo zwycięskich oddziałów Armii Czerwonej. Monika Żeromska, córka Stefana, która tuż po wojnie mieszkała wraz z matką w Sopocie, zobaczyła kiedyś z molo wywleczone na skraj zatoki skórzane fotele. W nich sowieckich żołnierzy, którzy moczyli nogi i strzelali do mew. Ot, chichot historii. We wrześniu 1939 r. w tym samym gmachu rezydował Adolf Hitler. Kto wie, może nawet korzystał z tych samych foteli. Na pewno spędził tu noc z 19 na 20 września. Ale są też relacje, że miał tu kwatery od 19 do 25 września. W archiwum we Freiburgu zachował się rachunek za jego pobyt.

Według Marzenny Górskiej-Karpińskiej, autorki monografii poświęconej hotelowi, nazwa Grand Hotel Sopot pojawiła się po raz pierwszy w sierpniu 1946 r. w umowie dzierżawy, jaką miasto Sopot jako właściciel zawarło z przedsiębiorstwem Gdynia–Ameryka Linie Żeglugowe SA (GAL). Jednak później władze państwowe zdecydowały o tym, że najpiękniejsze hotele (w tym sopocki Grand) trafią do firmy Orbis. Blichtr stopniowo gasł, bo brakowało pieniędzy na remonty. Ale prestiż trwał. A może, paradoksalnie, nawet rósł. W dużej mierze za sprawą znamienitych gości. W Trójmieście długo nie było dla Grandu konkurencji w postaci nowych luksusowych hoteli. Zatem to tutaj ►

► trafiali politycy i władcy odwiedzający Wybrzeże: szach Iranu Reza Pahlavi z małżonką, Fidel Castro (trzykrotnie), prezydent Francji Charles de Gaulle. Dla mierzącego blisko dwa metry de Gaulle'a na czas wizyty sprowadzono odpowiednio długie łożo z Muzeum Narodowego. Zatrzymywały się gwiazdy kina i estrady: Charles Aznavour, Josephine Baker, Marlena Dietrich, Demis Roussos, Omar Sharif, Jan Kiepura z żoną Martha Eggerth, Annie Lennox, zespół Boney M... Kiepurę wielbiciele ponieśli do Grandu z dworca kolejowego na rękach.

Listę sławnych gości można ciągnąć długo. W hotelu jest ścianka pamiątkowa z ich zdjęciami. Wielu sprowadzały festiwale piosenki w Operze Leśnej, ale też imprezy organizowane w samym Grandzie. Na przykład koncerty muzyki klasycznej (Wanda Wiłkomirska, Maria Fołtyn, Ewa Bandrowska-Turska, Jan Ekier, Władysław Kędra). Albo muzyczne nowinki, które wzięły we władanie salę zwaną turystyczną. W latach 60. była ona zimową siedzibą klubu Non-Stop, który gościł niemal wszystkie ówczesne polskie zespoły bigbitowe. W 1970 r. w tej samej sali wystartowała Musicorama, pierwsza polska dyskoteka. – *Mieszkałem tuż koło Monciaka. Biegałem pod Grand po autografy i popatrzeć na samochody* – wspomina Wojciech Fułek, sopocki radny, współautor książki „Kurort w cieniu PRL-u. Sopot 1945–1989”. – *To była egzotyka, powiew wolnego świata. RWPG tłumaczyliśmy jako Rodowicz, Vondráčková, Pugaczowa, Gott. Za moich czasów licealiści sopocky balet maturalne organizowali w Grandzie. Do hotelowej kawiarni chodziło się z rodzicami na lody.*

O tamtym okresie pozostał film dokumentalny „Moje miejsce” z 1986 r. w reżyserii Marcela Łozińskiego. Hotel pokazany został z perspektywy personelu: palacza, szatniarza, pokojowych, portierów, kucharzy. Kucharz z dumą opowiada o wykwinnych potrawach z polędwicy wołowej, schabu, których nie ma w zakładach Społem, o sosach wymagających zagranicznych dodatków. – *Młodsza część publiki traktuje to jako komedię, starsi reagują żywiołowo: to tak było, wy nic nie rozumiecie* – relacjonuje Karolina Babicz-Kaczmarek, dyrektorka Muzeum Sopotu, które organizuje takie pokazy.

Pisuary i dusza

Z 12 na 13 grudnia 1981 r. Grand kolejny raz stał się świadkiem historii. Nocowała w nim lwia część obradującej w Gdańsku Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność”. Hotel został otoczony. Nie było szans na ucieczkę. Karol Modzelewski w „Zajeżdżymy kobyłę historii” opisuje to następująco: „Ledwie wszedłem do pokoju, ujrzałem przez okno, jak podjeżdżają nyski i wzdłuż ulicy ustawiają się rzędem milicjanci w mundurach »moro«, kaskach i z pistoletami maszynowymi. Rzuciłem się na korytarz, skąd okna wychodziły na plażę, ale tam też zobaczyłem funkcjonariuszy rozstawionych co metr i przypytujących z zimna na śniegu”. Poszedł piętro wyżej do pokoju Tadeusza Mazowieckiego, gdzie zastał grono kolegów. Zastanawiali się, co oznacza ten kordon ZOMO. „Zapytałem, czy ktoś chce wziąć prysznic. Spojrzeli na mnie okrągłymi ze zdumienia oczami i zaprzeczyli. »To może ja« – powiedziałem i wszedłem do łazienki. Nie zachowałem się ładnie wobec kolegów. Z nich wszystkich tylko ja znałem regulamin więzienny i wiedziałem, że łaźnia jest raz na tydzień”.

Dyrektorem Grand Hotelu w tamtych czasach był oficer SB Mieczysław Cenckiewicz, dziadek historyka Sławomira Cenckiewicza, badacza służb specjalnych. Cenckiewicz wnuk uchodzi obecnie za jednego z głównych promotorów kandydatury Karola Nawrockiego na prezydenta.

Ten Grand, w którym ochroniarzem był student Nawrocki, to już inna bajka. Zmienił się ustrój. Hotel w 2006 r. doczekał się modernizacji, pierwszej poważniejszej w swoich dziejach. Otrzymał basen, centrum fitness oraz pięć gwiazdek. Sieć hotelowa Accor chciała zrezygnować ze starej nazwy. Wojciech Fułek jako wiceprezydent miasta jeździł wtedy do kierownictwa firmy, przekonywał, że Grand to marka sama w sobie. I stało się na Sofitel Grand Hotel.

Zmiany poprzedziła wyprzedaż fragmentów wyposażenia. Sopocianie ochoczo je kupowali. Na przykład koleżanka Karoliny Babicz cieszy się z toaletki, którą nabyła jej mama (design z lat 50.–60., dziś budzący zachwyty). Fułek został właścicielem dwóch foteli, które po obiciu na nowo wciąż mu służą i budzą sentyment. Mnóstwo ciekawych historycznych detali zniknęło bezpowrotnie. Choćby przewijające się w opowieściach pisuary z hotelowej toalety. Wielkie, na wysokość człowieka. Podobno także panie, chcąc ujrzyć tę osobliwość, zaglądały do męskiego WC.

– *To nie był najszcześliwszy remont. Wymontowano starą armaturę, która wносиła nutkę elegancji i tajemniczości* – konstatuje Magdalena Czarzyńska-Jachim, prezydentka Sopotu. Dyrektorka muzeum najbardziej żałuje paneli z trzema przyciskami do przywoływania hotelowej obsługi: kelnera, pokojowej, bagażowego. Pozostały kute poręcze na klatce schodowej, kryształowe żyrandole w sali balowej (lata 60.). I niepewność, czy Grand ma jeszcze duszę.

Odbывая się tu rozmaite konferencje, kongresy i gale, o które hotel musi konkurować z innymi obiektami. Znaczeni goście pojawiają się rzadziej. W październiku 2007 r. obradowali tu ministrowie spraw wewnętrznych sześciu największych krajów Unii Europejskiej. Podczas Euro 2012 hotel był główną siedzibą UEFA. Wcześniej, w 2009 r., zatrzymał się w nim Władimir Putin ze żoną, przybyły na obchody rocznicy wybuchu drugiej wojny światowej. To wtedy doszło do spaceru po molo, za który PiS od lat odsądza Donalda Tuska od czci i wiary. O tej wizycie i swojej pracy w ochronie Grandu opowiadał też Karol Nawrocki podczas wywiadu w Kanale Zero: „Mieliliśmy wielu złych gości, wśród nich był wtedy Władimir Putin. Odbывało się dużo ważnych wydarzeń, jak festiwale w Sopocie. To jest szkoła życia, która pokazuje, że tak wiele dzieje się na zapleczu wielkich gwiazd i użytkowników hoteli”. Kilka tygodni później Onet opowiedział swoją wersję owej szkoły życia.

Nowe otwarcie

Obecnie nie tylko prezydenta elekta, ale także jego dawne miejsce pracy czeka nowy rozdział. W grudniu 2024 r. Grand zmienił właściciela. Została nim spółka Sinfam Investments, powiązana z Mostostalem SA. Podobno za 125 mln zł. Accor ma nadal zarządzać. Ale szykuje się kompleksowy remont. Niektórzy szacują, że może pochłonąć 100–150 mln zł. Prezydentka Sopotu słyszała o planach, by Grand dołączył do Sofitel Legend. To nazwa luksusowej marki hoteli sieci Accor o bogatej historii i unikatowym charakterze. – *Chciałabym, żeby ktoś dostrzegł majestat Grandu i przestał go właczać w te dywany z rolki* – wzdycha Karolina Babicz.

Kiedy wokół Grandu zrobił się szum w związku z ochroniarzem epizodem Nawrockiego, prezydent Czarzyńska-Jachim ogłosiła, że do gminy, która osiągnie w drugiej turze wyborów największą frekwencję, trafi nagroda w postaci luksusowego weekendu w Grand Hotelu. Włodarz zwycięskiej miejscowości wytypuje społecznika, który z tej atrakcji skorzysta. Wygrała Krynica Morska, gdzie zagłosowało 88,38 proc. uprawnionych. Aż 63,11 proc. oddało głos na Rafała Trzaskowskiego.

RYSZARDA SOCHA



Król Hiszpanii Karol V przekazuje władzę nad Niderlandami swojemu synowi Filipowi II. Szczyt chwały hiszpańskich Habsburgów na obrazie Louisa Gallaita, XIX w.

Wschód Zachodu

Dwa narody na dwóch krańcach Europy, zanurzone w micie złotego wieku, rozpamiętujące dawną wielkość i trawione ogniem wewnętrznych sporów – co łączy, a co dzieli Polskę i Hiszpanię.

TOMASZ TARGAŃSKI

Znaszej perspektywy Hiszpania wydaje się nieodłączną częścią Europy Zachodniej, ale kraje, które tak naprawdę decydowały o przynależności do politycznego i kulturowego centrum, czyli najpierw Italia, a później Francja i Anglia, zawsze odmawiały traktowania jej jak równej sobie. „Europa kończy się na Pirenejach” – to popularne powiedzenie jedni przypisują Ludwikowi XIV, inni – Napoleonowi. Bez względu na autorstwo było ono wyrazem odwiecznej nieufności Europy względem Hiszpanii oraz hiszpańskiego izolacjonizmu. Izolacja ta miała być funkcją nie tylko geografii, ale również kultury. Wyrażała się m.in. w niechęci do przyjmowania obcych wzorców oraz niechętym wyrzucaniu z kraju całych grup ludności uważanych za „obcych”

(wygnanie Żydów w 1492 r., wygnanie Morysków w 1609 r.).

Neutralność podczas obu wojen światowych, dyktatura Francisco Franco czy opór społeczeństwa wobec wstąpienia do NATO – wszystko to wpisywało się w mit hiszpańskiej samoizolacji, której ostatecznym przełamaniem miało być przystąpienie do Unii Europejskiej (wówczas EWG) w 1986 r.

Czarna legenda

Kształtowana przez centrum geografia mentalna kontynentu była nieubłagana i traktowała Hiszpanię jako swoisty „Wschód Zachodu”. Przez wieki przyklejano jej etykiety łądząco podobne do tych, którymi określano narody zamieszkujące tereny na wschód od Łaby. „Czarna legenda” Hiszpanii zaczyna się u progu epoki

oświecenia. W XVII-wiecznej prasie i publicystyce przedstawiano ją jako kraj zacofany gospodarczo i politycznie, a samym Hiszpanom przypisywano nietolerancję, religijny fanatyzm, okrucieństwo, lenistwo, konserwatyzm, ignorancję, wyniosłość oraz pychę.

Autorami „czarnej legendy” były przede wszystkim narody protestanckie, które toczyły z Hiszpaniami długie wojny: Holendrzy i Anglicy. Również we Francji i Italii postrzegano Hiszpanów jako butnych najeźdźców. Wspólnym motywem dziejów Polski i Hiszpanii wydaje się zatem ciągła niepewność co do miejsca zajmowanego w Europie. Jednoczesna pogoń za nią i pełen nieufności dystans. Chęć ślepego naśladownictwa przeplatana okresami zimnego sceptycyzmu. Od wieków reformatorzy w obu krajach marzyli ►

► o europeizacji i doścignięciu Zachodu. Konserwatyści zaś nawoływali do powrotu do źródeł własnej kultury i afirmacji swojej – odmiennej od europejskiej – tożsamości.

Oba państwa doświadczyły również – i to niemal równolegle – okresu nazywanego „złotym wiekiem”. Hiszpański „Siglo de Oro” trwał od początków XV do końca XVII w. i był czasem niebywałego wzrostu znaczenia politycznego, któremu towarzyszyły wielkie dokonania na polu kultury. Joachim Lelewel w wydanej w 1820 r. broszurze „Historyczna paralela Hiszpanii z Polską” zauważył, że w przypadku obu narodów ów okres zaczął się od unii. Tak jak połączenie Polski z Litwą stało się fundamentem wielkości Rzeczypospolitej, tak tę samą rolę w przypadku Hiszpanii odegrała unia Kastylii z Aragonią w 1469 r.

W obu przypadkach na czele silniejszego partnera stała kobieta: w Polsce Jadwiga, a na Półwyspie Iberyjskim królowa Kastylii Izabela Katolicka, której za męża i współkróla kastylijskie elity wyswatały króla Aragonii Ferdynanda. Aragończycy, podobnie jak Litwini, byli rozczarowani, że Kastylija de facto ich inkorporowała, narzucając swoją dominację. To ogólne podobieństwo pokazuje jedną wyrazistą cechę hiszpańskiej historii, która nie ma swojego odpowiednika w Polsce. Jest nią dominacja jednego regionu – w tym przypadku Kastylii – nad resztą kraju (hiszp. *castellanización*).

Motywy przewodnim dziejów Hiszpanii są zatem ciągle oskarżenia wysuwane przez Katalończyków, Basków, Asturyjczyków czy Aragończyków o zawłaszczenie państwa przez kastylijskich panów i koncentrację całej władzy politycznej w Madrycie. Dominacja Kastylii wyzwoliła z czasem potężne siły odśrodkowe – jak baskijski czy kataloński separatyzm – które kazały stawiać aktualne do dziś pytanie, czy Hiszpanie są zjednoczonym narodem, czy też zplekiem wielu nacji trzymanych pod „kastylijskim butem”.

Szlachetna mniejszość

W sercu mitu złotego wieku obu państw stoi szlachta, która stawiała się w roli obrońców ojczyzny i całkowicie utożsamiała interes królestwa ze swoim. Dlatego zarówno polski szlachcic, jak i kastylijski hidalgo mogliby z pełnym przekonaniem stwierdzić: „państwo to ja”. Oba stany współdzieliły pogardę do pracy fizycznej oraz kupiectwa, co utrudniło



Pomnik Don Kichota i Sancho Pansy w Madrycie. Poniżej: kamea z wizerunkiem Filipa II, XVI w.

rozwój burżuazji i odbiło się negatywnie na rozwoju gospodarczym. Oba szczyły się patriotyzmem oraz wiarą, a swoją kulturę miały za wzór do naśladowania. W XVIII w. polscy szlachcice w swoich relacjach z Półwyspu Iberyjskiego mocno krytykowali tamtejsze stosunki, dziwiąc się, że ludzie szlachetnie urodzeni znoszą absolutyzm hiszpańskiego dworu. Janusz Tazbir w eseju „Sarmaci a konkwistadorzy” trafnie zauważył, że piętnując hiszpański fanatyzm, zacofanie i ciemnotę, polska szlachta w istocie piętnowała rodzime stosunki społeczne.

Zbliżona była również struktura stanu szlacheckiego. Przede wszystkim hiszpańska i polsko-litewska szlachta były stosunkowo liczne na tle innych narodów Europy. Wedle szacunków badaczy hiszpańskich hidalgowie najliczniejsi byli w Kastylii, gdzie stanowili od 5 do 10 proc. populacji. Podobnie jak w Rzeczypospolitej na hiszpańską szlachtę składała się garstka najmożniejszych grandów – w swojej masie dominowali zaś biedni hidalgowie. Antagonizm między obiema grupami świetnie uchwycił Miguel de Cervantes w „Don Kichocie”, wkładając w usta jednego z bohaterów słowa: „Panie mówią, że nie w smak im to, gdy pospolicacy chcą im dorównywać, a zwłaszcza hidalgowie od siedmiu boleści, raczej na giermków stworzeni”. Hiszpański hidalgo w połatany kaftanie i dziurawych butach uważał, że w niczym nie ustępuje

grandom, i zapewne podpisałby się pod stwierdzeniem, że szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie.

Mit czystości szlacheckiej krwi w Hiszpanii przybrał rozmiary obsesji głębszej nawet niż w Rzeczypospolitej. Nie przypadkiem pojęcie „błękitna krew” (hiszp. *sangre azul*) wywodzi się z Półwyspu Iberyjskiego. Podczas walk z muzułmanami w okresie rekonkwisty chrześcijańscy szlachcice jako dowód „czystości” swojego pochodzenia z dumą prezentowali niebieskawe żyły na bladej skórze, co miało wykluczać jakiegokolwiek pokrewieństwo z wrogiem. Każdy szanujący się hiszpański arystokrata robił wszystko, by dowiedzieć, że jego ród wywodzi się ze „starych chrześcijan”, czyli tych, którzy pozostali wierni katolicyzmowi podczas arabskiego panowania.

Przedmurze chrześcijaństwa

Miała również Hiszpania swój mit o przedmurzu chrześcijaństwa. Polski historyk Adolf Pawiński w dziele „Hiszpania. Listy z podróży” (1880 r.) zauważył: „jak Polska niegdyś na Wschodzie broniła krzyża, tak owa Kastylija rycersko walczyła przeciwko muzułmańskiemu Maurom”. Rekonkwista Półwyspu Iberyjskiego z rąk muzułmanów stała się fundamentem hiszpańskiej tożsamości rozumianej na sposób katolicki i monarchiczny. Mit rekonkwisty, który uchodził za klucz do hiszpańskiej duszy, mówił, że było to wspólne przedsięwzięcie wszystkich



chrześcijańskich królestw z półwyspu, które walcząc ramię w ramię, wyparły muzułmanów z kraju i ostatecznie zjednoczyły się w jeden naród.

Obecna historiografia w dużej mierze odesłała ten obraz do lamusa, pokazując, że chrześcijanie równie często walczyli przeciwko sobie jak z wyznawcami islamu, a nawet zawiązywali sojusze z muzułmańskimi emiratami. Legendarny rycerz i symbol rekonkwisty – El Cyd, czyli Rodrigo Díaz de Vivar – przez lata służył muzułmańskiemu władcy Saragossy. Narodowa mitologia podkreślała, że podbita przez muzułmanów ludność cierpiała z ich strony niebywały ucisk, ale mężnie trwała przy swojej wierze i obyczajach. W rzeczywistości chrześcijańscy mieszkańcy Al-Andalus podlegali arabizacji, używali arabskich imion, przyjmowali nazwy arabskich klanów i doszukiwali się w rodzinach arabskich przodków (późniejszą reakcją na ten proces były gorliwe prześladowania wszystkich Hiszpanów „nieczystej krwi”).

Rekonkwista jako „ogólnonarodowy wysiłek” ma więc tyle samo wspólnego z prawdą, co twierdzenie, że po rozbiorach wszyscy Polacy zgodnie walczyli z zaborcami. Niemniej te dwa procesy miały kolosalny wpływ na ukształtowanie polskiej i hiszpańskiej tożsamości narodowej.

Bagaż mocarstwa

Najbardziej rzucającą się w oczy różnicą między obydwoma krajami jest to, że dzieje Hiszpanii mają prawdziwie globalny wymiar. Od końca XV do końca XIX w. hiszpańska monarchia była jedną z największych i najbardziej zróżnicowanych politycznych wspólnot na szeroko pojętym Zachodzie. Od Kastylii po szczyty Andów; od Sewilli, Neapolu i Meksyku po Santa Fe i San Francisco; od Brukseli po Buenos Aires i od Mediolanu po Manilę – wszędzie tam Hiszpania zostawiła ślad, przyczyniając się w niemałym stopniu do ukształtowania zglobalizowanego świata, w jakim żyjemy. Hiszpańska monarchia pod rządami Habsburgów (1516–1700) mierzyła się z problemami, z jakimi nie musiało mierzyć się wcześniej żadne państwo.

Doświadczenie kolonialne bez wątpienia wzbogaciło hiszpańską kulturę. Badacz dziejów Półwyspu Iberyjskiego Henry Kamen pisał, że idea imperium i duma z niego stanowi ważny element hiszpańskiej tożsamości. Jako mocarstwo

kolonialne Hiszpania wypracowała – bardzo mocno dziś krytykowaną – ideę hispanidad, czyli szczególnego związku z narodami i państwami obu Ameryk, które niegdyś znajdowały się pod władzą Madrytu. Hispanidad symbolizuje językową oraz kulturową jedność dawnego imperium. W wiekach XIX i XX została ona upolityczniona, przedstawiając historię kraju jako dziejową misję niesienia podbitym ludom wartości cywilizacji zachodniej reprezentowanych przez Kościół katolicki oraz monarchię. Na gruncie politycznym hispanidad stała się nurtem głęboko konserwatywnym i reakcyjnym, niechętnym zmianom.

Dwie Hiszpanie – dwie Polski

W XIX w. Hiszpania nie przeżyła co prawda traumy wymazania z mapy, ale od czasu napoleońskiej okupacji w 1808 r. jej historia przypomina korowód dynastii (trzy), konstytucji (cztery), wojen domowych (trzy) oraz niezliczonych rządów tymczasowych i zamachów stanu. Tak jak w świadomości polskiej rozbiory i okres zaborów pozostawiły po sobie trwałe blizny, tak hiszpański wiek XIX do dziś stanowi ranę, która dała początek narodowym podziałom. W Polsce krakowska szkoła historyczna patrzyła na rozbiory jako efekt błędów własnych i narodowych przywar. W Hiszpanii uczestnicy ruchu *regeneracionismo* (pol. regeneracjonizm) również szukali odpowiedzi na pytanie, dlaczego ich kraj z pozycji potęgi budzącej szacunek stoczył się w otchłań plemiennych konfliktów.

Hiszpanie często odwołują się do stwierdzenia słynnego poety Antonia Machado, że istnieją „dwie Hiszpanie”: konstytucyjna i absolutystyczna, liberalna i konserwatywna, faszystowska i republikańska, patrząca w przyszłość i zapatrzone w przeszłość. Jednak w tym przypadku wszelkie nasuwające się analogie do „wojny polsko-polskiej” zupełnie nie oddają temperatury sporu i głębokości podziałów

na Półwyspie Iberyjskim. Burzliwy wiek XIX był tam jedynie preludium do jeszcze bardziej krwawego wieku XX. W ciągu zaledwie dwóch dekad – lata 20. i 30. – kraj doświadczył dyktatury, odrodzenia republiki, wojny domowej i ustanowienia kolejnej dyktatury. Podczas gdy najgłębsze historyczne rany zadawali Polakom ich sąsiedzi (dlatego wektor polskiego resentymentu skierowany jest przede wszystkim na zewnątrz – przeciwko Niemcom, Rosjanom, Ukraińcom), w przypadku Hiszpanii jest na odwrót. Urazy są skierowane do wewnątrz wspólnoty.

Dla Polski wróg zawsze oznaczał zagrożenie zewnętrzne, Polacy jako naród nie byli skorzy do wzajemnego przelewania swojej krwi – pisał o tym Jarosław Marek Rymkiewicz w „Wieszaniu”. Spory polsko-polskie, na pozór tak zażarte, raczej nie osiągały temperatury wrzenia, a jeśli już to wypalały się szybko (wieszanie targowiczian, zamach majowy, walka z antykomunistycznym podziemiem po wojnie). Hiszpanie przeciwnie. Podczas samej tylko wojny domowej (1936–39) zginęło 500 tys. osób. W następnych dekadach dziesiątki tysięcy kolejnych. Podział na zwycięzców, którym przypadły władza, pieniądze i pomniki, oraz na pogrzebanych w bezimiennych grobach przegranych, których potomkowie musieli emigrować, nie mógłby być ostrzejszy.

W odróżnieniu od Polski Hiszpania ma zatem historię prawdziwie heglowską, krwawą. W dodatku samookaleczającą. Dlatego transformacja od dyktatury do demokracji okazała się procesem tak bolesnym i niedoskonałym, że do dziś toczą się o niego spory, na które nakładają się skandale korupcyjne, brak zaufania, niekompetencja polityków, baskijski i kataloński separatyzm. Pod tym względem przeszłość nie jest dla Hiszpanów obiektem antykwarycznym ani ciekawostką. Nigdy nie umiera i nie można od niej uciec.

TOMASZ TARGAŃSKI



Zapraszamy do lektury
najnowszej Pomocnicy Historycznej POLITYKI
„DZIEJE HISZPANII”
– do nabycia na sklep.polityka.pl

KUP TERAZ





Flipping teatru 4/6

Julia Nowak, Jakub Skrzywanek,
Protest kielecki. Do kogo należą Kielce?
 reż. Jakub Skrzywanek, Teatr im. Żeromskiego w Kielcach

Zacząć należałoby od pytania: do kogo należy Teatr im. Żeromskiego w Kielcach? Po pierwsze dlatego, że to teatr, jego budynek i mająca dramatyczne punkty zwrotne rozbudowa i modernizacja stały się punktem wyjścia tego momentami zaskakującego, opartego na faktach i poruszającego spektaklu. A po drugie – bo to pytanie wybuchło z nową mocą przy okazji konkursu na dyrektora sceny. Najpierw spektakl. Akcja zaczyna od kursu flippingu, czyli nauki, jak tanio nabyć i przy niskich nakładach drogo sprzedać nieruchomość. Na pytanie prowadzącego, jak łatwo pozyskać mieszkanie, widzowie spontanicznie odpowiedzieli „poznać pana Jerzego”, ale przekazanych nam metod było więcej i wszystkie zakładały ignorowanie zasad etycznych. Po tym wstępie cofamy się do końcówki PRL, gdy urzędnicy kieleckiego magistratu inwentaryzowali mienie miejskie, a słabe

prawo i giętkie sumienia pozwalały na (dziką) prywatyzację budynków w najlepszych punktach miasta. W tym tych, w których dziś mieści się teatr, i tych, które należały przed wojną do żydowskich Polaków. Ta część opiera się m.in. na protokołach z posiedzeń komisji i artykułach interwencyjnych z ówczesnej prasy. W kolejnej wracamy głębiej w przeszłość. Na chłopskie wesele przychodzi ocalały z Holocaustu Żyd, właściciel gospodarstwa przejętego przez świętujących. Jak to się skończy, łatwo przewidzieć. A teraz wspomniana sprawa konkursu. Obecny dyrektor Michał Kotański, którego determinacji teatr zawdzięcza rozbudowę i remont, kończy kadencję. Konkurs wygrał Jacek Jabrzyk, mający poparcie zespołu, ale organizator teatru i konkursu, zarząd województwa świętokrzyskiego (w sejmiku rządzi PiS), stawiał ponoć na innego kandydata. Konkurs unieważnił z powodu rzekomych nieprawidłowości, przeciw czemu protestują zespół, wojewoda i współprowadzące teatr Ministerstwo Kultury. Sprawa jest w toku, a w teatrze chodzą słuchy, że marszałkowscy urzędnicy wciąż forsują własnego kandydata. Czy ostatnie działania wokół teatru, który nieraz pokazał, że ma odwagę mówić o władzy i społeczeństwie rzeczy niewygodne, nie przypominają dzięki prywatyzacji?

ANETA KYZIOŁ

Turandot bez happy endu 4/6

Giacomo Puccini, **Turandot**,
 reż. Ran Arthur Braun,
 Teatr Wielki w Poznaniu

Po raz pierwszy w Polsce wystawiono ostatnią z oper Pucciniego, której nie zdążył ukończyć przed śmiercią. Kończyła ją kilku kompozytorów; powszechnie grywa się finał autorstwa młodego wówczas Franca Alfana, oparty na szkicach Pucciniego, obrazujący przemianę groźnej tytułowej księżniczki – posyłającej na śmierć kolejnych zalotników po tym, jak nie odgadywali zadawanych przez nią zagadek – w kobietę zakochaną w zwycięzcy owego makabrycznego konkursu. Realizatorzy postanowili



odejść od schematu i wybrali zakończenie Luciana Beria z 2001 r., odbiegające stylistycznie od opery; reżyser dodał do tego kompletną zmianę zakończenia: trup ściele się

**Realizatorzy
 odeszli
 od schematu:
 trup ściele się
 gęsto**

gęsto. Mało to wytłumaczalne, ale rzeczywiście jest to całkowita odmiana. Poza tym wydaje się, że Ran Arthur Braun jest nie tyle reżyserem, ile koordynatorem scen kaskaderskich – są tu efektowne popisy akrobaticzne, ale często widać, że nie było specjalnie pomysłu na to, co zrobić z tłumem lub jak ustawić konkretne postacie. Efektowna jest również scenografia (także autorstwa Brauna) z zięjącymi ogniem smokami, lampionami i aluzjami do architektury chińskiej; do tego niezwykle barwne, ale proste kostiumy. Muzyka płynie pięknie pod batutą Jacka Kaspszyka, bardzo satysfakcjonująca jest pierwsza obsada wokalna, a zwłaszcza rewelacyjna Iwona Sobotka w roli tytułowej, znakomity ormiański tenor **Hovhannes Ayvazyan** jako Kalaf oraz Ruslana Koval jako Liu.

DOROTA SZWARCMAN

Ziemia jałowa 3/6

Koniec (The End), reż. Joshua Oppenheimer, prod. USA, 148 min, CANAL+, Player, Rakuten, TVP VOD, Polsat Box Go, PLAY, Orange, Vectra, Toya, Nowe Horyzonty VOD.

Intrygujący stroną wizualną, postapokaliptyczny antymusical emocjonalnie nie jest już tak satysfakcjonujący. W przeciwieństwie do elektryzującej „Emilii Pérez” abstrakcyjną fabułę „Końca” oraz prawie dwie i pół godziny projekcji trudno znieść bez poczucia rozdrażnienia. Muzycznie też mogłoby być lepiej – śpiewane dialogi nie brzmią autentycznie, piosenki nie popychają akcji naprzód, przebojami raczej się nie staną. Historia dotyczy ultrabogatej rodziny, która ponosząc odpowiedzialność za zniszczenie planety, schroniła się w podziemnym bunkrze, odgradziła od ludzi, wyparła się bliskich i konsekwentnie zagłusza



sumienie, budując nieprawdziwy mit o wielkiej miłości scalającej ich pustą egzystencję. Rzecz grana jest całkiem serio w sztywnej manierze współczesnego moralitetu. Atmosfera grobowa jak u Hanekego albo von Triera, a całość zmierza w kierunku intelektualnej przypowieści mającej piętnować ksenofobię i hipokryzję. Sztuczny raj, egoizm elit, zamiatanie

pod dywan sumienia, widmo ekologicznej zagłady – są to niewątpliwie tematy ważne. Niemniej, krytykując mentalność ludzi pokroju Marka Zuckerberga, który niedawno wybudował sobie betonowy azyl na hawajskiej wyspie Kauai na wypadek katastrofy klimatycznej albo światowej wojny, Oppenheimer („Scena zbrodni”, „Scena ciszy”) nieco się zagalopował.

JANUSZ WRÓBLEWSKI

Na śmierć i życie 4/6

Predator: Pogromca zabójców (Predator: Killer of Killers), reż. Dan Trachtenberg, prod. USA, 90 min, Disney+



Od czasu premiery pierwszego „Predatora” kino próbowało jakoś zagospodarować kosmicznego zabójcę, niestety zazwyczaj z dość mizernym skutkiem. To, co udawało się w komiksach i do pewnego stopnia w grach komputerowych, czyli rozbudowywanie mitologii i świata Yautja (pod taką nazwą znana jest rasa „predatorów”), na wielkim ekranie zamieniało się z reguły w mechaniczne powtarzanie schematycznych pojedynków między myśliwym i jego ofiarami. Reżyser i producent Dan Trachtenberg też nie ucieka od fabularnych klisz, ale przynajmniej stara się je umiejętnie odświeżyć, najpierw w filmie „Prey”, z akcją toczącą się wśród Komanczów w XVIII w., teraz w animowanym „Pogromcy zabójców”. Tu akcja została podzielona na kilka części, rozgrywających się we wczesnym średniowieczu, feudalnej Japonii i podczas drugiej wojny światowej, a splatających się w wielkim finałowym starciu obcych z wikingami, a splatających się w wielkim finałowym starciu obcych z wikingami, a splatających się w wielkim finałowym starciu obcych z wikingami. Może w skrócie brzmi to absurdalnie, lecz w ramach świata przedstawionego ma sens i jest emocjonujące. Fabuła jest w tym filmie czysto pretekstowa, liczy się przede wszystkim intrygująca warstwa wizualna i umowność, której w produkcji aktorskiej nie udało się w wiarygodny sposób osiągnąć. I nawet jeśli „Pogromca zabójców” sprawia raczej wrażenie szkicu do większego projektu, to wydaje się, że „Predator” jako franczyza jest w dobrych rękach.

JAKUB DEMIANCZUK

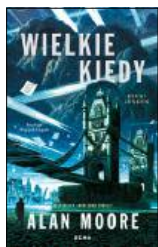
Aniela w piekle 4/6

Aniela, scen. Paweł Demirski, reż. Jakub Piątek, Kuba Czekaj, 8 odc., Netflix



Paweł Demirski, który jako dramaturg tworzył z reżyserką Moniką Strzępką najpotężniejszy duet we współczesnym polskim teatrze, od kilku lat stawia na seriale. Pierwszym efektem tej zmiany był „Udar” (Viaplay) – częściowo autobiograficzny komediodramat o nieoczywistym środowisku skupionym wokół wzorowanego na Macieju Nowaku krytyka kulinarnego i bon vivanta Jacka (Jacek Poniedziałek), które mierzy się z kryzysami dzięki wzajemnemu wsparciu, rodzinie z wyboru. „Aniela” to podobne tematy, fabuła też kręci się wokół gwiazdy, utraty statusu i poszukiwania życia opartego na zdrowszych relacjach i celach. W centrum tym razem jest porzucona żona, kierująca się na początku pragnieniem zemsty i powrotu do dawnego życia, a z czasem

odnajdująca sens i cel w nowej sytuacji. Aniela w brawurowym, ale przekonującym wykonaniu **Małgorzaty Kożuchowskiej**, to „żona Konstancina” strącona do piekła praskiego blokowiska. Płacz, gdy się orientuje, że po raz pierwszy w życiu wypowiedziała zdanie „Spieszę się do pracy”. Patrząc w kamerę, informuje widzów, że skoro nie stać jej na terapię, będzie mówić do nich. I mówi. Słuchanie frazy Demirskiego, swobodnie łączącej wysokie z niskim, teorie społeczne z cytatami z popkultury, jest samo w sobie wielką frajdą. Gorzej z fabułą – ta często idzie na skróty i korzysta z mocno eksploatowanych przez seriale motywów, jak rap i kulinaria. Wciąż jednak ta bajkowa utopia wyróżnia się na tle wielu coraz bardziej do siebie podobnych seriali oferowanych dziś przez platformy. AK

książki Fragmenty książek na stronie: www.polityka.pl/czytelnia

Tajemnice Londynu 5/6

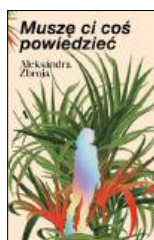
Alan Moore, **Wielkie Kiedy. Długi Londyn**, przeł. Wojciech Szypuła, Wydawnictwo Echa, Warszawa 2025, s. 432

Konceptcja, że równolegle do naszego świata istnieje rzeczywistość wypaczona, magiczna, niebezpieczna, nie jest w literaturze fantastycznej niczym nowym. W „Wielkim Kiedy” Alan Moore konkretne idee pożycza m.in. od Arthura Machena, którego proza odgrywa w fabule znaczącą rolę. Do Długiego Londynu mogą dostać się jedynie wybrani. Albo pechowcy, jak Dennis, młody antykwariusz, który przypadkiem kupuje nieistniejącą książkę, klucz do równoległego wymiaru. I musi oddać ją prawowitym właścicielom, zanim dojdzie do tragicznego w skutkach zderzenia obu rzeczywistości. Moore w swojej prozie robi to, czym zachwycał w komiksach: bierze na warsztat schematy literatury gatunkowej, miesza



historyczne fakty z fikcją i wszystko wywraca na nice, by stworzyć zupełnie nową jakość, erudycyjną, błyskotliwą układankę tropów, cytatów i odniesień. Nie boi się zderzenia wzniosłego z przyziemnym, świadomy, że równie wielką satysfakcję można czerpać z lektury poezji Williama Blake’a, co felietonów George’a Orwella czy grozowych powieści Saxa Rohmera. A przy tym „Wielkie Kiedy” – a w zamierzeniu cały zaplanowany na pięć tomów cykl poświęcony Dłугоmu Londynowi – jest nie tylko rozrywką, lecz również rodzajem zamkniętego w popkulturowej formie eseju o XX-wiecznej Anglii. Autorowi zdarza się chwilami za bardzo meandrować, lecz z takim przewodnikiem to nawet zgubić się warto.

JAKUB DEMIAŃCZUK



Coś osobistego 4/6

Aleksandra Zbroja, **Muszę ci coś powiedzieć**, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2025, s. 376

OHIV nie mówi się chętnie ani głośno, w Polsce temat poruszany jest rzadko, a zakażenia wśród kobiet pomija się już zupełnie. Mowa o głównym nurcie szeroko pojętej publicznej debaty, ale też – a może zwłaszcza – o literaturze. Powieściowa Joanna musi swój sekret ujawniać w trosce o siebie i najbliższych, a to zawsze duży emocjonalny koszt, niezależnie od tego, czy wiadomość takiej wagi

przekazuje się w epoce WhatsAppa i Tindera, czy w czasach „Filadelfii” z Tomem Hanksem. Lęk przed odrzuceniem, złość, poczucie niesprawiedliwości i winy ciąży tak samo, tak samo silna jest potrzeba „normalności” i szczęścia. Joannie akurat szczęści się rzadko, czuje się przegrywem długo przed diagnozą. Diagnoza jest być może ukoronowaniem życiowego niefartu. Jednak zanim do tego dojdzie, „rzuca wszystko” i wyjeżdża na Tajwan. Raj zachwyca, ale okazuje się sterylny, mocno ingeruje w prywatność swoich mieszkańców i przybyszów, zwłaszcza zakaźnie chorych. Pozytywny test grozi nawet deportacją, o dotkliwym upokorzeniu nie wspominając. Te restrykcje już zniesiono, autorka objasnia w posłowie, co się zmieniło, dlaczego umieszcza część akcji na wyspie w Azji i lepi życiorys Joanny z kilku autentycznych historii kobiet. Bo można się zastanawiać, czy nie byłby właściwszy esej, rzecz pokroju Susan Sontag o AIDS i metaforach choroby. Autorka „Mireczka” bez wątpienia śmiało zgłębia tematy tabu, o których opowiada lekką frazą, a mimo to z czytelnym przejęciem.

ALEKSANDRA ŻELAZIŃSKA



Człowiek z celuloideu 4/6

3174 filmy mojego życia. Juliusz Machulski w rozmowie z Krzysztofem Vargą, wyd. Sonia Draga, Katowice 2025, s. 488

Sporym zaskoczeniem jest otwarta formuła tego wywiadu rzeki. Oparta na zderzeniu pokoleniowym, różnicy doświadczeń, cierpkiej ironii i przepotężnej miłości do kina. Urodzonego pod koniec lat 60. XX w. Vargę nieco bardziej interesuje samo życie, starszego o 13 lat Machulskiego – wyłącznie życie w świetle filmowego reflektora. Z tego spięcia rodzi się pełen rozmachu, dygresji, błyskotliwy dialog, oczywiście poświęcony autorowi „Seksmissji”, lecz jakby z perspektywy dokonanej. Nieoczekiwana zapowiedź Machulskiego, że się wycofuje („Vinci 2” ma być jego pożegnaniem z kinem), wprowadza nutę melancholii, nadaje egzystencjalno-edukacyjny ciężar wspomnieniom. Ten uwalniający punkt wyjścia częściowo uzasadnia też wpisany w książkę radykalizm. Brak hamulców przed atakowaniem autorytetów, podważaniem wielkości arcydzieł (przerośnięte ego kolegów reżyserów to dość często rozwijany wątek). Machulskiego motywuje dodatkowo fakt, że w opublikowanych niedawno „Notesach” Wajda również się nie przejmował salonową lojalnością, kpił z bliskich mu współpracowników, a jedną z najgorszych cenzur wykazał właśnie Machulskiemu, któremu niemal zabłokował karierę, gdy ten starał się o debiut. Machulski Wajdę podziwia, wykorzystuje jednak okazje, by wbijać mistrzowi szpile, kwestionować choćby wiarygodność historyczną „Popiołów” czy „Katynia”, podkreślając równocześnie walory np. „Szwadronu”. Żałować należy, że z taką samą szczerością nie tłumaczy się z toksycznej przyjaźni z Jackiem Bromskim, szefem SFP i wieloletnim kierownikiem literackim zespołu „Zebra”, gdzie obaj nakręcili najwięcej filmów i seriali. Relacja została oficjalnie zerwana rok temu, ale akurat ten wątek z jakichś powodów jest pominięty.

JANUSZ WRÓBLEWSKI



Od lewej: Jarosław Modzelewski, „Sen z bronią”, 1991 r.,
Marek Sobczyk, „Gdzie w Polsce się jeszcze biją?”, 1988 r.

Portret grupowy 5/6

GRUPPA. Kto chciał wiedzieć wszystko, nie zobaczy nic,
Spectra Art Space, Warszawa, do 12 października

W powojennej historii sztuki polskiej trudno znaleźć formację artystyczną, która obrosłaby taką legendą jak GRUPPA. Mimo że wspólnie działali niecałe 10 lat, a rozeszli się ostatecznie trzy dekady temu, mają grono wiernych fanów i krytyków, ciągle na nowo interpretujących ich dawne osiągnięcia. Tym razem taką okazję stwarza wystawa obrazów członków Grupy z kolekcji rodziny Staraków – 35 starannie wyselekcjonowanych płócien pochodzących w większości z lat 80. XX w. Nawet dziś, po tylu latach, tworzą te prace uderzającą mieszankę, w której na brak pokory nakłada się otwartość i ciekawość, a nad wszystkim unosi się niepołamowana potrzeba wolności (nie tylko artystycznej). A poza tym to także doskonale, wyjątkowo dojrzałe malarstwo. Ta wystawa to wspólna wizytówka sześciu młodych, będących wówczas jeszcze przed trzydziestką twórców (Ryszard Grzyb, Paweł Kowalewski, Jarosław Modzelewski, Włodzimierz Pawlak, Marek Sobczyk, Ryszard Woźniak), których wyróżniała wola walki o swoje prawdy w czasach, gdy mocno dusiły je polityczne blokady. Właściwie każda pokazywana na tej wystawie praca zasługuje na uwagę i osobny komentarz. A kilka z nich to już wręcz symbole sztuki owych czasów, jak choćby „Mon cheri Bolscheviq” Pawła Kowalewskiego. Niestety przesłania, które to malarstwo niesie, pozostają aktualne.

PIOTR SARZYŃSKI

Malta Festival, Poznań, 20–28 czerwca

W programie jednego z najważniejszych rodzimych festiwali znów coś dla siebie znajdą fani, fanki i osoby fanowskie każdej dziedziny kultury. Uwagę przyciągają międzynarodowe gwiazdy, jak piosenkarka Róisín Murphy czy aktorka Tilda Swinton, która zaprezentuje się w wystawianym tylko raz w roku widowisku „Embodying Pasolini”, będącym hołdem dla reżysera Piera Paola Pasoliniego. Ale nazwisk godnych uwagi jest znacznie więcej. Do tego oryginalne produkcje inspirowane kinem Agnieszki Holland: opera „Głos potwora” i spektakl „Kobieta samotna”. Całe bogactwo tej edycji do znalezienia na: malta-festival.pl AK



The Streets, Klub Progresja, Warszawa, 25 czerwca

Może czasy, gdy Mike Skinner był czołową gwiazdą brytyjskiego hip-hopu, należą już do przeszłości, lecz wydaną dwa lata temu (po bardzo długiej przerwie) płytą „The Darker the Shadow the Brighter the Light” udowodnił, że wciąż ma sporo ciekawych historii do opowiedzenia. Tym bardziej że nie zamyka się w klatce nostalgii i w swojej ulicznej poezji próbuje nadążać za gwałtownie zmieniającą się rzeczywistością. Warto go uważnie posłuchać, zwłaszcza że dawno już nie występował w Polsce na klubowym koncercie. Emocje gwarantowane. JD



Bezludzie 5/6

Stefan Wesołowski, Song of the Night Mists,
Unheard Of Hope

Tęsknota jest uczuciem wszechobecnym w muzyce, nieobcym też tej tworzonej przez Stefana Wesołowskiego. Trójmiejski artysta łączy muzykę nową i dawną, środki rodem ze sceny rozrywkowej (syntezatory) z tradycyjnym, wręcz klasycznym instrumentarium. Jednak na „Song of the Night Mists” zdaje się tęsknić za światem nietkniętym ręką człowieka – dzikim, inspirowanym góskimi krajobrazami (to nie pierwszy taki przypadek w muzyce), takim, który istniał przed ludźmi i będzie po nich. Nowy album to zwieńczenie trylogii autorskich płyt rozpoczętej „Liebestod”, a kontynuowanej na nagradzanej (przez nas wyróżnionej nominacją do Paszportu POLITYKI) „Rite of the End”. I słusznie można się spodziewać czegoś odpowiednio monumentalnego – płyta wykorzystuje doświadczenia Wesołowskiego z pracy z orkiestrą, przynosi sekwencje masywnych, posępnych akordów i rozmazuje granicę między tym, co można wygenerować za pomocą nowych i starych (organy) muzycznych maszyn. Nawet w momentach kulminacyjnych, do których z wolna nas prowadzi, rzecz zachowuje surową, pierwotną nutę, jakby autor chciał pokazać, że doskonale panuje nad tym, co chce powiedzieć.

BARTEK CHACIŃSKI

REKLAMA

Rosenthal

LETNIA PROMOCJA

Kupując elementy
legendarnego
serwisu MARIA
lub TAC za 2500 pln
otrzymasz **BONUS**
1000 pln!

www.rosenthal.pl

EC1 Łódź – Miasto Kultury z Nagrodą Europa Nostra 2025!



Przez dziesięciolecie kompleks odgrywał kluczową rolę w rozwoju przemysłowym miasta. Po jego zamknięciu w 2000 roku miejsce to popadało w ruinę, aż do 2008 roku, kiedy rozpoczęto proces rewitalizacji wspierany środkami z funduszy europejskich. Dziś EC1 to tętniące życiem centrum kultury, edukacji i nauki. Historyczne hale i urządzenia techniczne zyskały nowe funkcje, a przemysłowe dziedzictwo zostało zintegrowane z dynamicznymi, wielowymiarowymi programami działań.

Na terenie EC1 działają:

- Narodowe Centrum Kultury Filmowej – instytucja poświęcona dziedzictwu i przyszłości filmu. Oferuje dwie stałe wystawy: Kino Polonia – poświęconą 120-letniej historii polskiego kina, oraz Materia Kina – interaktywna gra pozwalająca wcielić się w rolę producenta filmowego, a także edukacyjne studia filmowe i kino studyjne.
- Centrum Nauki i Techniki – interaktywna przestrzeń łącząca edukację z rozrywką, z ekspozycjami dotyczącymi energii, rozwoju wiedzy i cywilizacji, z jednym z najnowocześniejszych w Polsce planetarium, kinem 3D oraz Ulicą Żywiołów – centrum doświadczeń dla dzieci, gdzie nauka przyjmuje formę zabawy.
- Centrum Komiksu i Narracji Interaktywnej – jedyne miejsce w kraju posiadające nowoczesne wystawy poświęcone sztuce tworzenia komiksów i gier komputerowych. Oferuje wystawę stałą, Strefę Retro ze sprzętem do grania z lat 80. i 90., Game Lab oraz immersyjną strefę VR. Centrum regularnie organizuje wystawy czasowe, poszerzające spojrzenie na kulturę wizualną i cyfrową.

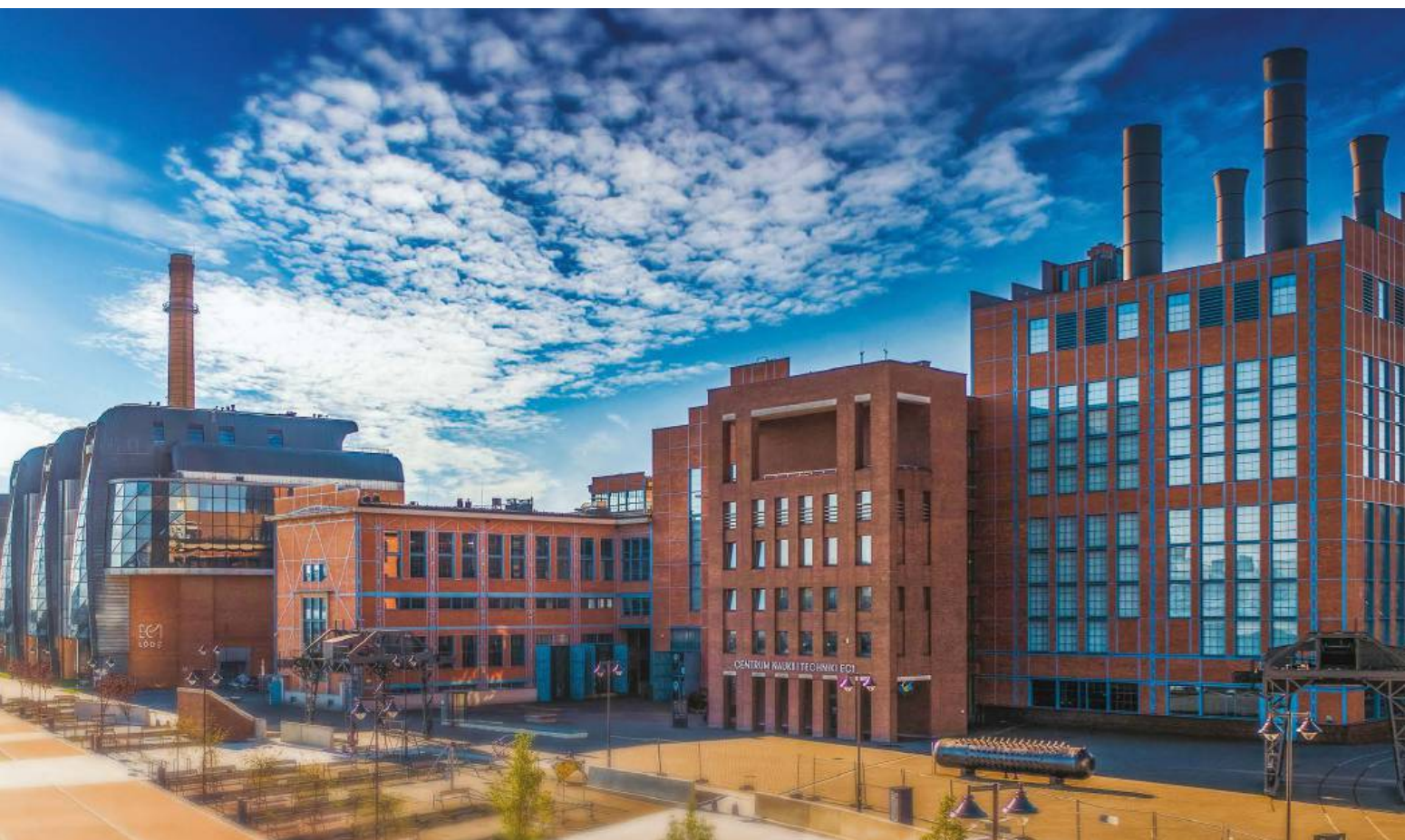
EC1 Łódź – Miasto Kultury zostało laureatem prestiżowej Europejskiej Nagrody Dziedzictwa, przyznawanej przez Unię Europejską i federację Europa Nostra, w kategorii konserwacji i adaptacji. To najwyższe europejskie wyróżnienie dla inicjatyw, które w wyjątkowy sposób chronią i twórczo rozwijają dziedzictwo kulturowe. Nagroda potwierdza, że rewitalizacja dawnej elektrocieplowni z początku XX wieku została przeprowadzona w sposób wspierający rozwój kulturalny i społeczny Łodzi.

EC1 to nie tylko wyjątkowa przestrzeń, ale także przykład przemyślanej i skutecznej rewitalizacji, gdzie wspaniałe dziedzictwo architektoniczne łączy się z nowoczesną funkcją miastotwórczą. Projekt został doceniony za poszanowanie autentyczności, jakość prac konserwatorskich, a także za umiejętne wkomponowanie nowych funkcji w zabytkową tkankę przemysłową. Na terenie EC1 znajduje się oryginalnie zachowana, zrewitalizowana Hala Maszyn, która dzięki zachowaniu unikatowego, postindustrialnego stylu stała się miejscem goszczącym corocznie wiele wydarzeń kulturalnych i koncertów. Dodatkową atrakcją miejsca jest taras widokowy, zlokalizowany na 40-metrowej zabytkowej Chłodni Kominowej, z którego rozpościera się niezwykła panorama miasta.

To wyróżnienie jest sukcesem całej Łodzi i wszystkich, którzy przyczynili się do odbudowy EC1. Dziękujemy, że wspólnie możemy tworzyć tak wyjątkowe miejsce na mapie Europy!



Europejska Nagroda Dziedzictwa 2025 jedzie do Łodzi!



EC1 ŁÓDŹ – MIASTO KULTURY **ZDOBYWCĄ**
EUROPEJSKIEJ NAGRODY DZIEDZICTWA
PRYZNAWANEJ PRZEZ UNIĘ EUROPEJSKĄ
I FEDERACJĘ EUROPA NOSTRA

Instytucja współprowadzona
przez Miasto Łódź i Ministra
Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Wygraliśmy!

Po raz 14. wręczyliśmy Nagrodę Architektoniczną POLITYKI. Tym razem gala odbyła się w pięknie odrestaurowanym Pałacu Rzeczypospolitej.



Laureaci, finaliści i partnerzy nagrody za 2024 r.

U góry: laureaci Grand Prix Mariusz Komraus i Aleksander Bednarski (SLAS architektki) przed kamerą TVP Info.

Adam Masiulanis i Jacek Michalak z Grupy Atlas (sponsor główny nagrody). Powyżej: Tomasz Makowski, dyrektor Biblioteki Narodowej, pokazał naszym gościom cenne zbiory Pałacu Rzeczypospolitej.

Słusznie zrobili wszyscy ci, którzy zamiast oglądać mecz piłkarski Finlandia – Polska, zdecydowali się przyjąć zaproszenie na uroczystość wręczenia 14. Nagrody Architektonicznej POLITYKI. Wprawdzie i tu wyczuwało się pewne napięcie związane z pytaniem: kto wygra?, ale emocje były pozytywne, a satysfakcja, niezależnie od wyniku, gwarantowana. Nasza gala kończyła nieoczekiwany minimaraton, bo kilka dni wcześniej wręczono dwa prestiżowe wyróżnienia: Nagrodę Architektoniczną Prezydenta m.st. Warszawy oraz doroczną nagrodę Stowarzyszenia Architektów Polskich. Ta pierwsza powędrowała do projektantów Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie, a druga – do twórców kompleksu mieszkaniowego „Ajnfart” w Rybniku. Obie te realizacje znalazły się także w finale naszej nagrody i wyraźnie wyczuwało się, że uchodziły również za faworytów wśród zebranych gości, choć sympatie rozkładały się niemal po równo.

Decyzję Kapituły nagrody ogłosił – jak to mamy w tradycji od samego początku, a więc po raz 14. – wiceprezes zarządu Grupy Atlas, naszego wiernego partnera przedsięwzięcia, Jacek Michalak. Budując napięcie, aktorsko wręcz odwlekał moment ujawnienia zwycięzcy, by w końcu zdradzić, że w starciu Dawida z Goliatem zwyciężył (jak w historii) ten pierwszy, czyli Rybnik. Aleksander Bednarski i Mariusz Komraus, tworzący zwycięski zespół projektantów, zbierając zewsząd gratulacje, wydawali się naprawdę szczęśliwi. Stolicy pozostała satysfakcja, że wśród pięciu laureatów nagrody znalazły się aż dwie warszawskie

realizacje, w dodatku obie będące inwestycjami władz miasta. Nawiasem mówiąc, ta druga, czyli Centrum Aktywności Międzypokoleniowej, otrzymała Nagrodę Internautów. Powędrowała ona do pracowni xystudio, co ciekawe, drugi rok z rzędu. Obecna na uroczystości wiceprezydent Warszawy Aldona Machnowska-Góra powinna więc czuć się usatysfakcjonowana.

Na tych, którzy zamiast meczu, a także odbywającej się w stolicy tego samego wieczoru, niewątpliwie ekscytującej gali „Pudełek Pink Party”, wybrali nasze spotkanie z architekturą, czekała jeszcze jedna niespodzianka. Otóż dyrektor partnera gali, czyli Biblioteki Narodowej, Tomasz Makowski osobiście oprowadził zainteresowanych po zakamarkach pięknie odrestaurowanego Pałacu Rzeczypospolitej, ze swadą opowiadając o zgromadzonych tu największych skarbach polskiego piśmiennictwa. Niezwykle rękopisy, starodruki i unikatowe mapy stanowiły wspaniałą oprawę dla naszej uroczystości.

P.S.A.

Zapraszamy do obejrzenia relacji z gali na polityka.pl/architektura

Sponsor Główny
Nagrody Architektonicznej
POLITYKI





Lato 2025

118 najciekawszych wydarzeń kulturalnych

- Festiwale z dostawą do domu
- Morrissey: postać wielka i trudna
- Wieczne antyczne inspiracje
- Polska historia Muminków

Na fot.: Zalia, Margaret i Sara James

KALENDARIUM WYDARZEŃ: LATO

CZERWIEC

06.06 – 11.01.2026 | SZTUKA | **Wystawa „Święte arcydzieło.**

Zwój Tory jako przedmiot i symbol” | Żydowski Instytut Historyczny | Warszawa

13.06–21.09 | SZTUKA | **Anatomia antyku. Ciało**

i ruch w rzeźbie | Zamek Królewski | Warszawa

13.06–26.10 | SZTUKA | **Sophie Thun. Secret**

Performance | Muzeum Sztuki ms1 | Łódź

14.06–19.07 | MUZYKA | **8. Letni Festiwal**

Polskiej Opery Królewskiej | Warszawa

14.06–6.12 | TEATR | **6. Międzynarodowy**

Festiwal Nowa Europa. Lekki Hardcore | Nowy

Teatr | Warszawa

15.06–14.09 | INTERDYSCYPLINARNE | **Wystawa**

immersyjna „Retro Warszawa” | Art Box

Experience/ Fabryka Norblina | Warszawa

15.06–12.10 | SZTUKA | **Od szkicu do**

panoramy. 40-lecie udostępnienia „Panoramy

Racławickiej” | Muzeum Narodowe | Wrocław

17–29.06 | TEATR | **49. Opolskie Konfrontacje Teatralne**

„Klasyka Żywa” | Teatr im. Kochanowskiego | Opole

18.06 | TEATR | **Pokój**, reż. Robert Talarczyk, Szczepan Twardoch |

Teatr im. Słowackiego | Kraków

18.06–21.12 | INTERDYSCYPLINARNE | **Wystawa „Lato, które**

zmieniło wszystko. Festiwal 1955” | Muzeum Warszawy

19–21.06 | MUZYKA | **ING Silesia Beats** | Park Śląski | Chorzów

19.06–1.07 | TANIEC | **XXI Międzynarodowy Festiwal Tańca**

Zawirowania | Centrum Teatru i Tańca Zawirowania | Warszawa

20–21.06 | MUZYKA | **Tauron Nowa Muzyka** | Strefa Kultury |

Katowice

20–28.06 | INTERDYSCYPLINARNE | **35. Malta Festival** | Poznań

20–28.06 | TEATR | **6. Międzynarodowy Festiwal Teatrów Lalek dla**

Dorosłych „Metamorfozy Lalek” | Białostocki Teatr Lalek | Białystok

21.06 | MUZYKA | **Rock the Square** | Plac Teatralny | Lublin

21.06 | MUZYKA | **Mahler – Symfonia tysiąca**, dyr. Alexander

Humala | Centrum Kongresowe ICE | Kraków

21–22.06 | MUZYKA | **Before Festival** | Stanica nad Zalewem |

Siedlce

25.06 | MUZYKA | **The Streets** | Progresja | Warszawa

25–29.06 | MUZYKA | **47. Omnia Beneficia**

Festival | Stary Sącz

26–29.06 | MUZYKA | **Music Week Poland** |

Warszawa

26–29.06 | TEATR, CYRK | **32. Festiwal Sztuka**

Ulicy | Warszawa, Piaseczno

27.06 | MUZYKA | **Europejskie Święto Muzyki:**

koncert „Bydgoszcz miasto muzyki” | Wyspa

Młyńska | Bydgoszcz

27.06 | MUZYKA | **Europejskie Święto Muzyki:**

koncert „Wolność jest kobietą” | Plac Zebrania

Ludowych | Gdańsk

27.06 | MUZYKA | **Europejskie Święto Muzyki:**

koncert „Muzyka z Krakowa – na cztery strony

świata” | Kraków Powiśle | Kraków

27.06 | MUZYKA | **Europejskie Święto Muzyki: widowisko na**

zakończenie Polskiej Prezydencji w UE | MTP | Poznań

27.06 | MUZYKA | **Europejskie Święto Muzyki: Europejski**

Stadion Kultury | Przy Hali Podpromie | Rzeszów

27.06–20.09 | SZTUKA | **Opowiem Wam o sobie/ o nas. Odsłona**

1. kolekcji młodego polskiego malarstwa (daru mBanku dla

Muzeum Narodowego w Gdańsku) | Zielona Brama | Gdańsk

27–29.06 | KOMIKS | **14. Krakowski Festiwal Komiksu** |

Klub Studio | Kraków

27–29.06 | INTERDYSCYPLINARNE | **Festiwal**

Wschód Kultury – Europejski Stadion

Kultury ’25 | Rzeszów

27–30.06 | TEATR | **24. Festiwal Teatru Polskiego**

Radia i Teatru TVP „Dwa Teatry” | Sopot

27–29.07 | MUZYKA | **Poznań Rock Festival** |

Polana Harcerza | Poznań

27.06–23.08 | MUZYKA | **Żywiec Męskie Granie**

| Żywiec, Poznań, Gdańsk, Szczecin, Wrocław,

Kraków, Warszawa

27.06–30.08 | MUZYKA | **Zorza** | Wrocław,

Warszawa, Kraków, Gdańsk, Katowice

27.06–26.10 | SZTUKA | **Gleba i przyjaciele** |

CSW Zamek Ujazdowski | Warszawa

27.06–1.02.2026 | SZTUKA | **W oku cyklonu. Modernizm**

w Ukrainie | Muzeum Sztuki ms2 | Łódź

28.06–4.07 | FILM | **Międzynarodowy Festiwal Filmowy**

BellaToffest | Toruń

28.06–6.10 | SZTUKA | **Terraforma** | Van Rij Gallery, Fabryka

Porcelany AS Ćmielów | Ćmielów

29.06–5.07 | MUZYKA | **15. NDI Sopot Classic** | Sopot

29.06–6.07 | LITERATURA | **14. Festiwal Miłosza** | Kraków

29.06–6.07 | FILM | **54. Lubuskie Lato Filmowe** | Łągow

29.06–6.07 | MUZYKA | **16. Letni Festiwal im. Jerzego**

Waldorffa | Radziejowice

29.06–31.07 | MUZYKA | **25. Festiwal Ogrody Muzyczne** |

Warszawa

LIPIEC

2–5.07 | MUZYKA | **Open'er Festival** | Lotnisko Gdynia-Kosakowo

3–6.07 | MUZYKA | **Warsaw Summer Jazz Days 2025** | Klub

Stodoła | Warszawa

3–6.07 | MUZYKA | **Festiwal Wschód Kultury –**

Inne Brzmienia | Błonia pod Zamkiem | Lublin

4.07 | MUZYKA | **AC/DC** | PGE Stadion Narodowy |

Warszawa

4–5.07 | MUZYKA | **Rock na Bagnie** | Goniądz nad

Biebrzą

4–12.07 | INTERDYSCYPLINARNE | **Festiwal**

„Góry Literatury” | Nowa Ruda i inne miasta

Dolnego Śląska

4.07–30.08 | MUZYKA | **Santander Letnie**

Brzmienia | Kraków, Wrocław, Warszawa, Gdańsk,

Poznań

5.07 | MUZYKA | **Lionel Richie** | Atlas Arena | Łódź

5–6.07 | KOMIKS | **Białogard Comic-Con**

| Centrum Kultury i Spotkań Europejskich |

Białogard

5–13.07 | FILM | **Międzynarodowy Festiwal Filmów**

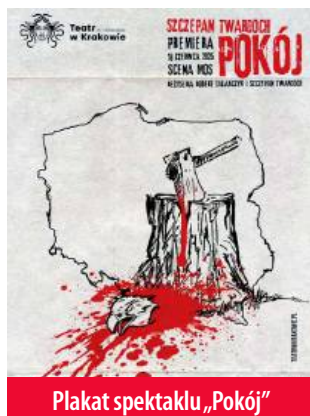
Animowanych Animator | Poznań

10–12.07 | MUZYKA | **Suwałki Blues Festival** | Suwałki Arena |

Suwałki



AC/DC



Plakat spektaklu „Pokój”

KALENDARIUM WYDARZEŃ: LATO

10–13.07 | TEATR | **27. Międzynarodowy Festiwal Teatrów Plenerowych i Ulicznych FETA** | Gdańsk
10–13.07 | INTERDYSCYPLINARNE | **Festiwal Wschód Kultury – Inny Wymiar** | Białystok
10–16.07 | MUZYKA | **3. Baltic Opera Festival** | Sopot, Gdańsk
11–12.07 | MUZYKA | **Avant Art Festival** | Dolny Śląsk
11–13.07 | MUZYKA | **Audioriver Festival** | Łódź
12.07 | MUZYKA | **Guns N'Roses** | PGE Stadion Narodowy | Warszawa
13.07 | MUZYKA | **The Beach Boys** | Progresja | Warszawa
16–20.07 | MUZYKA | **Kazimiernikeszyń** | Kazimierz Dolny
17–20.07 | MUZYKA | **Jarocin Festiwal** | Jarocin
17–20.07 | INTERDYSCYPLINARNE | **Globaltica – 20. Festiwal Kultur Świata** | Park Kolibki | Gdynia
17–27.07 | FILM | **25. Międzynarodowy Festiwal Filmowy BNP Paribas Nowe Horyzonty** | Kino Nowe Horyzonty | Wrocław (17.07–3.08, online)
24–26.07 | MUZYKA | **Sun Festival** | Nadmorski Park Kultury | Kołobrzeg
24–27.07 | CYRK | **16. Carnaval Sztukmistrzów** | Lublin
24–27.07 | MUZYKA | **24. Ostróda Reggae Festival** | Ostróda
24.07–3.08 i 2.09 | MUZYKA | **36. Festiwal Bachowski** | Świdnica
25–26.07 | MUZYKA | **Brasswood Festival** | Sopot, Gdynia
25.07–3.08 | TEATR | **29. Festiwal Szekspirowski** | Gdański Teatr Szekspirowski | Gdańsk
25.07–31.12 | SZTUKA | **Bill Viola** | CSW „Znaki Czasu” i Fundacja Tumult | Toruń
26.07–3.08 | FILM | **Festiwal Filmu i Sztuki BNP Paribas Dwa Brzegi** | Kazimierz nad Wisłą, Janowiec
30.07 | MUZYKA | **Queens Of The Stone Age** | COS Torwar | Warszawa
31.07–2.08 | MUZYKA | **31. Pol'and'Rock Festival** | Czaplinek-Broczyń

SIERPIEŃ

1–3.08 | MUZYKA | **OFF Festival** | Dolina Trzech Stawów | Katowice
1–9.08 | MUZYKA | **80. Międzynarodowy Festiwal Chopinowski** | Duszniki-Zdrój
2.08 | MUZYKA | **Iron Maiden** | PGE Stadion Narodowy | Warszawa
3.08, 4.08 | MUZYKA | **The Real McKenzies** | Hype Park, Proxima | Kraków, Warszawa
3.08, 4.08 | MUZYKA | **Drowning Pool** | Proxima, Hype Park | Warszawa, Kraków
5–10.08 | FILM | **Octopus Film Festival** | Gdańsk
6.08 | MUZYKA | **Kendrick Lamar, SZA** | PGE Stadion Narodowy | Warszawa
8–10.08 | MUZYKA | **African Beats Festival 2025** | Dworek pod Wieżą | Kawęczyn k. Warszawy
8–11.08 | MUZYKA | **Król lew. Live in Concert** | Kielce, Opole, Szczecin, Koszalin
8–30.08 | MUZYKA | **Rockowizna Festiwal** | Gdańsk, Poznań, Kraków
10.08 | MUZYKA | **Autechre** | Progresja | Warszawa
10–17.08 | FILM | **26. Letnia Akademia Filmowa** | Zwierzyniec

12–24.08 | MUZYKA | **Festiwal Muzyka w Raju** | Ziemia Lubuska
14–16.08 | MUZYKA | **BitterSweet Festival** | Poznań
15–17.08 | MUZYKA | **Olsztyn Green Festival** | CRS Ukiel | Olsztyn
17–23.08 | MUZYKA | **20. Międzynarodowy Festiwal Mozartowski „Mozartiana”** | Gdańsk Oliwa
17–24.08 | MUZYKA | **33. Pieśń Naszych Korzeni** | Jarosław



Nelly Furtado

19–24.08 | INTERDYSCYPLINARNE | **Dni Fantastyki** | OPT Zamek | Wrocław
20.08–6.09 | MUZYKA | **21. Festiwal Chopin i Jęgo Europa** | Warszawa
21–24.08 | LITERATURA | **Literacki Sopot** | Sopot
22–23.08 | MUZYKA | **Yass! Festival** | Żnin
23.08 | LITERATURA | **Europejska Noc Literatury** | Wrocław
26.08–7.09 | MUZYKA | **11. Krzyżowa Music** | Krzyżowa, Dolny Śląsk
27–31.08 | MUZYKA | **19. Festiwal Goldbergowski** | Gdańsk
27.08–8.09 | MUZYKA | **22. Festiwal Ensemble** | Radziejowice
29–31.08 | FILM | **14. Festiwal Filmowy HOMMAGE À KIEŚŁOWSKI** | Sokołowsko
29.08–3.09 | MUZYKA | **VII Festiwal Romantycznych Kompozycji. Salon Chopina** | Łazienki Królewskie | Warszawa

WRZESIEŃ

1–3.09 | MUZYKA | **Agnes Obel** | Progresja | Warszawa
4–6.09 | MUZYKA | **Summer Dying Loud** | Miejski Ośrodek Sportu i Rekreacji | Aleksandrów Łódzki
4–14.09 | MUZYKA | **60. Międzynarodowy Festiwal Wroclavia Cantans** | Wrocław
5.09–2.11 | SZTUKA | **Boznańska. Kameralnie** | Muzeum Narodowe | Kraków
5.09–30.11 | SZTUKA | **Wystawa: Drwal. Historie o męskości** | CK Zamek | Poznań
6.09 | TEATR | **Producenci, reż. Tomasz Dutkiewicz** | Teatr Muzyczny im. Baduszkowej | Gdynia
6.09 | MUZYKA | **Current 93** | Palladium | Warszawa
7–8.09 | MUZYKA | **Mulatu Astatke** | CK Zamek, Palladium | Poznań, Warszawa
9–14.09 | MUZYKA | **Avant Art Festival** | Wrocław
12–14.09 | MUZYKA | **Skrzyżowanie Kultur** | Warszawa
13.09 | TEATR | **Krzyżacy, reż. Jan Klata** | Teatr im. Jaracza | Olsztyn
13.09 | TEATR | **Beetlejuice, reż. Jacek Mikołajczyk** | Teatr Syrena | Warszawa
16–21.09 | MUZYKA | **Avant Art Festival** | Warszawa
19.09 | OPERA | **Najlepsze miasto świata. Opera o Warszawie, reż. Barbara Wiśniewska** | Teatr Wielki-Opera Narodowa | Warszawa
19–27.09 | MUZYKA | **68. Międzynarodowy Festiwal Muzyki Współczesnej „Warszawska Jesień”** | Warszawa
22–27.09 | FILM | **50. Festiwal Polskich Filmów Fabularnych** | Gdynia



Olga Boznańska, autoportret



Letni objazd

W Polsce konkurencja rynkowa jest taka, że publiczność nie musi już jeździć śladem letnich festiwali. To letnie imprezy przemieszczają się w ślad za swoją publicznością.

Polski sezon festiwalowy zaczął się w tym roku od przeprosin. „Jak to bywa z pierwszymi razami, nie wszystko zawsze jest magiczne” – napisali organizatorzy Zorzy, stworzonej przez Dawida Podsiadłę i jego team imprezy, która od razu przy okazji pierwszej edycji pokazała, co się może zepsuć. Po pierwsze, pogoda. Przez Poznań przeszła nawałnica, która zamieniła teren festiwalu w błoto.

Po drugie, teleinformatyka. Bo przy okazji uszkodzona została infrastruktura Zorzy, przez co impreza sponsorowana przez dostawcę internetu była początkowo odcięta od sieci – niemożliwe były jakiegokolwiek zakupy. Z jednej strony pojawiły się epitety: padaka, błoto jak w świnia. Z drugiej żartowano, że ci narzekający to „płatki śniegu” i że przestraszyli się kałuży. Muzycznie podobno się udało.

Zorza ma być konkurencją dla dwóch innych imprez: mającego 15-letni staż Męskiego Grania i organizowanych po raz trzeci Santander Letnich Brzmień. Obie stanowią dziś o specyfice polskiego rynku, polubiliśmy bowiem letnie imprezy w formule festiwalu objazdowego, jeżdżącego podczas wakacji od miasta do miasta. Męskie Granie jedzie w tym roku do Żywca, Szczecina, Poznania, Gdańska, Wrocławia, Krakowa i Warszawy. Letnie Brzmienia wybrały tych pięć ostatnich. Zorza do tej piątki dodaje jeszcze Katowice.

Formuła utarła się już w 2010 r. Wymyślono nieco tylko zmieniający się program, w którym będą jednak wracały częściowo te same nazwy i nazwiska, za to zagra drem team gwiazd charakterystyczny tylko

dla danej imprezy. Zagra i zaśpiewa napisany dla festiwalu hymn, czyli specjalną piosenkę. W ciągu kilkunastu dni dostaliśmy więc najpierw specjalne przedsięwzięcie Letnich Brzmień, czyli Babie Lato (nazwa gra trochę na nosie Męskiemu Graniu), z tanecznym przebojem „Co za noc” Margaret, Zalii i Sary James. Później epkę Dawida Podsiadły z Kaśką Sochacką zwiastującą wspólne koncerty podczas Zorzy. A wreszcie tradycyjny hymn Męskiego Grania, w tym roku „To bardzo ziemskie” nagrane z udziałem Natalii Przybyś, Igora Herbuta, Błażeja Króla i Ralpha Kamińskiego. Ten ostatni pojawił się na końcu i w statystykach będzie z trudem ścigał własną konkurencję liczącą już ponadmilionowe zasięgi.

Konkurencja będzie trudna, bo opiera się (to jeszcze jeden fenomen tego typu imprez) niemal wyłącznie na polskich artystach. Pisaliśmy już na polityka.pl, że fan muzyki będzie musiał tego lata utrzymać się w stanie wzmożonej uwagi i trzeźwości, żeby nie pomylić ze sobą festiwali. Występ Zalewskiego zobaczy bowiem i na Letnich Brzmieniach, i na Męskim Graniu (na tym ostatnim w towarzystwie T. Love), Artura Rojka – i na Męskim, i na Zorzy (ale tylko tu z Podsiadłą), **Katarzyna Nosowska** na Męskim Graniu pojawi się w towarzystwie Błażeja Króla, ale tylko na Letnich Brzmieniach (gdzie występowała przed rokiem) zobaczymy ją na czele grupy **Hey**.

Ważną częścią polskich festiwali objazdowych, naszej narodowej specjalności, są powroty do tego, co było. Stąd właśnie Hey z jedynymi w 2025 r. koncertami i jeszcze specjalny program Edyty Bartosiewicz na Letnich Brzmieniach. I stąd grupa Lady Pank wykonująca repertuar ze swojej pierwszej płyty oraz John Porter prezentujący 45-letni już materiał z „Helicopters” na Męskim Graniu.

Największym osiągnięciem tej konkurencji wydaje się jednak przełamanie strachu przed innymi konwencjami albo nawet przed równouprawnieniem na muzycznej scenie. Męskie Granie, mimo niewątpliwego sukcesu, mocno ciągnęła w dół nazwa imprezy. Letnie Brzmienia może więc nie zmieniły kształtu dyscypliny, ale przełamały ów męski porządek, mocno stawiając na kobiety na scenie. Wydaje się też, że ta impreza – organizowana przez tę samą agencję, która opiekuje się poznańskim Next Festem oraz tamtejszym

BitterSweet Festivalem (wielka premiera tej imprezy 16–18 sierpnia, tu m.in. Post Malone, Nelly Furtado i ekskluzywnie Taco Hemingway) – wyjątkowo szeroko prezentuje młodszą generację polskiej muzyki pop. Z kolei Męskie Granie pozwala sobie na wycieczki w mniej oczywiste rejony, sięgając choćby po artystów jazzowych.

Jak publiczność reaguje na ten model rozrywki z dostawą do najbliższego dużego miasta? Na razie, sądząc po sprzedaży

biletów, całkiem nieźle. „Wszyscy wokół mnie jakby stracili kontrolę, dusze tańczą na stole/ Co za noc!/ Tysiąc sto dwadzieścia stóp na jednej podłodze, tańczą, pali je ogień” – śpiewają Margaret, Zalia i Sara James w swoim letnim hicie. I tego życzymy uczestnikom wszystkich imprez. Do tego, żeby mieli w sam raz błota (bywa atrakcją letnich imprez) i internetu, który pozwoli całej reszcie śledzić to, jak się bawili znajomi na konkurencyjnych objazdach.

BARTEK CHACIŃSKI

REKLAMA

13.06-21.09.2025

ANATOMIA ANTYKU

WYSTAWA W ZAMKU KRÓLEWSKIM W WARSZAWIE

CIAŁO I RUCH W RZEŹBIE



Partner Strategiczny

Sponsoring



SOLIŚCI | CHÓR | ORKIESTRA

KRÓL LEW

LIVE IN CONCERT



8/08/2025 Kielce

9/08/2025 Opole

10/08/2025 Szczecin

11/08/2025 Koszalin

krollewlive.pl

MISTRZOWIE KLASYKI

MARIUSZ PATYRA



20/10/2025 TORUŃ

21/10/2025 GDAŃSK

ROYAL INTERNATIONAL BALLET

JEZIORO ŁĄBĘDZIE



RZESZÓW • KATOWICE • TORUŃ
KRAKÓW • WARSZAWA i inne...

13/12/2025
ICE KRAKÓW

VERDI GALA



fm
PRO MUSICA

Więcej wydarzeń: promusica.pl

KUP BILET na

kup bilecik

zamówienia grupowe: alina@promusica.pl

REKLAMA



Czuły chuligan

Koncert **Morrisseya** w krakowskiej Tauron Arenie to jego powrót do Polski po 11 latach. Z pewnością będzie wydarzeniem, oby jedynie artystycznym.

Większość gwiazd pop dopiero po śmierci osiąga status ikony, jaki Morrissey ma już za życia – pisał w 2007 r. dziennik „The Independent”. „Jak traktować Morrisseya? Najlepiej przestać go słuchać” – radził z kolei dekadę później „Guardian”, podważając nie tyle dorobek artystyczny brytyjskiego gwiazdora, ile jego działalność publiczną. 66-letni wokalista, w równej mierze bohater konserwatywnej klasy robotniczej i środowisk wolnościowych, przez ponad cztery dekady scenicznej aktywności zdążył narobić sobie wrogów po każdej stronie ideologicznych sporów – jakby testował oddanie fanów, umiejscawiając wybaczyć mu wyjątkowo wiele.

Ten kredyt zaufania sięga początku lat 80., kiedy na zdominowanej przez syntezatorowe brzmienia brytyjskiej scenie pojawił się zespół The Smiths, założony przez Morrisseya (podpisującego się jedynie nazwiskiem – imienia Steven szczerze nie znosił) i nastoletniego wirtuoza gitary Johnny’ego Marra. Połączyła ich z jednej strony fascynacja glamową odłogą rocka lat 70. – grupami takimi jak T. Rex, Roxy Music czy New York Dolls

(sam Morrissey był założycielem brytyjskiego fanklubu tego zespołu). Z drugiej – miłość do brzmień studia Motown i dziewczęcych popowych grup z lat 60. Do tego doszły teksty, którym patronowali klasycy brytyjskiej literatury, na czele z Oscarem Wilde’em („Życie to coś więcej niż książki. Ale nie dużo więcej”) – śpiewał Morrissey). Efektem był zespół, który na nowo definiował ramy muzyki gitarowej i stanowił inspirację dla całej późniejszej sceny indie – od britpopowej rewolucji lat 90. po gitarowy renesans początków XXI w.

Za warstwę muzyczną odpowiadał Marr. Morrissey chętnie wszedł w rolę trybuna codzienności. Sama nazwa The Smiths to po prostu Kowalscy. „To najpospolitsze nazwisko. Pomyślałem, że nadśledzi czas, aby zwykli ludzie tego świata w końcu pokazali swoje twarze” – tłumaczył. Portretowani w jego tekstach bohaterowie to zarówno nieśmiali okularnicy, zbyt zawstydzeni, by odezwać się do swojej sympatii, jak i wrażliwi chuligani, do których Morrissey zdawał się mieć wyjątkową słabość. Piosenki The Smiths stały się kołem ratunkowym dla wyrzutków szukających swojego miejsca w konserwatywnym brytyjskim

społeczeństwie, a koncerty grupy znosiły granicę między wykonawcami a publicznością, tłumnie wdzierającą się na scenę, by objąć wokalistę.

Zespół rozpadł się w 1987 r. po nagraniu czterech albumów. Doceniany przez krytyków i słuchaczy, nie zdążył jednak odnieść komercyjnego sukcesu. Ten skonsu-
mował Morrissey w karierze solowej. Jak na piewce zwykłej codzienności, okazał się postacią wyjątkowo barwną, z czego chętnie korzystała szukająca kontrowersji brytyjska prasa, której nie szczędził złośliwości. Gdy po publikacji piosenki nawiązującej do spirytystycznej tablicy Ouija został oskarżony o okultyzm, odparł, że jego jedynym kontaktem z martwym była rozmowa z dziennikarzem tabloidu „The Sun”.

Jednocześnie sam dostarczał mediom gorących tematów. W latach 80. otwarcie atakował Kościół i monarchię, a ówczesnej konserwatywnej premier Margaret Thatcher zadedykował utwór „Margaret na gilotynie”, przez co doczekał się oskarżeń o powiązania z terrorystami. W ostatnich latach wspierał z kolei brytyjskich nacjonalistów, w liderze kampanii na rzecz brexitu Nigelu Farage’u widział „dobrego kandydata na premiera”, dumnie przypinał do piersi znaczek antyislamskiej partyjki For Britain, nie szczędził za to krytyki ruchowi #MeToo. Z powodu politycznych sympatii byłego kolegi z intratnej oferty koncertowego wskrzeszenia The Smiths zrezygnował niedawno Johnny Marr – jako komentarz opublikował jedynie zdjęcie Farage’a.

Swoją kontrowersyjną twarz Morrissey pokazał również polskim fanom. Podczas występu w Warszawie w 2011 r., niedługo po masakrze dokonanej przez Andersa Breivika na wyspie Utøya, oświadczył, że ta tragedia to nic w porównaniu z tym, czego dopuszczają się codziennie KFC i McDonald’s (jest zdeklarowanym weganinem). Trzy lata później opuścił koncert po niecałych 30 minutach, tłumacząc to groźbami ze strony publiczności – według świadków poszło raczej o okrzyk „zamknij się i graj!”, rzucony przez słuchacza zniecierpliwionego jego scenicznym monologiem. Wśród fanów od lat krąży zresztą żart o przyniesieniu zatyczek na koncerty, gdyby zaczął przemawiać między piosenkami. Na wszelki wypadek warto mieć je pod ręką w krakowskiej Tauron Arenie.

MICHAŁ KLIMKO

Lebens- gefühl

[ˈleːbɪnsɡəˈfʏl]

Dystans, by spojrzeć
na świat z innej perspektywy.

austria.info

animator film festival

Oscar® qualifying
International Animated
Film Festival

5-13.07.2025
poznań

animator film festival

Oscar® qualifying
International Animated
Film Festival

5-13.07.2025
poznań

ORGANIZATORZY:



WSPÓLFINANSOWANIE:



Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego
pochodzących z Funduszy Promocji Kultury



REKLAMA

Samotność nad Bałtykiem

Organizatorzy trzeciej edycji Baltic Opera Festival nadali jej hasło: samotność. Ważny temat na obecne trudne czasy.



Samotna w swoim szaleństwie jest Salome z opery Richarda Straussa, którą obejrzymy w sopockiej Operze Leśnej. Tę produkcję wedle koncepcji inscenizacyjnej dyrektora festiwalu Tomasza Koniecznego wyreżyseruje Romuald Wicza-Pokojski; grać będzie Sinfonia Varsovia, zespół solistów jest w większości międzynarodowy. Dyryguje Yoel Gamzou, scenografię opracuje Boris Kudlička.

Samotny jest Chrystus cierpiący. Drugim spektaklem na sopockiej scenie będzie inscenizacja „Pasji” Krzysztofa Pendereckiego. W reżyserii Barbary Wiśniewskiej, znów z Sinfonią Varsovią i czterema chórami, tym razem pod batutą Bassem Aki, a solistami będą prawdziwe gwiazdy: Olga Bezsmertna, Adrian Eröd i Matthias Goerne.

Tegoroczna edycja imprezy odbywa się od 10 do 16 lipca. W Operze Bałtyckiej w Gdańsku obejrzymy „Głos potwora” Aleksandra Nowaka do libretta Roberta Bolesty i w reżyserii Agnieszki Smoczyńskiej. Wystąpią miejscowe zespoły pod

batutą Yaroslava Shemeta; jest to koprodukcja z festiwalem Malta. Dzieło powstało z inspiracji filmem „Europa, Europa” Agnieszki Holland, ale akcję przeniesiono w świat mitologii greckiej. Mówi o straszliwej samotności osoby wykluczonej, która ukrywa się między wrogami, by uniknąć śmierci.

Z warszawskiej Opery Narodowej przyjeżdża spektakl „Wóló bòskò”, który powstał z inicjatywy jego wykonawcy Damiana Wilmy, a tworzywem są pieśni Łukasza Godyli do ludowej poezji kaszubskiej. Rolę mówioną, ale bardzo wyrazistą, odgrywa w spektaklu Danuta Stenka. Tu tematem jest samotność tragicznych kochanków.

Samotny wędrowiec jest bohaterem cyklu pieśni „Podróż zimowa” Franza Schuberta do wierszy Wilhelma Müllera. Z towarzyszeniem projekcji i tańca, w Galerii Layup – 100cznia.pl w Gdańsku będzie go śpiewał Łukasz Konieczny. Finałem festiwalu będzie występ uczestników kursu wokalnego, prowadzonego przez Olę Bezsmertną i Rafała Siwka.

DOROTA SZWARCMAN



Zwiedzanie z gwiazdami

Już od ćwierć wieku na przełomie lipca i sierpnia turyści melomani, fani muzyki baroku (ale nie tylko), mogą uczestniczyć w koncertach Festiwalu Bachowskiego. Główną jego lokalizacją jest słynny Kościół Pokoju w Świdnicy, przepiękny i obdarzony wspaniałą akustyką. Ale jest też cała sieć okolicznych atrakcyjnych miejsc, gdzie również dociera festiwal: w tym roku m.in. Pałac Jedlinka w Jedlinie, Pałac Gladishof w Piławie Górnej, Zamek Górką w Sobótce, zabytkowy

dworzec w Żarowie, kościoły w Zastrużu, Walimiu, Pożarzysku czy Dzieńmorowicach – w dzień i w nocy, w formie śniadania na trawie czy nabożeństwa kantatowego. Można więc połączyć muzykę ze zwiedzaniem.

26. edycja imprezy (24 lipca – 3 sierpnia i 2 września) program ma atrakcyjny. Po raz pierwszy przyjedzie słynny tenor **Rolando Villazón**, który zaśpiewa z Cappellą Cracoviensis, podobnie jak powracający na festiwal wenezuelski męski

sopran Samuel Mariño. Przyjadą młodzi, ale już bardzo uznani klawesyniści **Jean Rondeau** i Justin Taylor, a także legenda muzyki baroku, teorbistka Christina Pluhar ze swoim zespołem L'Arpeggiata. W świdnickiej katedrze zaśpiewa zespół Graindelavoix, a w różnych miejscach Marcin Masecki będzie grał cykl wszystkich sonat fortepianowych Mozarta. Miesiąc po zakończeniu festiwalu w Kościele Pokoju epilog – recital **Jakuba Józefa Orlińskiego z Michałem Bielem**. DSZ

REKLAMA



termin składania ofert
15 lipca 2025

pełna treść ogłoszenia
<https://bip.gdansk.pl>

Konkurs na kandydata na stanowisko dyrektora Muzeum Gdańska



bitter sweet

FESTIVAL 14-16.08

POZNAŃ, PL • PARK CYTADELA



Post Malone

Empire of the Sun

Nelly Furtado

Peggy Gou

Taco Hemingway

JEDYNY KONCERT W 2025

BEDOES 2115 PROJEKT SPECJALNY

I WIELU INNYCH



REKLAMA

W swoją trzecią dekadę festiwal Skrzyżowanie Kultur wkracza w rytmach czterech kontynentów. Będzie saharyjski blues, kubański jazz, polifonie z Armenii i Korsyki.



Grając na pograniczach

Krzyżowanie kultur podczas 21. edycji warszawskiego przeglądu muzyki świata odbywać się będzie nie tylko pomiędzy kolejnymi występami, lecz także w trakcie w ramach każdego z nich. Co już w wieczór otwarcia pokaże tuarecki gitarzysta i wokalista **Bombino**, jeden z głównych ambasadorów tzw. saharyjskiego bluesa. Dorastając w nomadzkim obozie na północy Nigerii, wchłoniął berberyjskie tradycje, ale później – już jako uchodźca w Algierii – nałożył na nie nastoletnią fascynację Jimim Hendriksem i Markiem Knopflerem. A w trakcie dojrzałej kariery współpracował z gwiazdami amerykańskiej alternatywy, zdarzył mu się nawet utwór inspirowany reggae. Mimo tych globalnych inspiracji i takiejsze kariery Bombino wiernie wraca w swoich gitarowych mantrach do rodzinnego Sahełu, opiewa uroki i wylicza trudy pustynnej codzienności. Uparcie przypomina też o zmaganiach Tuaregów z próbami marginalizowania ich przez centrale krajów mających nad nimi formalną zwierzchność.

Onieziszczonych marzeniach o własnej państwowości mógłby śpiewać także Adel Naderi wraz z zespołem Hawraman, czyli kurdyjscy przybysze z górskiego pogranicza Iranu i Iraku. Podobnie jak Bombino wielowiekowe tradycje swojego ludu chętnie aktualizują i poszerzają poprzez współpracę z wykonawcami skądinąd – ot, na początku tego roku ukazała się płyta „The Land of Clouds”, na której Naderi śpiewa w towarzystwie rodaków oraz Polaków, którzy do studia wnieśli nasze górskie tradycje. Z kolei do tradycji ormiańskiej nader swobodnie podchodzi siedmioosobowa formacja Naghash Ensemble. Podczas gdy w przeszłości grupę zakotwiczały takie instrumenty jak ud (bezprogowa lutnia arabska), duduk



(instrument dęty wywodzący się właśnie z Armenii) i dhul (dwustronny bęben) oraz teksty oparte na XV-wiecznej ormiańskiej poezji, fortepian ciągnie cały kolektyw ku jazzowi i muzyce filmowej, a trzy śpiewaczki miotają się pomiędzy operą, minimalizmem i popem.

Do tego ostatniego najbliższej na festiwalu będzie **Oumou Sangaré**, gwiazdka malijskiej muzyki, a konkretnie charakterystycznego dla zachodniej części Afryki podgatunku popu o nazwie Wassoulou. Zapewne będzie to też ten koncert festiwalu, podczas którego najtrudniej będzie usiedzieć na krzesłach Teatru Dramatycznego. Sangaré ma w swoim dorobku nagrodę Grammy, tymczasem kubański saksofonista i klarncista Paquito Rivera – aż pięć. 77-letni muzyk na koncertach zwykł łączyć własne kompozycje ze standardami latynoskiego jazzu.

Skrzyżowanie Kultur w tym roku od 12 do 14 września, ale osobom niecierpliwym warto przypomnieć, że na podobne krzyżowanie kultur można będzie liczyć chociażby na festiwalach EtnoKra-ków (20–28 czerwca) czy gdyńskim Globaltica (17–20 lipca), świętującym w tym roku własne 20-lecie.

MARIUSZ HERMA



Impreza otwarta

Lubelskie Inne Brzmienia to nie tylko oryginalny program muzyczny, to inne spojrzenie na miejski festiwal.



Mówi się, że darmowe imprezy miejskie muszą równać do wspólnego mianownika i próbować pogodzić wszystkich. Nie zawsze.

Lubelski festiwal Wschód Kultury – Inne Brzmienia robi to samo inaczej: jest dla wszystkich jako impreza otwarta, ale swój różnorodny program kieruje raczej do każdego z osobna. Wystarczy zwrócić uwagę na same tylko różnice w natężeniu dźwięku: z jednej strony **Laraaji**, mistrz nurtu ambient (niegdyś współpracownik Briana Eno), proponujący medytację przy brzmieniach cytry, albo transowy i improwizujący folk Raphaëla Rogińskiego, z drugiej – hałaśliwe A Place To Bury Strangers, niderlandzki The Ex czy metalowy Voivod. Wszystko na tych samych Błoniach i jednak z tą samą – przynajmniej w dużej mierze – publicznością.

Tę ostatnią Inne Brzmienia (w tym roku od 3 do 6 lipca) przyzwyczaiły do tego, że są wielkim spotkaniem Wschodu z Zachodem. Takiego najazdu artystów z Nowego Jorku i okolic Lublin nie przeżył zapewne od czasu wizyty ekipy filmowej „Prawdziwego bólu”, bo gościem honorowym imprezy będzie amerykańska wytwórnia Stone Tapes. Dość młoda, a pod względem profilu równie eklektyczna co lubelski festiwal, kierowana przez znanego z kultowej grupy Monotonix nowojorczyka Yonatana Gata. – Zebrała się wokół niego niesamowita grupa artystów i artystek, którzy reprezentują tzw. nurt wielokulturowy, różnorodność etniczną i wszelkie możliwe

muzyczne wpływy, które są w jakiś sposób widoczne aktualnie w Stanach Zjednoczonych – mówi Agnieszka Wojciechowska, która wspólnie z Rafałem Chwałą przygotowuje program imprezy. Siła Stone Tapes polega na tworzeniu twórczego kolektywu, ciągłej współpracy między muzykami z różnych środowisk. – Wytwórnia stała się też fajnym przyczółkiem dla artystów legendarnych, takich jak Lee Ranaldo (gitarzysta Sonic Youth – przyp. red.) czy Laraaji, którzy dostali tam kolejną szansę tworzenia nowych rzeczy – dodaje Wojciechowska.

– W ramach prezentacji odbędą się trzy koncerty: Laraaji zacznie solo i dołączy do niego stopniowo inni muzycy, Lee Ranaldo i Leah Singer zagrają swój program, a Yonatan zmontuje coś na kształt Stone Tapes Allstars – i w tej grupie znajdą się specjaliści goście, m.in. Avishag Cohen Rodrigues i Adi Gelbart – zapowiada Rafał Chwała.

Wschód reprezentować będą z kolei pochodząca z Kijowa kompozytorka muzyki elektronicznej Olesia Onykienko, występująca jako NFNR, czy działająca w Polsce białoruska grupa Flower & Pines. Przede wszystkim jednak wschodnioeuropejska tematyka zdominuje wpisany w tę imprezę program literacki – podczas festiwalu odbędą się aż dziewięć premier książek opublikowanych w ramach serii wydawniczej Wschodni Express, tworzonej przez organizatorów Innych Brzmień. BCH

REKLAMA

BALTIC OPERA FESTIVAL MECENAS GŁÓWNY ORLEN



MECENAS GŁÓWNY



Organizatorzy Festiwalu



SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

eprasa.pl 1eb33a86d2

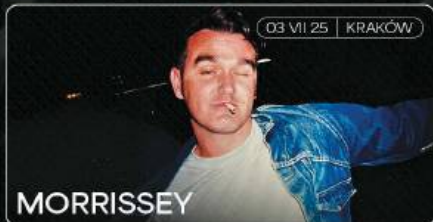
WINTERREISE^{10 LIPCA} SCHUBERT
 11, 13 LIPCA SALOME
 STRAUSS
 GŁOS POTWORA
 12 LIPCA PASJA WG NOWAK
 ŚW. ŁUKASZA PENDERECKI
 12 LIPCA
 15 LIPCA WOLÔ
 GODYLA BÔSKÔ

WINIARY BOOKINGS PREZENTUJE



DREAM THEATER

23 VI 25 | SÓPOT



MORRISSEY

03 VII 25 | KRAKÓW



THE DANDY WARHOLS

SISTERS OF YOUR SUNSHINE VAPOUR

21 VII 25 | KATOWICE



DROWNING POOL

LILIA / SERPENTS

03 VIII 25 | WARSZAWA

04 VIII 25 | KRAKÓW



MAYHEM

OWLS WOODS GRAVES

10 VIII 25 | WARSZAWA



GLENN HUGHES

DARKER HALF

08 IX 25 | KRAKÓW

10 IX 25 | WARSZAWA



PARKWAY DRIVE

THY ART IS MURDER / THE AMITY AFFLICTION

10 XI 25 | ŁÓDŹ



KUPIJ BILETY NA:
WINIARYBOOKINGS.PL

ORAZ W SIĘCIACH SPRZEDAŻY: GOING
EMPIR BILETY / EVENTIM / EBILET / TICKETMASTER

REKLAMA

Gdyński Teatr
Muzyczny wystawi
„Producentów” Mela
Brooksa – brawurowy
musical o tym,
że czasem klęska bywa
sukcesem, a sukces
klęską.



Happy and gay

Mel Brooks, który 28 czerwca skończy 99 lat, jest mistrzem filmowych parodii („Płonące siodła”, „Młody Frankenstein”, „Kosmiczne jaja” czy „Robin Hood: Faceci w rajtuzach”) i członkiem wąskiego grona zdobywców EGOT, czyli kompletu najważniejszych nagród w amerykańskiej branży rozrywkowej: Emmy, Grammy, Oscara i Tony. A najwięcej z nich przyniosła mu pierwsza z tych parodii, debiut filmowy Brooksa z 1967 r. „Producent”. Komedia o broadwayowskim musicalu planowanym jako kłapa, który niespodziewanie okazał się sukcesem, co doprowadziło jego producentów na skraj katastrofy, została uhonorowana m.in. Oscarem za scenariusz. W 2001 r. powstała adaptacja musicalowa, z Nathanem Lane’em i Matthew Broderickiem w tytułowych rolach i z Susan Stroman jako reżyserką. Otrzymała rekordowe w dziejach Broadwayu 12 nagród Tony (słynny „Hamilton” ma ich 11), w tym najważniejsze: za libretto i za piosenki (oba autorstwa Brooksa) oraz za najlepszy musical. W 2005 r. powstała zaś filmowa wersja musicalu (będącego musicalową wersją filmu), w której Lane’owi i Broderickowi partnerowała Uma Thurman.

Czym Brooks pobił musicalowych wyjadaczy? W skrócie: szaleństwem i brawurą. A nieco dłużej: „Producent” to opowieść

o samym musicalu, o Broadwayu, ale prowadzona *à rebours* i ze skrupulatnym odhaczaniem wszystkich punktów zabronionych. Tu zdesperowany producent Max Bialystock odkrywa z pomocą poborcy podatkowego – marzącego o karierze na Broadwayu Leo Blooma, jak zarobić nie na musicalu, który odniesie sukces (to tyleż oczywiste, co niełatwe do zrealizowania), ale na takim, który skończy się spektakularną kłapą. Ruszają więc na poszukiwanie sztuki i reżysera, gwarantujących, że spektakl spadnie z afisza, zanim zacznie się trzeci akt. I tym sposobem dwaj Żydzi zostają producentami neonazistowskiego musicalu w gejojskiej estetyce... A po drodze są żarty nie tylko z Hitlera (konkretnie: z Adolfa Elżbiety Hitlera) i jodłujących neonazistów, ale też z gejów, blondynek, starszych pań i z samych producentów. Wszystko z przewrotnymi piosenkami (naziści w karnych szeregach wyśpiewujący „Deutschland is happy and gay”) i widowiskowymi układami tanecznymi.

W Teatrze Muzycznym w Gdyni „Producentów” wyreżyseruje Tomasz Dutkiewicz, rolę Maksa Bialystocka zagrają na zmianę Robert Rozmus i Marcin Słabowski, Leo Bloom – Paweł Czajka i Łukasz Podgórzak, a w reżysera Rogera De Billa wcielią się Sebastian Wisłocki i Łukasz Zagrobelny. Premiera 6 września. AK

„Król lew. Live in Concert” pozwala się zanurzyć w świecie filmowych bohaterów.



Lew z orkiestrą

Król lew”, kultowa animacja Disneya, która od premiery w 1994 r. wzrusza i bawi kolejne pokolenia, doczekała się wersji musicalowej, kilku kontynuacji oraz remake’u z użyciem technologii live-action, a potem i jego kontynuacji. Własne i równie bogate życie wiecie też muzyka z filmu, co nie dziwi, skoro twórcami hitowych piosenek są Elton John (muzyka) i Tim Rice (słowa), a za inspirowaną afrykańską przyrodą ścieżkę dźwiękową odpowiada uznany kompozytor Hans Zimmer (nagrodzony za nią Oscarem). Płyta z filmową muzyką, nagrywana w USA, Wielkiej Brytanii i RPA, stała się światowym bestsellerem, a od jakiegoś czasu można także wziąć udział w koncertach, które pozwalają się zanurzyć w świecie bohaterów filmu: Simby, Nali, Pumby, Timona i reszty.

Widowisko „Król lew. Live in Concert” zestawia niezapomniane przeboje, jak „Hakuna Matata”, „Circle of Life” czy „Can You Feel the Love Tonight”, z działającymi na wyobraźnię wizualizacjami malowanymi piaskiem na wielkim ekranie. Na pierwszym planie pozostaje jednak muzyka, w efektownym wykonaniu solistów, chóru i orkiestry Cinema Festival Symphonics pod batutą Stephena Ellery’ego z Londynu, która ma już na koncie podobne koncerty performatywne z muzyką z „Gry o tron”, „Gwiezdných wojen” czy „Harry’ego Pottera”. Trasa zagraniczna „Króla lwa” obejmowała w tym sezonie 90 koncertów. W Polsce artyści wystąpią w amfiteatrach w Kielcach (8 sierpnia), w Opolu (9 sierpnia), Szczecinie (10 sierpnia) i Koszalinie (11 sierpnia). W programie są oryginalne aranżacje oraz piosenki śpiewane po polsku. AK

Oblicza animacji



KULTURA+

Od anime po animację poklatkową, od komercyjnych projektów w najlepszym wydaniu po produkcje eksperymentalne, igrające z oczekiwaniami i przyzwyczajeniami widzów. Festiwal Animator pozwala doświadczyć sztuki animacji we wszystkich jej odmianach. Do Poznania przyjedzie m.in. Yoshimi Itazu, który niedawno debiutował fantastyczną „Konsjerżką”, lecz od lat współpracował z największymi mistrzami anime, m.in. z Hayao Miyazakiem przy „Zryw się wiatr” i „Chłopcu i czapli” oraz Satoshi Konem przy „Papricie”. Itazu weźmie udział w specjalnym pokazie „Papriki”, będzie miał także MasterClass o technikach pracy przy anime. Na festiwalu zagospodarują także Joe Holman, specjalista od animacji poklatkowej i tworzenia lalek, który pracował m.in. przy „Fantastycznym panu Lisie” Wesa Andersona, Mike Hollingsworth, współtwórca serialu „BoJack Horseman” oraz Kanadyjka Rose Bond, artystka wizualna, autorka filmów, instalacji oraz projektów VR.

Poszukiwacze filmowych precjozów powinni natomiast uważnie przeglądać programy tegorocznych konkursów: wśród filmów krótkometrażowych można będzie zobaczyć m.in. „Duckville” legendarnego amerykańskiego animatora Billa Plymptona, dwukrotnie nominowanego do Oscara, czy „Little Shrew (Snowflake)”, film nakręcony przez piosenkarkę Kate Bush na rzecz organizacji charytatywnej War Child, a w konkursie polskim znalazł się m.in. nagrodzony na Krakowskim Festiwalu Filmowym „Basen albo śmierć złotej rybki” Darii Kopiec.

Festiwal Animator odbywać się będzie od 5 do 13 lipca, już po raz 18., czyli – jak zauważyła dyrektorka artystyczna Adriana Prodeus – „metaforycznie staje się pełnoletni. Co oznacza, że staje się w pełni odpowiedzialny za siebie, nawet jeśli w środku wciąż jest dzieckiem”. I przypomina hasło tegorocznej edycji: ROTAMINA, to „tajemnicza substancja, której nazwę warto przeczytać od tyłu”.

JAKUB DEMIAŃCZUK

REKLAMA

INNE BRZMIENIA

WSCHÓD KULTURY

3–6 LIPCA 2025

LUBLIN | WSTĘP WOLNY

ZAGRAJĄ MIĘDZY INNYMI:

VOIVOD | KANADA

THE EX | HOLANDIA

A PLACE TO BURY STRANGERS | USA

THE MESSTHETICS
& JAMES BRANDON LEWIS | USA

LEE RANALDO & LEAH SINGER | USA

PETBRICK | WIELKA BRYTANIA/BRAZYLIA

LARAAJI | USA

YONATAN GAT | USA



WSCHÓD KULTURY

sprawdź
pełny
line-up



**Festiwal Wschód Kultury
– Inne Brzmienia.**
Twój przewodnik
po świecie intrygującej
muzki.

ORGANIZATORZY | ORGANIZERS

SPONSORZY | SPONSORS



Puls młodego malarstwa

W Gdańsku przez całe wakacje oglądać można kolekcję prac młodych polskich artystów – dar mBanku dla tutejszego Muzeum Narodowego.

W 2020 r. mBank rozpoczął budowę kolekcji „m jak malarstwo”. Celem projektu było stworzenie panoramy młodego polskiego malarstwa. Powstała komisja zakupowa, na której czele stanął dziennikarz POLITYKI Piotr Sarzyński. Zaczęły się łowy na dzieła. Szukano po akademiach sztuk pięknych, w pracowniach i prywatnych galeriach. Zgromadzono najgorętsze nazwiska tzw. młodej sztuki. Wymieńmy kilka z nich: Marta Nadolle, Cyryl Polaczek czy Agata Słowak. W kolekcji znaleźli się m.in. laureaci, jak i nominowani do Paszportów POLITYKI.

Ostatecznie udało się stworzyć zbiór, który można nazwać dokumentem pogmatwanej, pełnej egzystencjalnego niepokoju epoki. Życia w cieniu pandemii, wojen i katastrofy klimatycznej. Dzieła, które oddawały ten lęk, można było dotąd oglądać jedynie na dwóch wystawach. Prezentowano je najpierw w Państwowej Galerii Sztuki w Sopocie (2021 r.) oraz później w katowickim Rondzie Sztuki (2023 r.). Dodajmy, że ostatni pokaz miał miejsce ponad dwa lata temu.

Prace gromadzono do zeszłego roku. Projekt budowy kolekcji tym samym

dobiegł końca. Teraz trafiła do Muzeum Narodowego w Gdańsku (MNG). Nie poszła pod aukcyjny młotek, bank postanowił przekazać do muzealnych zbiorów wszystkie dzieła. Łącznie jest ich ponad 150. W Polsce taka sytuacja ma miejsce po raz pierwszy. Miejmy również nadzieję, że nie po raz ostatni.

– Jestem przekonany, że powinniśmy inwestować w odkrycia nowych młodych twórczyń i twórców, którzy mają szansę stać się kanonem dla przyszłych pokoleń. Dar, który otrzymaliśmy od mBanku, jest wyrazem nadziei i starań w tym kierunku – mówi Piotr Stasiowski, dyrektor MNG. – Wierzmy, że otoczone opieką Muzeum dzieła młodych artystek i artystów na trwałe wpiszą się w potencjał polskiej i zagranicznej sztuki – dodaje.

Całość zostanie niebawem zaprezentowana publiczności w oddziale Zielona Brama. Projekt wystawienniczy nosi tytuł „**Opowiem Wam o sobie / o nas**” (łudzko podobny do tytułu zeszłorocznej wystawy Hasior / Rycharski w PGS, która została zatytułowana „mogę wam opowiedzieć o sobie o was”) i został podzielony na dwie odsłony.

Pierwsza otwiera się 27 czerwca i potrwa około trzech miesięcy. Innymi sło-

wy – przez całe wakacje. Druga odsłona została zaplanowana na jesień. Potrwa od 12 października do 7 grudnia. Kuratorem jest Piotr Sarzyński, który stał na czele komisji zakupowej mBanku. – Od początku tworzyliśmy kolekcję, która nie tylko dokumentuje puls współczesnego malarstwa w Polsce, ale przede wszystkim inspirowa, prowokuje do dyskusji, zachęca do refleksji – mówi kurator. – W ciągu pięciu lat zgromadziliśmy wyjątkowe perełki, nie tylko głośnych, rozpoznawalnych nazwisk, ale też tych artystów, którzy dopiero rozpoczynają swoją „zawodową” przygodę ze sztuką.

Muzeum Narodowe w Gdańsku znane jest przede wszystkim z jednego obrazu: „Sądu Ostatecznego” Hansa Memlinga. Dzieło, niestety, od ponad 20 lat nie opuściło Gdańska. A mogło... Na dodatek na dwa lata jest obecnie zdjęte z widoku publicznego i przechodzi badania konserwatorskie. Na pocieszenie zostaje zatem rozpisana na dwie odsłony wystawa młodego polskiego malarstwa. Czy zebrane przez bank prace zestarzeją się w tak dobrym stylu jak arcydzieło Memlinga? Czas pokaże.

ALEKSANDER ŚWIESZEWSKI

Polskie Muminki

Wystawa w Muzeum Kinematografii przypomina łódzkie wątki historii słynnej serii Tove Jansson.

Wystawę „Muminki. Drzwi są zawsze otwarte” zorganizowano w łódzkim Muzeum Kinematografii jako element obchodów 80. rocznicy Muminków. W 1945 r. ukazała się pierwsza książeczka „Małe trolle i wielka powódź”. To okazja, by przyjrzeć się, jak stworzone przez Tove Jansson istotki wpisały się w polską popkulturę.

Spośród wielu adaptacji książek o białych trollach to „Opowiadania Muminków”, serial wyprodukowany na przełomie lat 70. i 80. przez łódzkie Studio Małych Form Filmowych Se-Ma-For oraz austriacki Jupiter Film, należą do najwspanialszych i najbardziej cenionych przez fanów. Nie był pierwszą próbą przeniesienia prozy Jansson na mały ekran (w 1975 r. nawet wytwórnia Walta Disneya próbowała wykupić prawa do postaci, na szczęście bez skutku), lecz z pewnością przerastał wszystkie poprzednie. Także dlatego, że sama autorka (i jej brat Lars, który przejął wtedy od Tove rysowanie cyklicznych muminkowych komiksów) mieli wpływ na ostateczny kształt serialu. Scenariusze każdego z odcinków były tłumaczone na szwedzki i wysyłane Janssonom, którzy mogli zgłaszać poprawki i uwagi. Zanim produkcja ruszyła pełną parą, Tove i Lars przyjechali na początku 1978 r. do Łodzi

na spotkanie z filmowcami oraz zaakceptować projekty postaci i scenografii.

Na wystawie można zajrzeć za kulisy produkcji serialu. Obejrzyć dekoracje i charakterystyczne półpłaskie lalki, którymi posługiwali się animatorzy, rzucić okiem na scenopisy, zdjęcia i filmy z wizyty Tove Jansson w Polsce. Ale nie do samych „Opowiadań Muminków” ogranicza się ekspozycja. Serial został osadzony w szerszym kontekście: opowieści o Muminkach były tłumaczone na język polski od lat 60. (choć nie ukazywały się w chronologicznej kolejności) i od tamtej pory są nieustannie wznawiane, a po latach zostały nad Wisłą wydane także komiksy Jansson. Dla nich wszystkich znalazło się w Muzeum Kinematografii miejsce.

Ekspozycja „Drzwi są zawsze otwarte” przypomina też, że serial jako jedna z nielicznych adaptacji zdołał uchwycić nie tylko literę, ale i ducha powieści Jansson. W tych krótkich kukielkowych widowiskach odbijało się to, co w jej prozie było ukryte za kolejnymi zasłonami metafor i aluzji. „Każdy z tomów opowiadań o Muminkach stał się dla Tove sposobem na oswojenie się z prywatnym

lękiem” – pisała Małgorzata Sidz w książce „Kocie chrcziny. Lato i zima w Finlandii” (wyd. Czarne). Ale przypominała także, że „z czasem Muminki z ukojenia zamieniły się w przekleństwo Tove. Przez

wiele lat próbowała udowodnić swoją wartość jako malarka i autorka prozy dla dorosłych, tymczasem oczekiwano od niej wyłącznie kolejnych opowieści o podobnych do hipopotamów białych trollach”.



Nasze „Opowiadania Muminków” okazały się hitem, także za granicą, m.in. w Wielkiej Brytanii. A jednak, choć same postaci są wszechobecne, serial z Se-Ma-Fora zniknął z przestrzeni publicznej. Kiedyś został wydany na DVD, lecz od dawna nie jest wznawiany. Kilka lat temu w kinach gościły pełnometrażowe filmy zmontowane z odcinków przez fińską firmę Oy Filmkompaniet Alpha Ab (do której należą międzynarodowe prawa do serialu). Powstały cztery części, pokazywane w Polsce, lecz większości z nich próżno dziś szukać w serwisach streamingowych.

Nie sposób powiedzieć, czy wystawa dla serialowi nowe życie, czy wzbudzi zainteresowanie na tyle, by produkcja doczekała się nowego, pełnego wydania na płytach lub przynajmniej stałej obecności w streamingu. A te 78 krótkich, ośmio-, dziesięciominutowych filmów to przecież świadectwo nie tylko geniuszu autorki, lecz także talentu polskich animatorów.

JAKUB DEMIAŃCZUK

REKLAMA



MUZEUM
WARSZAWY

WYSTAWA

18.06. — 21.12.2025

LATO, KTÓRE
ZMIENIŁO
WSZYSTKO.
FESTIWAL 1955

Rynek Starego Miasta 32

www.muzeumwarszawy.pl



Patroni medialni

POLITYKA

MAT

VOGUE

tokfm

Partner edukacji
Muzeum Warszawy





Przedmiot kultu, dzieło sztuki

W Żydowskim Instytucie Historycznym otwarto właśnie wyjątkową wystawę. Bo też wyjątkowy jest jej temat.

W krótkim filmie przy wejściu naczelny rabin Polski Michael Schudrich odpowiada na pytanie, czym jest dla niego **Tora**, czyli Pięcioksiąg: – *Przewodnikiem mojego życia. Nadaje mu kierunek*. I dodaje, że za każdym razem czytając ją, znajduje coś nowego.

Żydzi nazywani są narodem Księgi. I tak, jej treść jest najważniejsza, ale fizyczność nie mniej ważna. Forma zwoju jest wierna formie pierwotnej – tak kiedyś wyglądały książki w ogóle. Aby zachować świętość, trzeba być jak najbliżej oryginału, zatem rytualny skryba przepisuje Torę specjalnym atramentem na pergaminie ze skóry koszerne zwierzęcia, pilnując określonego kroju liter.

Wystawa „Święte arcydzieło. Zwój Tory jako przedmiot i symbol” zbudowana jest w formie labiryntu. Na zewnątrz – obrazy i reprodukcje ilustrujące proces powstawania, cykl czytania, adorację Tory w święto Simchat Tora (radość z Tory), kończące roczny cykl czytania całości; wreszcie ukazanie zwojów (inaczej rodaków) jako przedmiotu, który Żydzi zabierają ze sobą na tułaczkę, by zachować tożsamość. Znajdziemy tu dzieła ze zbiorów ŻIH, m.in. Artura Markowicza i Samuela Hirszenberga, ale też

wypożyczony z Muzeum Narodowego obraz Jana Matejki.

W gablotach pośrodku sali są akcesoria: sukienki, czyli pokrowce na Torę, powijaki do zawiązywania zwojów, jady, czyli rączki, którymi pokazuje się tekst, a także metalowe zwieńczenia w formie korony lub tzw. *rimonim*. W samym centrum jest kilkanaście zwojów z kolekcji ŻIH, które zostały tam przekazane w latach 50. z muzeum na Majdanku. Parę z nich uległo częściowemu zniszczeniu podczas Zagłady. Dział ten uzupełniają przedmioty stworzone po wojnie ze zbieszczonych rodaków, od torby na zakupy i sita do maki, przez portfel, po buty i instrumenty muzyczne (bębenek i banjo).

Taka profanacja szokuje, gdy wiemy, jaką rolę zwoje Tory odgrywały w życiu Żydów. Są tak ważne, że traktuje się je jak ludzi: tradycja wymaga, że gdy zwój się zużyje, jest grzebany z całym ceremoniałem na cmentarzu żydowskim. I na zakończenie wystawy taki wstrząsający filmik można obejrzeć: 6 maja 1945 r. w Łodzi odbył się na tamtejszym cmentarzu pogrzeb ok. 60 zniszczonych zwojów i przedmiotów rytualnych pochodzących z getta Litzmannstadt. Towarzyszyli tej niezwykłej uroczystości ocalańcy.

DOTOTA SZWARCMAN

POLITYKA nr 25 (3519), 17.06–24.06.2025

REKLAMA

WARSAW SUMMER JAZZ DAYS



3-6
LIPCA
2025



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Narodowy
Instytut
Muzyki
i Tańca

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury w ramach programu „Muzyka”, realizowanego przez Narodowy Instytut Muzyki i Tańca.



projekt współfinansuje
miasto stołeczne
Warszawa

za'ks
sprzyjamy wyobraźni



Współfinansowano
ze środków
ZAW STOART



STEINWAY & SONS.

Patroni medialni:

POLITYKA

dwójka
POLSKIE RADIO

RZECZPOSPOLITA

rp.pl

STRÖER

POLSKIE RADIO
RDC

Informacje i bilety:

www.adamiakjazz.pl

Ciało doskonałe

Wystawa „Anatomia antyku. Ciało i ruch w rzeźbie” opowiada o tym, jak antyczne rzeźby stały się nie tylko wzorem piękna, ale też narzędziem edukacji i prestiżu.

Stanisław August Poniatowski jak większość oświeceniowych władców marzył o kolekcji antycznych rzeźb. Taka kolekcja była oznaką przynależności do europejskich elit, świadectwem wykształcenia, smaku, bogactwa i władzy. Antyk doskonale nadawał się do podkreślania majestatu – stanowił skuteczne narzędzie autopromocji. Dlatego królowie i arystokraci nie tylko gromadzili rzeźby, ale i portretowali się jako Apollinowie, Heraklesie czy Minerwy. Polski król, który przyjął drugie imię August na wzór Oktawiana i kazał się przedstawiać w pozach antycznych bogów, najchętniej widziałby u siebie oryginały. Jednak ich zdobycie było niezwykle trudne, więc zlecał wykonanie i sprowadzanie gipsowych kopii największych dzieł.

Nie chodziło mu przy tym wyłącznie o dekorację rezydencji. Jak przystało na oświeconego władcę, pragnął, by Warszawa – wzorem Dreżna czy Rzymu – miała Akademię Sztuk Pięknych kształcącą młodych artystów. A ta nie mogła funkcjonować bez modeli – rzeźb o idealnych proporcjach, doskonale odwzorowanych ciałach, ustawionych w klasycznych pozach, które każdy adept sztuki powinien prze studiować, zanim sam zacznie tworzyć.

Odlewy trafiały do zamkowej malarni i rzeźbiarni, ale po abdykacji król nigdy nie zobaczył razem 542 gipsowych rzeźb. Na szczęście jego dzieło kontynuowali Stanisław Kostka Potocki i Marcello Bacciarelli, tworząc na Uniwersytecie Warszawskim pierwowzór Akademii Sztuk Pięknych. Ponieważ król wyznaczał trendy, także inni arystokraci zaczęli sprowadzać do swoich kolekcji odlewy tych samych rzeźb – z tych samych formiarni. Stempel z Paryża, Florencji czy Berlina działał jak certyfikat jakości i prestiżu. – Na szczęście, bo kolekcja stanisławowska ucierpiała w 1939 r. I tylko dzięki temu, że Karol Lanckoroński ufundował odlewy do Krakowa, a Ludwik Michał Pac i rodzina Tarnowskich zamawiali je do własnych siedzib, udało się nam zgromadzić na wystawę



„Anatomia antyku” 135 obiektów, które w miniaturze lub w gipsie posiadał również Stanisław August – mówi Norbert Haliński, pomysłodawca i kurator wystawy.

W Bibliotece Zamku Królewskiego rzeźby ustawione są chronologicznie – od starożytnych oryginałów po gipsowe kopie z XVIII i XIX w. Zobaczyć można m.in. odlew Afrodyty wychodzącej z morza (Anadyomene), znanej dziś z Łazienek, czy słynną grupę Laokoona z niepoprawnie dosztukowaną prawą ręką, której pozycję historycy sztuki interpretują dziś zupełnie inaczej.

– „Anatomia” w tytule naszej wystawy ma kilka znaczeń – podkreśla kurator. Z jednej strony chodzi o zachwyty nad ludzkim ciałem, jego ruchem i harmonią, z drugiej – o rozłożenie procesu recepcji antyku na czynniki pierwsze: historii interpretowania z całą masą nieudanych poprawek i zmian. Oraz zrozumienie, jak to się stało, że rzemiosło służące utylnym celom – propagandzie czy kultowi przodków – stało się wzorcem piękna i sztuki. Do tego stopnia, że marmurowe rzeźby zaczęły żyć drugim życiem jako gipsowe modele w królewskich komnatach.

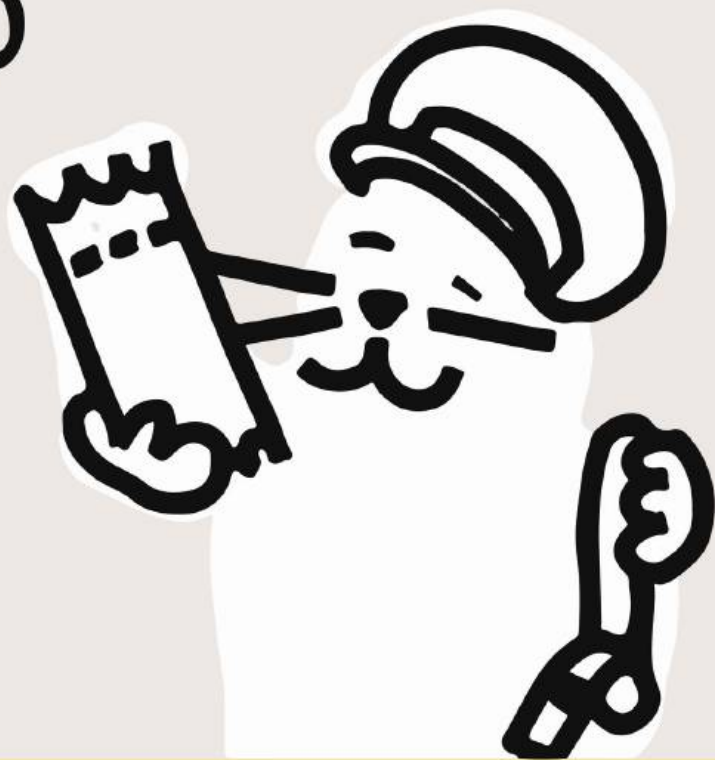
Stanisławowi Augustowi naprawdę udało się sprawić, że polscy adepci sztuki uczyli się na sprowadzonych przez niego odlewach. Każdy – czy to Jacek Malczewski, czy tworząca w innym stylu Olga Boznańska – zaczynał od antycznych wzorców, które z czasem przetwarzał na własną modłę. Na wystawie, obok kopii „Afrodyty w kąpiel” z XVIII w., stoi „Niewinność” Henryka Stattlera – niby ta sama poza, ta sama delikatność i modelunek ciała, ale to już autorskie dzieło. Równie dobitnie reinterpretację antyku ukazuje „Pięściarz” (Creugante) Antoniego Canovy – włoskiego artysty tworzącego w epoce napoleońskiej, ale o duszy klasycysty. – Skupiliśmy się na XVIII i XIX w., bo to okres, który najmocniej wpisuje się w historię Zamku oraz dziedzictwa kolekcji stanisławowskiej. Chcemy, by zwiedzający zobaczyli, jak różniły się kolejne wersje tej samej rzeźby, jak stare trendy, techniki i materiały były wypierane przez nowe – podkreśla Norbert Haliński.

Stare gipsowe kopie, niegdyś uważane za namiastkę oryginałów, dziś same stają się świadectwem historii, nie tylko sztuki, ale też ambicji, idei i gustów minionych epok.

AGNIESZKA KRZEMIŃSKA

nomina**cje** 2025

**bilet ważny
na wszystkie
rejsy wyobraźni**





Mea pulpa

czyli kronika popkulturalna

Kuby Wojewódzkiego

Marianna Schreiber pokazała w sieci swój nowy biust wyprodukowany w Turcji. Wniosek ze zdjęć jest jeden. Sobieski skuteczniej powstrzymał Turków.

● Dramatu reprezentacyjnego ciąg dalszy. Na mecz z Finlandią kapitanem kadry został Jan Bednarek. Młodziak. To dobrze. Starsi potrafili przegrać spotkanie z Finlandią jeszcze przed meczem.

● Piotr Fronczewski wypowiedział się na temat wiary: „Talent jest dowodem na istnienie Pana Boga”. Ciekawa teoria. Wynika z niej, że Norbi nie istnieje.

● Gruchnął skandal, że Michał Kołodziejczak zapłacił za dyplom Collegium Humanum. Przypominam, że Uniwersytet Jagielloński dał Andrzejowi Dudzie doktorat.

Małgosia Kożuchowska opowiedziała o swojej próbie samobójczej w serialu „Aniela” – czyli nieudanym skoku z 11. piętra. Ilona Łepkowska w „M jak miłość” załatwiła to – odwołując się do terminów za pańniczych – w parterze.

● Za wschodzącą gwiazdę serwisu brukowego Pudelek została uznana Dominika Serowska. Gratulacje. To jej pierwszy sukces od momentu braku jakichkolwiek sukcesów.

● Trener Probiez zrezygnował z prowadzenia reprezentacji. Biorąc pod uwagę wyniki kadry, trudno ustalić dokładny termin, kiedy to zrobił.

● Agnieszka Woźniak-Starak odchodzi z TVN. Po 12 latach. Dobrze wyczucie czasu. Z obsady „Mam talent” to nie ona była najbliższą nazwy.

Jarosław Kaczyński podziękował Krzysztofowi Stanowskiemu z Kanału Zero za „odegranie naprawdę dobrej roli w wyborach”. Niedźwiedzia przysługa, choć pisząc „niedźwiedź”, myślę „koala”.

● Bank PKO BP ruszył z kampanią, której bohaterami są Szymon Majewski, Bogusław Linda i Sara James. Fajny pomysł. Taki pomiędzy Kabaretem Starszych Panów a metodą „na wnuczkę”.

● Danuta Holecka wyznała, że studiowała na SGH, bo chciała mieć poważny zawód i wcale nie planowała zostać dziennikarką. Patrząc na jej pracę w TV Republika, można uznać, że plan zrealizowała.

● Są już pierwsze popkulturowe efekty wyborów prezydenckich. Media donoszą o tatuażu na nodze Marty Nawrockiej przedstawiającym kotwicę. Mnie się podoba. To podobno symbol osadzenia.

● „Dlaczego gość, który nie ma żadnej wiedzy ani wykształcenia MA MI swoimi medialnymi wypowiedziami?”. To Marcin Najman o Marcinie Gortacie. Ma rację. Mam nadzieję, że nie MA MI za złe, że to piszę.

● Była przyjaciółka Dody Diana Schaffer opowiedziała o jej bójkach, twardych narkotykach, bieganiu z nożem, aborcjach i braku szacunku do fanów. Doda zawsze mi imponowała dobo-rem najbliższych.

● Na 25. gali BET Awards w Los Angeles na jednej scenie wystąpili Snoop Dog oraz dyrygujący orkiestrą Radzimir Dębski. Gratulacje. Radzimir jest znany ze współpracy z Beyoncé, a Snoop z tego, że jeszcze żyje.



© AKPA

Popek, raper i zawodnik MMA, znalazł stary wpis Karola Nawrockiego, który wyzywa go na walkę: „Historyk, urzędnik... W twoim zasięgu”. Wszystko zostaje w rodzinie. W końcu Popek to szef Gangu Albanii.



Kiedyś to było

Ludzie, kiedyś to były »Playboye«! – No, na papierze! – Nie chodzi o to, słuchaj, robiłem właśnie remont w domu po zmarłym dziadku i w toalecie za sedesem znalazłem całe stosy... – O, wygodnie to sobie wymyślił, a mój stary to pod łóżkiem upychał... – Ależ to się dziś wspaniale ogląda! Te girls to są prawdziwe kobiety. Takie naturalne, jak je Pan Bóg stworzył, a nie ten cały plastik z balonami z silikonu”.

Nie tylko w pubach nowojorskich dało się podsłuchać falę tęsknoty za starymi czasami podczas mojej podróży do Stanów Zjednoczonych. Jako absolwentka po 30 latach postanowiłam wybrać się na zjazd alumnatów Harvarda, tzw. *reunion*. Przełamać lęk przed konfrontacją z mijającym czasem i z Ameryką, która nigdy nie była dla mnie cudownym marzeniem, ale raczej przytłaczającym brutalnością kolosem. Byliśmy dziećmi po maturze, a teraz jesteśmy po pięćdziesiątce – ostatnia chwila, by rozmowy nie kręciły się wyłącznie wokół menopauzy i problemów z erekcją. Miał być *great fun*, a zostałam skonfrontowana z pytaniem: „Jak wyrzucanie zagranicznych studentów i głodzenie laboratoriów ma uczynić Harvard ponownie wielkim?”. Administracja Trumpa odebrała mu rządowe dotacje i zażądała wglądu w programy nauczania oraz dane osobowe studentów i profesorów. W swej proizraelskości uznała, że na uczelni,

Miał być *great fun*, a zostałam z pytaniem:
„Jak głodzenie laboratoriów ma uczynić
Harvard ponownie wielkim?”.

gdzie przeciw ludobójstwu w Gazie protestowały liczne organizacje, panuje antysemityzm.

Do tego trudno jest mi się odnieść, bo w czasie protestów nie było mnie w kampusie. Wśród znajomych absolwentów mam bardzo duże grono żydowskich chłopaków i dziewcząt (dziś już w średnim wieku). David jest pianistą jazzowym, Daniel – pisarzem i dziennikarzem, który niedawno rzucił pracę w „The Economist”, by poświęcić się wychowaniu trójki dzieci, Michelle pracuje w agencji rolnictwa, inny kolega zarządza na Manhattanie dużą firmą na rynku zdrowia. „Jedyny antysemita na Harvardzie, którego znam, to ja sam – stwierdził David. – Wiesz przecież najlepiej, że wśród nas samych jest wielu *Jew haters*”.

Mamy też koleżanki z Palestyny. Jedna z nich nie przyleciała, „bo nie ma siły opowiadać, co tu się dzieje”, ale muzulmańska grupa w kampusie jest spora. Wsłuchaliśmy się w przemowę powitalną na Harvard Yard (starsi z was

mogą pamiętać to miejsce z „Love Story”). Rektor Alan Garber skupił się na tym, jak Harvard walczy z „przeinaczaniem tego, kim jesteśmy i co robimy”. „Żaden uniwersytet nie jest pozbawiony wad, one są nieuniknione, lecz poprawialne” – powiedział. Drugi mówca to prof. Atul Gawande, autor światowych bestsellerów („Potęga checklisty”, „Śmiertelni”). Popularyzuje medycynę, zarządzanie, ale też opowiada o pacjentach paliatywnych. Tym razem przypominał, że odbieranie uczelni miliardów dolarów na badania dotknie wszystkich ludzi na świecie.

Dobór mówców nie był przypadkowy: Garber i Gawande to lekarze, a rewolucjoniści z ruchu MAGA to antyszczepionkowcy, których lider został sekretarzem ds. zdrowia (na ministra edukacji Trump powołał Lindeę McMahon, wieloletnią prezeskę klubu wrestlingowego). Atak na studentów zagranicznych to atak na DNA uczelni, która wprowadziła długo przyjmowała tylko białych Amerykanów po prywatnych akademiach, ale potem otworzyła się na ludzi wszystkich ras ze wszystkich krajów na planecie. Już 30 lat temu studiowałam tam ja, a na moim piętrze koledzy z Indii oraz Nigerii, w pokoju ze mną mieszkała koleżanka z Irlandii i Chinka.

Są wśród nas liczni republikanie. Taki np. prezydent George W. Bush ukończył Harvard Business School. Szukam koleżanek trumpistek, które cicho siedziały podczas przemówień. „Słuchaj, Amy, wiem, że dwukrotnie głosowałaś na Trumpa, jak oceniasz tę akcję przeciw studentom zagranicznym?”. „Cieszę się, że rozmawiamy, Agato, bo wiesz, ostatnio ludzie się tylko kancelują. Ja wsłuchuję się w prezydenta Trumpa od wielu, wielu lat. Wydaje mi się, że ludzie go nie rozumieją...”. Tu wypowiedź się kończy, bo z emocji w oczach Amy pojawiają się łzy. Podchodzi trzecia koleżanka: „Ale, Agato, jak mam rozmawiać z trumpistami, jeśli oni chcą mojej zagłady? Jestem kobietą, jestem Azjatką i przyjechałam na te studia z Chin. Dziś wyrzuciliby mnie stąd!”.

W samolocie czytam republikański „Wall Street Journal” i komentarz Jamesa Taranto „Czy warto ratować Harvard – i jak?”. Pelen jadu tekst o tym, że nawet jeśli Harvard zostanie zniszczony, to Ameryka i tak przeżyje, a gdyby na uczelni znalazło się chociaż dziesięciu sprawiedliwych, to on się zdziwi, ale sam na pewno „nie kiwnie palcem”, by za nią się wstawić. Zagaduje mnie pan siedzący obok. „Widzę, że pani czyta o tej sytuacji w Harvardzie. Wstydzę się być Amerykaninem teraz. Konserwatyści nie mogą tego znieść, że nasze stare instytucje kultury otworzyły się dla ludzi wszystkich ras, dla kobiet, dla gejów. Lecę do Warszawy i mam przesiadkę do Wilna. Mój dziadek pochodził z Wilna i chciałem je zwiedzić, zanim Putin zaatakuję. Dobranoc”.

AGATA PASSENT



Krajobraz po bitwie

Nic mnie tak nie irytuje po wyborach jak świętoszkowaci symetryści. Mędrkowie o nabrzmiałych pychą, miodowych głosach, wmawiający mi ze swoich składanych ambonek, że jeśli Karol Nawrocki w roli prezydenta napawa mnie zgrozą, to wyłącznie dlatego, że nie był moim kandydatem. Tym tłumaczą moje powyborcze przygnębienie: „tożsamościowym narcyzmem”. Znamy te bajania: w Polsce żyją dwa plemiona, mają swoje totemy i jak któryś przegrywa, to dla plemienia jest to koniec świata itd. Takie rzeczy można było opowiadać, owszem, ale w czasach, kiedy wybory prezydenckie po raz pierwszy wygrał Andrzej Duda. Pięć lat później było to już bardzo słabe, a dzisiaj zakrawa na syndrom przeżartego symetryzmem mózgu.

Karol Nawrocki wygrał wybory niewielką przewagą głosów, najpewniej jeszcze mniejszą niż wskazują oficjalne wyniki z 2 czerwca. Jeżeli po ujawnieniu „anomalii” w niektórych komisjach nasze głosy nie zostaną ponownie policzone, nigdy się nie dowiemy, ilu dokładnie wyborców dało mu zwycięstwo nad Rafałem Trzaskowskim. Jednak nawet jeśli dane PKW wziąć za dobrą monetę, przewaga Nawrockiego jest tak nieznaczna, że powinna go skłonić

W wyborach prezydenckich nie przegrał totem mojego plemienia. Wydarzyło się o wiele więcej. Została pogrzebana moja przyszłość.

do rezygnacji z triumfalizmu. Tymczasem w swoim powyborczym wystąpieniu elekt konfrontacyjnie poinformował wyborców konkurenta, że stoją po stronie zła i nie są prawdziwymi Polakami. Nie pozostawił wątpliwości, że Polska z nim jako prezydentem nie będzie miejscem dla nas. Będzie tylko dla tych, którzy kochają Polskę w taki sam sposób jak on. To trochę tak, jakby nowy prezydent obwieścił milionom osób, które nie głosowały na niego, że równie dobrze mogłoby nas nie być. Zaprezentował się jako prezydent jednego plemienia. I w jego imieniu wypowiedział nam wojnę.

Dokładnie odwrotnie zachowywał się Rafał Trzaskowski. Przez całą kampanię podkreślał, że nie zapomina o drugiej połowie Polski, i mitygował swoich zwolenników, gdy na wiecach wyborczych zdarzało im się wpaść w nienawistny ton. Także w niewczesnym przemówieniu, kiedy pierwsze sondaże exit poll na chwilę dały mu zwycięstwo, odniósł się z szacunkiem do 10 mln wyborców konkurenta. Ale nic to – symetrysta i tak wjedzie cały na biało ze swoją mantrą z klocków Lego, że elekt

Nawrocki wcale nie zagraża demokracji, a jedynie miłości własnej „libków” i „lewaków”. Dla symetrysty obaj kandydaci byli wariaci tyle samo, a jedyną różnicą między nimi była łątka plemiennej przynależności. No, grubo. Cytując zwycięzcę: „To się w pale nie mieści”.

Pokorne cięły dwie matki ssie, a symetrysta tak się ustawia w pejzażu polaryzacji, żeby czerpać profity – co najmniej symboliczne – z obu stron. Symetryzm jest fikcją – w rzeczywistości dotknięty nim człowiek nie dosłyszyna jedno ucho. Czy to nie dziwne, że nigdy nie zauważa belki w oku populistycznej prawicy? To rytualne chłostanie swoich byłoby pożyteczne, gdyby miało sens. Niestety nie ma go prawie wcale.

Dotyczy to również pogardy wobec nie-elit: tej legendarnej skazy, którą symetryści przypisują stronie liberalno-lewicowej. Niuanse zaburzają symetrię, więc symetryści wolą niuansów nie dostrzegać. Na przykład tego, że strona liberalno-lewicowa przyjęła do wiadomości, co jej się zarzuca, i w ogromnym stopniu przepracowała problem. Dzisiaj, choć pogardliwe wysoki zdarzają się jeszcze felietonistom czy pewnym grupom elektoratu, to nie uświadczy się ich wśród liberalno-lewicowych polityków. Czego nie da się powiedzieć o stronie przeciwnej. Ta gardzi i nienawidzi bez żadnych ograniczeń, przekonana o własnej słuszności. Osoby LGBTQ wiedzą o tym najlepiej. Zresztą nawet gdyby ten naciągany zarzut pogardy był prawdziwy, to jeszcze nie powód, żeby wybierać na prezydenta enigmę o niepokojących powiązaniach. Za tę złą decyzję zapłaci zarówno elita, jak i nie-elita. Ta druga, słabsza społecznie, zapłaci nawet bardziej.

Wyborach prezydenckich nie przegrał totem mojego plemienia. Wydarzyło się o wiele więcej. Została pogrzebana moja przyszłość i wszystkie nadzieje. Polityczna dynamika, jaka się w tych wyborach odsoniła, pozostawia niewiele pożytki dla optymizmu. Niemal na pewno nie doczekam już związków partnerskich ani tym bardziej równości małżeńskiej. Moje życie dobiegnie końca w wykluczeniu. Ja i moja żona będziemy musiały zmierzyć się z problemami dnia codziennego, których jeszcze 1 czerwca miałam nadzieję uniknąć. Zderzymy się z nimi nieuchronnie, kiedy któraś z nas poważnie zachoruje albo umrze.

Mój smutek nie ma w sobie nic z „tożsamościowego narcyzmu”. Czekałam na związki partnerskie tak samo jak osoby z niepełnosprawnościami wyglądają ustawy o asystencji osobistej, a młodzi – sensownej polityki mieszkaniowej. Z tą różnicą, że „okienko pogodowe” dla związków partnerskich właśnie się skończyło i za mojego życia następnego już nie będzie. Toteż optywającym w przywileje kaznodziejom mam do powiedzenia tylko jedno: złaćcie z ambony i wara od cudzej rozpacz.

RENATA LIS



Karcąca ręka lewicy

Internet młodolewicowy w harmonii z młodoprawicowym (a jakże!) wylewają kubły pomyj na siwą głowę prof. Radosława Markowskiego, śmiał on bowiem skrytykować nadmierne „transfery społeczne” oraz przywileje dla rolników i górników. Cóż za pogarda dla ludu!

Liberalna opinia publiczna bardzo się zmieniła. Ogarnęto ją lękliwe wydelikacenie, graniczące z masochizmem. Ulotniły się gdzieś oświeceniowa duma i optymizm, a ich miejsce zajęły histeria i reaktywność. A gdyby w dodatku jakiś straszny dzieciak pozwolił sobie na odstępstwo od przepisowej liturgii kultu „klasy ludowej”, zaraz z cherlawych piersi młodej lewicy dobiedzie się fałsetem złamany ryk resentymentu. Bo jedyny wróg, którego nie boi się zaatakować, to ten bezsilny odszczepieniec, który nie chce od rana do wieczora bić się w piersi za grzechy elit oraz dopraszać łaski „mieszkańców małych miejscowości”. Wprawdzie „nieuprzywilejowanych” te zaloty erasmusowych prekariuszy, działaczek i działaczy, osób doktoranckich i jakich tam jeszcze inkarnacji lewicowych cnót obchodzą tyle, co zeszlotygodniowa gazetka z programem TV, ale zawsze ma się ten etos, co nie? Potrzebny on jest najbardziej, dziwnym trafem, akurat tym pogromcom pychy, pogardy i klasizmu, którzy do warszawskich przybytków designu i stylu przybyli ze sfery lastryko i sidingu.

Szkoda, że oportuniści tak lgną do lewicy.
Bo przecież lewicowość jest dla elity.
Oczywiście moralnej, a nie finansowej.

Dawniej nad dolą ludu rozczulały się cienie, a rewolucjoniści lud uświadamiali i mobilizowali. Dziś rozczulanie się jest niedozwolone jako objaw protekcjonalnego wywyższania się, a wymagania stawiać można wyłącznie elitom i tylko elity muszą się rozliczać. Czy są aby wystarczająco wrocie wielkim korporacjom i władzy kapitału? Czy należy utyskiwać na rosnące nierówności? Czy są dostatecznie inkluzywno-równościowe w używanym przez siebie języku? Czy wyrażają potępienie dla zbrodniczego reżimu Netanjahu? Czy mają wystarczającą frekwencję na marszach równości? Tylko że za tą kontrolą ideologicznej czystości nie idzie żadna aktywność. Elity mają się pokajać i unieważnić, a masy mają pozostać w niekończącym się nigdy stanie niewinności. Klasa ludowa, czy jak ją tam zwać, nie musi robić nic.

Mentalność „nowej lewicy” jest na wskroś oportunistyczna i konserwatywna. Opiera się na posłuszeństwie i sztywnym dogmatyzmie, z których młody „postępowiec”

czepie solenne poczucie słuszności i poczucie bezpieczeństwa. W sumie nie bardzo oddalił się od swoich dziadków. Bo w świecie oportunistów nie ma znaczenia, czy jesteś w PZPR, czy może chodzisz do kościoła – liczy się tylko to, czy jesteś wmontowany w stabilny układ społeczny i masz w nim zagwarantowane swoje miejsce.

Ścigający się na gorliwość i ortodoksyjność młodzi wyznawcy postępowo-lewicowego światopoglądu mają to szczęście, że ich genderowa, klimatyczna i równościowa frazeologia ma w sobie wielki ładunek prawdy. Kłopot z nimi polega na tym, że żyją w psychologicznej przezroczystej pułapce, której ścianki są zrobione z narcyzmu, a spojenia – z resentymentu.

Masochizm młodej lewicy, zmieszany z agresją i pogardą okazywaną czarnym heretyckim owcom w stadzie białych prawomyślnych baranków, ma swoje korzenie w kompleksach i lękach na tle chwiejnego poczucia własnej wartości. A są to właśnie przypadłości narcyzów. Przymilni i fajni, budujący się w swoim środowisku na uśmiechach i serdecznych gestach, w środku pełni są niepokoju i frustracji. Boją się podłożyć, zaliczyć jakąś wpadkę, za którą zapłaciliby towarzyskim wykluczeniem. Gorliwi w reprodukowaniu prawomyślnych haseł i banałów strzelają oczami na prawo i lewo, wypatrując zagrożenia. Kto mnie chce utracić, a kogo ja powinienem zbanować? Oto są pytania.

Cóż, odwieczne to pytania. Bo ludzka małość i ludzka głupota są pewne i powszechne jak śmierć, a plemienna moralność oparta na lęku przed naruszeniem tabu co rusz daje o sobie znać paniką moralną. Szkoda tylko, że oportuniści akurat tak lgną do lewicy, wypełniając jej szeregi filisterskim tłumem zawistników, narcyzów i drobnych karierowiczów. Bo przecież lewicowość jest dla elity. Oczywiście moralnej, a nie finansowej. Ludzie lewicy mają być odważni, oddani, zaangażowani, a jednocześnie krytyczni i wymagający. Od siebie i od innych, a może przede wszystkim od tych, których chcą wspierać.

Lewicowość to nie gardłowanie za coraz to nowymi „transferami” na rzecz gorzej sytuowanych, lecz przekonywanie ich, że godne życie nie bierze się tylko z pieniędzy. Lewica, owszem, walczy z niesprawiedliwością, nędzą, opresją i pogardą, ale w imię czegoś więcej niż pieniądze i dostęp do usług publicznych. Pieniądze, godne warunki pracy i płacy, szkoły i ośrodki zdrowia są bardzo ważne, ale są rzeczy jeszcze ważniejsze, których młoda lewica nie chce widzieć ani o nich słyszeć. Za to my, „stara lewica”, widzimy je i będziemy o nich mówić. Będziemy nadal walczyć z ciemnotą, ksenofobią i chamstwem. I z niesprawiedliwymi przywilejami dla „nieuprzywilejowanych” również.

JAN HARTMAN



Temu panu dziękujemy

„Uwaga! – alarmuje Andrzej Duda, prezydent RP. – Jest wrażenie, że postkomuniści do spółki z liberalno-lewicowymi chcą przekreślić rozstrzygnięte już wybory prezydenckie w Polsce i odebrać nam wolność wyboru”. Nie wyjaśnia, na czym miałyby to polegać, ale z groźnych min, jakie robi, wynika, że trzeba się liczyć z najgorszym.

Podobnie jak Duda od lat obserwuję liberalno-lewicowych i zgadzam się – wystarczy chwila nieuwagi, żeby wszystkich nas, do spółki z postkomunistami, poprzekręcili. Nie chcę histeryzować, ale gdy słyszę opowieści prezydenta o małych tygryskach i niedźwiadkach naparządzających się w kibolskich ustawkach, mam wrażenie, że już gada jak poprzekręcany. A niedawno podczas radiowego wywiadu udawał, że jest 95-letnim profesorem Adamem Strzemboszem, wielkim autorytetem prawniczym, i próbował naśladować jego głos.

„Mam wrażenie, że prezydent jest w kiepskiej formie” – ocenił minister Adam Bodnar. Powiem szczerze: też się niepokoję, bo wyczuwam tu prowokację liberalno-lewicowych. Z drugiej strony przyznaję: tym występm Duda przeszedł samego siebie i pokazał, że w przedrzeźnianiu jest debeściakiem; ludzie tacy jak Bodnar nie mają z nim szans.

Sam profesor podszedł do sprawy ze zrozumieniem. „Pan prezydent przyjął taką formę wypowiedzi i ja to akceptuję” – podsumował, co niektórzy uznali za dowód słabości Strzembosza, który zamiast na przedrzeźnianie przez Dudę odpowiedzieć po męsku przedrzeźnianiem Dudy, opowiadał coś „o różnej kulturze”.

W otoczeniu głowy państwa panuje opinia, że Strzembosz się doigrał; w końcu sam uczciwie przyznał, że był wobec prezydenta „niemiły w sensie zarzutów”, co w pełni usprawiedliwia publiczne przedrzeźnianie go. Profesor powinien się zresztą cieszyć, że na przedrzeźnianiu się skończyło i że urażony Andrzej Duda powstrzymał się od wydawania w radiu odgłosów w rodzaju tych, których nie należy wydawać przy stole, co ostatecznie skompromitowałoby Strzembosza, pokazując, że nie jest on autorytetem obdarzonym aż taką kulturą, jaką mu się przypisuje.

Występ Dudy, mimo że nisko oceniony, bardzo trafnie podsumowuje poziom jego prezydentury. Zgadzam się, że przez 10 lat Andrzej Duda miał niewiele mądrego do powiedzenia, jednak mówił to swoim głosem i nikogo nie naśladował. Z tym że uprzedzał, że cały czas się uczy i uczy. I wreszcie w radiu usłyszeliśmy, że pan prezydent się nauczył, dlatego nie pozostaje nam nic innego, jak już temu panu podziękować.

G A L E R I A P O L I T Y K I

RUSZYŁA GIEŁDA NAZWISK
NASTĘPCY TRENERA PROBIERZA



ALE NAJWIĘKSZE SZANSE
MA OBECNIE SYN SĄSIADKI
BARONA PSL Z PODKARPACIA



ISKRA, ZNANY JAKO AUTOR „SMUTNYCH HISTORII SPISANYCH NA KACU I TANIM PAPIERZE”

POLITYKA

WYDAWCA POLITYKA Spółka z o.o. SKA
ADRES ul. Słupecka 6, 02-309 Warszawa

RECEPCJA GŁÓWNA
tel. 22 451-61-33, 451-61-34

POCZTA ELEKTRONICZNA polityka@polityka.pl

PREZES I REDAKTOR NACZELNY

Jerzy Baczyński
tel. 22 451-60-00

CZŁONKOWIE ZARZĄDU

Mariusz Janicki (Wiceprezes),
Katarzyna Białek, Bartek Chaciński

DYREKTOR ZARZĄDZAJĄCY

Katarzyna Białek

Z-cy REDAKTORA NACZELNEGO TYGODNIKA POLITYKA

Mariusz Janicki (Pierwszy Zastępca),
Witold Pawłowski, Bartek Chaciński

BIURO REKLAMY

tel. 22 451-61-36, e-mail: reklama@polityka.pl

Izabela Kowalczyk-Dudek (dyr.),
Julian Sobiech (reklama cyfrowa)

PROJEKTY SPECJALNE tel. 22 451-61-93

Za treść ogłoszeń redakcja ponosi
odpowiedzialność w granicach wskazanych
w ust. 2 art. 42 Ustawy Prawo Prasowe

PRENUMERATA PAPIEROWA

www.sklep.polityka.pl

Infolinia: tel. 67 210 86 30,

e-mail: infolinia@polityka.pl

Monika Grabowska,

tel. 22 451-61-00, 451-61-15

e-mail: prenumerata@polityka.pl

PRENUMERATA CYFROWA

www.polityka.pl/cyfrowa

Infolinia: tel. 22 336-79-16,

e-mail: cyfrowa@polityka.pl

WYDANIE INTERNETOWE

www.polityka.pl

REDAKTOR NACZELNA

Aleksandra Żelazińska

Konto: POLITYKA, Spółka z o.o. SKA
BNP Paribas Bank Polska S.A.
18 1750 0009 0000 0000 1004 2763
SWIFT: RCBWPLPW
Sprzedaż bezumowna numerów aktualnych
i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez
Wydawcę jest zabroniona, nielegalna
i grozi odpowiedzialnością karną.

COPYRIGHT © POLITYKA SPÓŁKA Z O.O. SKA

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Dalsze rozpowszechnianie
artykułów, w tym artykułów
na aktualne tematy polityczne,
gospodarcze i religijne
opublikowanych w POLITYCE
jest zabronione.

Przedruki po uzyskaniu
zgody Wydawcy.
Kontakt: Justyna Sadowska,
tel. 22 451-61-50,
e-mail: przedruki@polityka.pl

Administratorem Państwa danych osobowych
jest Polityka Sp. z o.o. SKA z siedzibą
w Warszawie 02-309, ul. Słupecka 6. Państwa
dane osobowe będą przetwarzane w celu
udzielenia odpowiedzi na Państwa listy i mogą
zostać opublikowane w tygodniku POLITYKA,
chyba że Państwo zastrzegły ich nieujawnianie
(art. 15 ust. 2 pkt 1 ustawy Prawo prasowe).

Słowa celniejsze niż uzi.
Czy pisarze mogą
uratować Izrael?

Cykl debat:
Izrael na
Koszykowej



Redakcja POLITYKI oraz Biblioteka Publiczna m.st. Warszawy – Biblioteka Główna Województwa Mazowieckiego zapraszają na kolejną debatę z cyklu „Izrael na Koszykowej”.

Spotkanie odbędzie się **w czwartek 26 czerwca o godz. 18** w Bibliotece Publicznej m.st. Warszawy – Bibliotece Główniej Województwa Mazowieckiego przy ul. Koszykowej 26/28 (sala konferencyjna Gmachu im. St. Kierbedziów). W debacie, którą poprowadzi nasza dziennikarka Agnieszka Zagner, udział wezmą: lektorka i tłumaczka literatury hebrajskiej Magdalena Sommer oraz hebraistka dr Anna Piątek, prowadząca zajęcia z literatury hebrajskiej i izraelskiej na Uniwersytecie Warszawskim.

Zachęcamy do obejrzenia transmisji online ze spotkania na kanałach YouTube (BibliotekaKoszykowa i PolitykaPL). Kolejne spotkanie w ramach cyklu odbędzie się we wrześniu. Projekt finansuje Miasto Stołeczne Warszawa.

REDAKCJA

2 mln mniej

Wartykule „Cash z kosza” (POLITYKA 22) popełniłem drobną nieścisłość. Radosław Piesiewicz jako szef Polskiego Związku Koszykówki i Polskiej Ligi Koszykówki w latach 2022–24 wystawił obu podmiotom faktury za pośrednictwo handlowe opiewające na kwotę 9,3 mln zł. Nie zdążył jednak zainkasować całej astro-nomicznej sumy, ale „jedynie” 7,3 mln zł. Według Prokuratury Regionalnej w Gdańsku działalność Piesiewicza jako pośrednika była fikcyjna, więc nie należała mu się ani złotówka.

MARCIN PIĄTEK

Zdarzyło się

Zaglądamy do archiwum POLITYKI

65 lat temu, a konkretnie w nr. 25 z 1960 r., na naszych łamach pojawił się tekst „Statystyka...”, odnoszący się do danych dotyczących zabiegów aborcji w PRL. Dla porównania: wg NFZ w ubiegłym roku w Polsce przeprowadzono 896 legalnych aborcji – dwukrotnie więcej niż w 2023 r. i niemal tyle, ile przed głośnym wyrokiem Trybunału Julii Przyłębskiej z jesieni 2020 r. (ok. 1,1 tys.). Z kolei Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny szacuje, że w Polsce co roku wykonuje się ok. 150 tys. takich zabiegów.

I jeszcze jedna informacja: w 1960 r. przeciętne wynagrodzenie wynosiło 1560 zł miesięcznie (dane GUS).

„Dzięki uprzejmości posła dr Feliksa Widy-Wirskiego otrzymaliśmy kilka najnowszych informacji o skutkach realizacji Rozporządzenia Ministerstwa Zdrowia w sprawie przerywania ciąży. W Polsce mamy obecnie prawie 5 mln kobiet w wieku od 18 do 40 lat (tzw. wiek reprodukcyjny), z tego co roku rodzi 782 tys. kobiet. Pozostaje 4,1 mln kobiet. Badania statystyczne (wycinkowe) pozwalają przyjąć średnio jedno zaiscie w ciążę na dwa lata, co czyni rocznie ponad 2 mln poronień. Co roku przybywa do szpitali i klinik ponad 80 tys. kobiet z już rozpoczętym poronieniem, samoistnym lub spowodowanym przez laików, przy czym liczba ta nie ulega zmianie od kilku lat. Nieco mniejsza liczba (75 tys.) zabiegów przerywania ciąży dokonuje się w zakładach społecznej służby zdrowia. Pozostaje więc ok. 1,9 mln zabiegów rocznie dokonywanych prywatnie. Przyjmując koszt zabiegu na minimum 600 zł – corocznie zasila fundusze prywatnych lekarzy 1,1 miliarda złotych. Przypuszcza się, że zabiegi wykonywane są przez ok. 15 tys. lekarzy, których dochody z tego tytułu wynoszą średnio 6500 zł miesięcznie.



Od grudnia ub.r., tj. od czasu gdy likwidowano wszelkie formalne przeszkody przerywania ciąży, ilość zaisć w ciążę – zdaniem lekarzy – stale wzrasta. Jednocześnie rośnie ilość zabiegów dokonywanych przez prywatnych lekarzy.

Jak informuje poseł Widy-Wirski, rozważa się obecnie projekt wprowadzenia odpłatności za przerywanie ciąży w Zakładach Społecznej Służby Zdrowia (ok. 200–300 zł)”.

REKLAMA

POLITYKA

Już w sprzedaży
w każdym sklepie
sieci LIDL



Znajdziesz
nas na regale
z prasą.

Spacery dźwiękowe podbiły polskie miasta. Poprawiają kondycję psychiczną, budzą świadomość miejsca, uczą historii i kreatywności.



Zamknij oczy, wyczyść uszy

Dwadzieścia osób, w tym: grupka ptasiarek, para emerytów, konserwatorka zabytków, były dziennikarz, graficzka. – *Nie jestem żadnym przyrodnikiem, od rana home office, urwanie głowy. Przyjechałam tu, żeby się odmóżdżyć* – przyznaje jedna z uczestniczek. Piątek, parne majowe popołudnie. Przed nami pierwszy w tym roku Społeczny Spacer Dźwiękowy. Cel: rezerwat Mewia Łacha na Wyspie Sobieszewskiej w Gdańsku. Spacery to najnowszy projekt Fundacji Audionomia, kuratorami są Magda Świerczyńska-Dolot – reportażystka, prezeska fundacji, i Marcin Dymiter – muzyk, twórca nagrań terenowych. Audionomię stworzyli jako reportażysty, którzy od dawna są w dźwięku, w emocjach, w storytellingu. Szybko jednak zdali sobie sprawę, że ważne jest nie tylko opowiadanie o drugim człowieku, ale też o tym, jak brzmi świat wokół nas.

A brzmi gęsto i głośno. O dźwiękowym smogu pisał już w 1982 r. Raymond Murray Schafer, kanadyjski kompozytor, twórca idei ekologii akustycznej. W eseju „Muzyka środowiska” postulował naukę uważnego słuchania, uwrażliwianie na dźwięk, czyli „czyszczenie uszu”. Służą temu właśnie spacery dźwiękowe. Grupowe lub indywidualne, z notowaniem wrażeń, tworzeniem audialnej mapy.

Przewodniczką po Mewiej Łasze jest Izabela Dłużyk, znawczyni ptasich głosów, realizatorka nagrań terenowych, w 2023 r. BBC uznała ją za jedną ze stu najbardziej wpływowych kobiet świata. – *Wybrałam ten rezerwat, bo można tu usłyszeć ptaki leśne, ptaki trzcinowisk oraz ptaki związane z morzem* – mówi. Najpierw pogwizduje kapturka, cały czas odzywają się zięby. Iza Dłużyk mówi, że w Polsce zięb jest więcej niż ludzi. – *Słuszny kierunek* – komentuje ktoś z uczestników. Słysząc też miękki gwizd dziwonii, piosenkę bogatki, pleszki, wysoki głos jerzyka. Otacza nas szum drzew i brzęczenie owadów. A gdy wychodzimy na otwartą przestrzeń, słysząc morze. Tu dźwięki niosą się swobodnie, bez przeszkód i echa. Obrzeży lasów trzyma się trznadel – właśnie się odzywa, w wysokich trawach kryją się

T
R
E
N
D

bażanty – słysząc ich głośne godowe okrzyki. Na koniec niespodzianka – słowik szary! Zamieramy, słysząc te gwizdy, fiukania, rytmiczne miękkie dźwięki. Ulatnia się całotygodniowy stres, spływa napięcie.

Dzień później nie będzie już tak idyllicznie. Zbiórka w dźwiękowym piekle – na skrzyżowaniu w centrum gdańskiego Wrzeszcza, przed Galerią Bałtycką. – *Chodzi o to, by wylapać i nazwać to, co słyszymy wokół. Nie tylko, że głośno, ale jak: szum, stukot, warkot, trąbienie, dzwonki... Skupić się nie na źródłach, a na barwie i rodzaju dźwięku* – tłumaczy Aneta Lehmann, architektka wnętrz i kulturoznawczyni, przewodniczka drugiego spaceru dźwiękowego. Wchodzimy do galerii. Jej wnętrze – mówi przewodniczka – przypomina dawne klatki schodowe albo studnię. Dźwięki rozpraszają się, potęgują, odbijają od szklanych, gładkich powierzchni. Galerie handlowe projektuje się tak, by rosło nam tętno, by dźwięki i światło sprawiały, że zakupy robimy na poprawę samopoczucia. To męczące przestrzenie, których brzmienie ignorujemy. Ale im większa świadomość tego, jak dźwiękowość warunkuje naszą codzienną kondycję, tym lepsze warunki życia, bo wiemy, czego domagać się od architektów.



Aleksandra Kozłowska

– dziennikarka, autorka książki „Ambulans jedzie na wieś. Śladami wędrownych wyrzębów” (Znak), współautorka z Mirellą Wąsiewicz reportażu „Islandia i Polacy. Historie tych, którzy nie bali się zaryzykować” (Znak Literanova).

Kawałek dalej, na placu przed dworcem ulga, bo jest trochę zieleni, przebijają się nawet ćwierkanie wróbli. Słysząc też stacyjne komunikaty. „Pociąg... do stacji Giżycko... wjedźcie na tor drugi przy peronie pierwszym”. Powiało wakacjami. – *Jesteśmy w miejscu, które ma gigantyczny potencjał, by stać się nie węzłem przesiadkowym, ale jakościowym placem miejskim* – tłumaczy Aneta Lehmann. – *Mamy pierzeję, która buduje dla niego ramiona i wycisza zgiełk, mamy drzewa, to też rodzaj miejskich ścian wygłuszających. Warto to wykorzystać.*

Po przejściu tunelu pod torami, gdzie hałas przysparza o ból głowy, wreszcie oddech: niewielki park Kuźniczki i kanał Strzyży. Wyłożony kamieniami, ze stopniami spiętrzającymi wodę brzmi niczym górski potok. Wystarczy zamknąć oczy, by znaleźć się gdzieś w Beskidach.

Ajuto! Hai!

WIRAL

Wznoszenie okrzyków z anime na polskich podwórkach ma długą tradycję. Dzięki pochodzącej z Italii stacji Polonia 1 młode pokolenie nauczyło się słowa „ajuto!”, czyli „ratunku!” (zupełnie przypadkiem nazwę „Mama Ajuto” nosił gang piratów z „Porco Rosso” Hayao Miyazakiego); druga połowa lat 90. to „Czarodziejka z Księżyca” i „Dragon Ball” oraz słynne „kamehameha!”. Wznoszono też bojowe okrzyki z fantastycznych seriali sportowych. Dziś zaś na szkolnych podwórkach można usłyszeć japoński dialog: „Ruby-chan? Hai! Nani ga suki? Chokominto yori mo a-na-ta!” („Ruby! Tak? Co lubisz? Lody czekoladowo-miętowe, ale was lubię bardziej!”). To fragment piosenki „AiScReam” grupy idolek znanych z anime „Love Live!”. Idolki (a dokładnie aktorki głosowe Ruby Kurosawa, Ayumu Uehara i Shiki Wakana) w ten słodki sposób wyrażają wdzięczność zaangażowanym fanom (więcej o zjawisku w POLITYCE 16/17), którzy je dopingują i wspierają.



Fragment występu trafił w lutym na TikToka, gdzie szybko odkryto jego wiralowy potencjał. Każda z idolek opowiadała o innym ulubionym smaku, co było dobrym podkładem do filmików przedstawiających grupę przyjaciółek albo np. listę ulubionych filmów. Pojawiły się też pastisze, animacje i parodie, w których występowali celebryci czy nawet politycy. W niektórych przeróbkach energiczny dziewczęcy okrzyk „hai!” zamieniany był na heavymetalowy ryk (jak niedaleko idolkom do tego gatunku, pokazuje ewolucja piosenkarki Poppy) albo... sygnał dźwiękowy lokomotywy spalinowej. Tego, co podaje algorytm TikToka, słuchają (i tańczą) szkolne podwórka – czy tego chcemy, czy nie, internet dla młodzieży stał się elementem socjalizującym. Może zamykać wirtualnej przestrzeni, ale i inspirować działania w realnym świecie, takie jak wspólne odtwarzanie popularnych choreografii czy właśnie wyśpiewywanie dialogu japońskich idolek. Nie ma przecież sensu krzyczeć „ajuto!”, jeśli nikt nie usłyszy.

MICHAŁ R. WIŚNIEWSKI

Kto uderza w dzwon

SŁOWO

Wszystko wskazuje na to, że w nowej kadencji zmieni nam się sport narodowy: pierwszego narciarza zastąpi pierwszy bokser. Niniejsza rubryka idzie więc za ciosem i przybliży bazę ulicznej polszczyzny bokserskiej, którą jest dźwięczne słowo „dzwon”. Już słownik PWN mówi o tym, że „przydzwonić” to „uderzyć kogoś, zwłaszcza w głowę”, a Wielki Słownik Języka Polskiego – że „uderzyć kogoś, zadając mu ból”. Reżyser Jerzy Skolimowski uzasadniał kiedyś w wywiadzie dla „Gazety Wyborczej” fakt, że zaczął trenować boks: „Ktoś mi za mocno przydzwonił w maturalnej klasie”. A jeden z internautów ostrzegał, że i prezydent elekt może zadać ból komuś, kto żartuje sobie w internecie z jego córki: „Ojcowie tak mają, że nachalnemu intruzowi potrafią przydzwonić, nawet jeśli wydają się słabsi. A proszę pamiętać, że pan Karol trenował boks”. Gdy Młody West rapuje w nowym utworze: „Uderzałem w dzwon sporo, hajs na plecach – Quasimodo”, też chodzi mu z pewnością o aktywny tryb życia,



który przyniósł garb z pieniędzy na plecach. Co do charakteru tych aktywności, można tylko spekulować. Uderzanie nie musi tu wprost oznaczać wyprowadzenia ciosów, ale może. „Dzwonienie z centrali” to (podaję za słownikiem miejski.pl) picie wódki z gwinta. A ostateczną formułą jest „kopnięcie w dzwon”, analogiczne do bardziej znanego kopnięcia w kalendarz.

Najpopularniejszy „dzwon”, który nie wjechał jeszcze do oficjalnych słowników, to określenie stłuczki. Raczej z tych poważnych, połączonych z dużym uszkodzeniem pojazdu. Stąd „przydzwonić” może też oznaczać tyle, ile uderzyć w słup lub wjechać w inne auto. „Taki z niego to kierowca, że walił dzwon za dzwonem/ Lepszym driverem byłby Muhammad Ali z parkinsonem” – rapowali komediowi Banana Boys. Poza dźwięcznością pociąga w dzwone fakt, że jest pusty w środku, i o kimś wyjątkowo tępym zamiast „dzban” też mawia się „dzwon”. „Do dwudziestego roku życia głupol był ze mnie straszny, dzwon imbecyliźmu” – pisał jeszcze Bohumil Hrabal w „Pięknej rupiecarni” (przeł. Aleksander Kaczorowski i Jan Stachowski). Pytanie, czy ktoś, kogo nazwą dzwonem, będzie wiedział, w którym kościele dzwonią. I czy zadzwoni do prawnika, a jeśli nie, to czy od razu przydzwoni.

BARTEK CHACIŃSKI

MÓWIĄ RYMY

Sąsiad dzielił się wódką i pożyczał na zarcie,
Kasyno mnie zżarło, resztki były w narcie

Sentino, Lost, 2025 r.

narta – uzależnienie, narkotyki do wciągania

Wielki mecz w małym mieście



Lipiec to idealny miesiąc, by odwiedzić Lucernę. Zwłaszcza w tym roku, bo w szwajcarskim mieście będzie można kibicować polskim piłkarzom podczas mistrzostw Europy.

Swissporarenę, na której zagrają Polki, zbudowano w 2011 r. To prosta i elegancka konstrukcja z równym rytmem pionowych linii w żółtozłotym kolorze. Będzie jednym z najmniejszych stadionów tegorocznych mistrzostw Europy w piłce nożnej kobiet – może pomieścić niecałe 17 tys. kibiców. Z trybun nie można podziwiać otaczających Lucernę gór, które nadają miastu niepowtarzalny klimat. Ale już z sąsiedniego stadionu lekkoatletycznego, gdzie swoje mecze rozgrywa kobieca drużyna FC Luzern, nawet w pochmurny dzień widać, jak majaczą nad bramką i gęstym zielonym lasem po południowej stronie boiska. Patrzymy na nie, kibicując piłkarzom z Lucerny w meczu przeciwko zawodniczkom z Sankt Gallen. Na trybunach osób jest niewiele – w Szwajcarii, podobnie jak w Polsce, piłka nożna kobiet wciąż nie przyciąga tłumów. **Chantal Ruf**, od 10 lat w barwach FC Luzern, a dawniej także w młodzieżowych reprezentacjach kraju, wierzy, że Euro może to zmienić: – *To wyjątkowa okazja dla Szwajcarii i kobiecego futbolu. Wiele osób, których nigdy bym nie podejrzewała o zainteresowanie futbolem, chwali się, że ma już bilety. To bardzo miłe. W ten sposób otwieramy się na nowych ludzi.*



Bartek Kaftan

– dziennikarz, redaktor, tłumacz. Lubi wracać do tych samych miejsc, szczególnie do Gwatemali i Meksyku, a także do Hiszpanii, na Morawy i na Podlasie.



Julia Zabrodzka

– fotografa i autorka tekstów o miejscach, smakach i ludziach. Od blisko 20 lat regularnie wraca do Hiszpanii.

Nowe otwarcie jest kobiecej piłce bardzo potrzebne. Chantal łączyła karierę klubową ze studiami, a teraz z pracą, bo z samego futbolu w Szwajcarii może utrzymać się niewiele piłkarek. Melduje się więc w biurze przed ósmą rano, potem prosto z biura jedzie na trening, który trwa nawet do 20. I tak cztery dni w tygodniu, plus solidny trening w sobotę i niedzielny mecz. Wolne ma tylko w poniedziałek. Mimo to nigdy nie marzyła o przenosinach do innej drużyny czy kraju. Nie wyobraża sobie opuszczenia Lucerny.

– *Od początku czułam, że w tym mieście jest urok, elegancja. W architekturze, ale też w ludziach. Lucerna nie jest jak Zurych: wielkie centrum wszystkiego, przyciągające turystów i pracowników. To małe miasto, ale nie za małe* – podkreśla. Coś w tym jest – ze stadionu na peryferiach do centrum pociągami jedzie się dwie minuty. Tyle wystarczy, by przenieść się spod zielonych gór na starówkę. Zabytkowe kamienice, XVI-wieczny ratusz w stylu włoskiego *palazzo*, barokowy kościół jezuitów rozłożyły się nad rzeką Reuss; jej brzegi spina kilka mostów, na czele z XIV-wiecznym Kaplicznym (w większości zrekonstruowanym) i XV-wiecznym Plewnym. Oba są z drewna, oba mają dwuspadowe dachy, a pod nimi wyjątkowe cykle malowideł. Jeszcze cenniejsze zbiory malarskie skrywa położona tuż obok siedziba Kolekcji Rosengartów: kilkadziesiąt obrazów oraz wiele szkiców Picassa i ponad setka dzieł Paula Klee, a do tego mocna drużyna impresjonistów i postimpresjonistów. A latem, podczas dorocznego festiwalu muzycznego, w sali koncertowej KKL występują najlepsze orkiestry symfoniczne świata. Nieźle jak na nieco tylko ponad 80-tysięczne miasto.

Efektownie nadwieszony dach KKL przegląda się w taflి Jeziora Czterech Kantonów. Już w średniowieczu kupcy ładowali tu towary na łodzie i transportowali je do podnóża Alp, a potem dalej, na Przełęcz św. Gotarda. Dziś na nabrzeżu w centrum nadal jest tłoczno, ale od turystów. Jedni wsiadają na starożytne parowce, by z pokładu podziwiać pejzaż godny fiordów: urwiste ściany wyrastające ponad wąskimi zatokami; inni – by wprost z którejś z przystani wyruszyć w góry: pieszo lub którąś z zabytkowych kolei zębatych. A zimą – by popłynąć na narty.

– *To świetna sprawa! Jeśli tylko znajdę chwilę, lubię wyskoczyć na stok* – rozmarza się Ruf. Ze swym napiętym piłkarsko-zawodowym grafikiem łatwiej jej jednak wygospodarować moment na wieczorne spotkanie ze znajomymi nad jeziorem. – *Chadzamy na plażę albo do Sunset Baru. To fajny lokal, nad samą wodą, z obłędnymi widokami. No i mają strefę kibica. Jeśli nie dostaniecie biletów na stadion, koniecznie obejrzyjcie mecz właśnie tam!* – poleca.

Polki zagrają na Swissporarenie dwa mecze – 8 lipca ze Szwedkami i 12 lipca z Dunkami. Wcześniej, 4 lipca, w Sankt Gallen zmierzą się z Niemkami. Dla naszej reprezentacji to historyczne wydarzenie, w mistrzostwach Europy, organizowanych od 1991 r., weźmiemy udział po raz pierwszy.

Zaopatrzone w odpowiednie dodatki młode liście buraka mogą stać się główną atrakcją śniadania, przekąski czy nawet obiadu.

Botwina w słodkim miso

Czerwiec to sezon na botwinę, czyli inaczej liście buraka ćwikłowego, której wzrost popularności da się zauważyć już od kilku lat. Botwinę można bez przeszkód jeść surową, chociaż najczęściej w polskich domach przygotowuje się ją w postaci zupy. Jednak gotowanie botwinki zmniejsza zawartość dobroczynnych substancji w niej zawartych: witamin, wapnia, magnezu, żelaza, potasu, cynku czy seleniu.

Jednym z moich ulubionych sposobów na botwinę jest jej smażenie tak, by lekko zmiękła, ale też zachowała nieco swojej świeżości i chrupkości. Botwina jest przepyszna sama w sobie – taka z oliwą z patelni, w sosie własnym. A zaopatrzona w odpowiednie dodatki będzie gwiazdą śniadania, przekąski czy nawet obiadu. W każdej z tych funkcji sprawdzi się proponowana przeze mnie smażona botwinka w słodkim miso na kremie z pieczonego czosnku. Słodkie oblepiające usta miso spotyka się z kwaśną świeżą botwiną, do tego białko z tofu i umami pochodzące z czosnku pieczonego w całości i płatków drożdżowych. To posiłek jak najbardziej kompletny, sezonowy, a przede wszystkim piękny i przesmaczny. Do dzieła!

Smażona botwinka w słodkim miso na kremie z pieczonego czosnku (2–3 porcje do chleba):

Botwinka:

- pęczek botwinki
- 2–3 łyżki oliwy
- 2–3 łyżki pasty miso (najlepiej ciemnej)
- 3–4 łyżki syropu klonowego lub innego słodzika
- chlust wody
- sól oraz świeżo mielony pieprz do smaku

Krem z pieczonego czosnku:

- 2 większe główki czosnku
- 2 łyżki oliwy
- duża szczypta soli
- 1–1,5 kostki naturalnego tofu (180–270 g)
- 2–3 łyżki płatków drożdżowych
- 1/2 łyżeczki soli (lub do smaku)
- sok z 1/3 cytryny
- chlust dowolnego mleka roślinnego (najlepiej niesłodzone)



Tomek Mędrak

– blogger, influencer specjalizujący się w roślinnych przepisach z pogranicza kuchni polskiej i comfort food. Wspólnie z żoną publikują na blogu veganhigh.pl oraz profilu na Instagramie: [@tomek.medrek](https://www.instagram.com/tomek.medrek).

Do podania:

- pajda dobrego chleba
- posiekane orzechy włoskie
- posiekane zioła (szczypiorek, natka pietruszki)
- świeżo zmielony pieprz
- 200 g panko
- 1/2 łyżeczki soli
- 1/2 łyżeczki mielonego pieprzu (do smaku)
- olej słonecznikowy lub rzepakowy do smażenia (ok. 0,5–1 litra zależnie od wielkości garnka)

Wykonanie (ok. 45 min):

- Piekarnik nagrzewamy do 200 st. C góra–dół bez termoobiegu.
- Odcinamy góry czosnku tak, by odkryć ząbki w środku.
- Wykładamy je wraz z odciętymi częściami na papier do pieczenia.
- Polewamy oliwą oraz posypujemy solą.
- Zawijamy na kształt saszetki lub zawiązujemy górę.
- Wstawiamy do nagrzanego piekarnika na kratkę i pieczemy przez ok. 25 min.
- Liście botwinki odcinamy od bulw.
- Liście i łodygi myjemy dokładnie.
- Bulwy szorujemy lub obieramy i kroimy w średnią kostkę (jeżeli są mniejsze, to w plasterki lub półplasterki).
- Łodygi kroimy na 1 cm kawałki.
- Liście zaś najpierw w poprzek na paski o szerokości 1–2 cm, a następnie warto je jeszcze przesiekać wzdłuż, żeby nie były zbyt długie.
- Na szerokiej patelni rozgrzewamy oliwę.
- Wrzucamy na nią łodygi i kostkę z bulw.
- Smażymy ok. 5–10 min, czasem mieszając.
- Dodajemy pastę miso. Chwilę smażymy, jeszcze mieszając.
- Dolewamy wodę i rozprowadzamy pastę w płynie. Podkręcamy ogień, by całość nam się dosyć mocno gotowała.
- Po chwili wlewamy syrop klonowy, mieszamy dokładnie i dodajemy liście.
- Smażymy jeszcze przez ok. 5 min, aż całość się zredukuje i zageęści do postaci lekko lepkiego sosu.
- Wyłączamy ogień pod patelnią.
- W międzyczasie wyciągamy i studzimy upieczony czosnek.
- W blenderze umieszczamy: rozerwane na średnie kawałki naturalne tofu, płatki drożdżowe, sól, sok z cytryny, mleko roślinne i wyciśnięty po upieczeniu miękki czosnek.
- Blendujemy na gładki krem. Jeżeli są z tym problemy, dodajemy łyżeczkę wody lub mleka roślinnego, ale uważamy, żeby krem nie wyszedł za rzadki, bo będziemy musieli znów dołożyć tofu.
- Podsmażamy pajdę dobrego chleba na wegańskim maśle lub oliwie.
- Wykładamy krem z pieczonego czosnku na talerz, rozsmarowujemy go równomierną, grubą warstwą.
- Na krem wykładamy całość botwinki z patelni. Posypujemy posiekanymi orzechami, ziołami i świeżo mielonym pieprzem.

Smacznego!

24/7, czyli zapraszamy na stale aktualizowane strony **polityka.pl**, na nasze blogi i podcasty

Trump krasomówca

A tak Izraela na Iran był „znakomity”, z Elonem Muskem połączyła go „piękna przyjaźń” (to już nieaktualne), nie dość miły jest Wołodimir Zełenski. **Donald Trump mówi prostym językiem. Marek Ostrowski twierdzi, że to zamierzone. „Jego styl komunikacji, często określany jako bezpośredni, wręcz prymitywny, jest bardziej wyrafinowany, niż mogłoby się wydawać”, pisze nasz publicysta.** I wyjaśnia, dlaczego umiejętność budowania zdań wielokrotnie złożonych, tak ceniona u Rafała Trzaskowskiego, w polityce rzadko się przydaje.



Bułgaria w strefie euro

Po 145 latach Bułgaria porzuca lewa i będzie 21. krajem UE posługującym się wspólną walutą. Sami Bułgarzy są w tej kwestii podzieleni, przeciw euro opowiada się nawet prezydent. Zalety przeważają nad ryzykiem, stanieją kredyty, uprości się handel i turystyka, coraz ważniejsza dla tutejszej gospodarki. Na rewersy monet trafią sami mężczyźni. **Jak wylicza Jędrzej Winiecki, poza euro pozostaje sześć krajów UE, w tym Polska. Ale u nas nie ma klimatu.**



Z dzieckiem na rowerze



W podkaście rowerowym stawiamy fundamentalne pytanie: jak się nie dać zabić na drodze. Zwłaszcza jeśli jedziemy z dzieckiem albo je wiziemy. Gościem Juliusza Ćwielucha jest Tadeusz Baranowski, który stara się Polaków edukować.

Czy przez przejście dla pieszych wolno przejechać? Czy metr odstępu między rowerem a samochodem wystarczy? Na Zachodzie to zwykle półtora metra i o te pół metra ekstra Baranowski walczy. A już raz w rowie wylądował, bo tych paru centymetrów zabrakło.



Miesiąc dumy i rozpaczy

W sobotę odbyła się w Warszawie Parada Równości, kolorowa jak zawsze, choć nastroje są iście grobowe. Społeczność LGBT+ nie ma złudzeń, że coś się w Polsce rychło zmieni. „Zwycięstwo Nawrockiego, a także dobre wyniki Mentzena i Brauna otworzyły puszkę Pandory” – mówi Krzysztof Kliszczyński, członek zarządu Lambdy Warszawa. Braun właśnie zniszczył wystawę LGBT+ w Sejmie. **Reporter Mateusz Witczak sprawdza, jak się czują i co planują tęczowi obywatele RP. Czerwiec jest miesiącem dumy, ale przyszłość maluje się czarna.**



Mitologia Jacka Cygana

W studiu POLITYKI gościliśmy Jacka Cygana, który w tym roku obchodzi 75. urodziny. Jubileuszowy koncert na cześć jednego z największych polskich tekściarzy zwiędził właśnie festiwal piosenki w Opolu. Nam twórca opowiada, dlaczego właściwie „są trzy Opola”, a nie jedno, co się dzieje za kulami, skąd jego fascynacja Włochami i Goethem i dlaczego chciałby się teraz zaszyć. **„Kultura jest ważna, a nie kibolstwo”, mówi Jacek Cygan. Rozmowa Bartka Chacińskiego do słuchania i/lub oglądania na naszych kanałach streamingowych.**



G A L E R I A P O L I T Y K I



JAN KOZA

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ

Klinika ortopedyczna

Szpital

operacje ortopedyczne ✦

Poradnia Medycyny Sportowej

dla dzieci, młodzieży i dorosłych:

Badania wstępne, okresowe i kontrolne ✦

Orzeczenia sportowo-lekarskie ✦

Pracownia prób wysiłkowych i wydolnościowych ✦

Poradnia Leczenia Bólu

Zabiegi interwencyjne:

blokady / nerolizy współczulne ✦

blokady / nerolizy nerwów obwodowych ✦

termolezja ✦

Poradnia Podologiczna

Konsultacje i zabiegi podologiczne ✦

Dietetyka

Dietetyka kliniczna ✦

Dietetyka sportowa ✦

Porady dla dzieci i dorosłych ✦

Rehabilitacja

✦ Rehabilitacja ortopedyczna:

✦ stawów rzepkowo-udowych

✦ stawów barkowych

✦ kręgosłupa

✦ stawów kolanowych

✦ kontuzji sportowych

✦ po zwichnięciach stawów

✦ urazów mięśni

✦ więzadeł

✦ po złamaniach

✦ Fizykoterapia

✦ Masaż leczniczy

✦ Diagnostyka funkcjonalna

✦ Rehabilitacja w uroginologii

✦ Terapia przeciwobrzękowa

Rezonans Magnetyczny 3T

✦ Dwa aparaty przystosowane do badań sportowców
w zakresie ortopedii, neurologii i kardiologii

Tomografia Komputerowa

✦ Pełny zakres badań

Diagnostyka

✦ RTG, USG, EEG, EMG

CMS i Wracasz do gry!

Centrum Medycyny Sportowej to ośrodek leczniczo-rehabilitacyjny, specjalizujący się w leczeniu urazów ortopedycznych.
CMS wykorzystuje najnowocześniejsze technologie w diagnostyce, leczeniu i rehabilitacji.

CENTRUM MEDYCyny SPORTOWEJ - WARSZAWA ul. Wawelska 5

tel. 22 592 93 05 do 10

www.cms.waw.pl

M

M N

Muzeum
Narodowe
w Gdańsku G

Achtelik / Apoznańska / Baśnik / Bucki / Chlebek /
 Chromry / Czarnecki / Czech / Dąbrowski / Falkus /
 Flaszka / Gromniak / Gryckiewicz / Grzybacz /
 Grzymała / Janusz / Kamińska / Kampka / Kina /
 Konopka / Kozicki / Kubicka / Kukła / Kus / Lubińska /
 Mikulski / Misztal / Mycek / Nadolle / Nowicka /
 Nowicki / Ostrowski / Pakosz / Palczak / Pałucha /
 Pieniak / Pinkowska / Prażmo / Rostkowski / Różycki /
 Rybkowski / Słowak / Springer / Stiasny / Szczurek /
 Szlęzak / Śmigielska / Wolski / Woronowicz

Opowiem

Wam o

27.06 →
20.09.2025

odłona ①

ul. Długi
Targ 24,
Gdańsk

sobie!

o nas

*Let me tell you
about myself /
about us*

N

Zielona
Brama

G